

JOANNA LICHOCKA: PRZED NAMI MOCNY ROK. DOKOŃCZYMY BUDOWĘ IV RP

DZIECI IDĄ DO SZKOŁY – SPRAWDŹ, JAK TO BĘDZIE



49 POWRÓT DO WOJEWÓDZTW. CZY TO MOŻLIWE?

PRZESILENIE NA BIAŁORUSI. KTO WYGRYWA I ZA JAKĄ CENĘ



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 34 (403) 2020
17–23 sierpnia 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

UKŁAD GDAŃSKI ZDEMASKOWANY

ŚMIERĆ PAWŁA ADAMOWICZA NIE ZATRZYMAŁA ŚLEDZTWA, KTÓRE ODSŁONIŁO SZOKUJĄCE POWIĄZANIA. PROKURATURA JEST GOTOWA DO POSTAWIENIA ZARZUTÓW TAKŻE MAGDALENIE ADAMOWICZ – PISZĄ MAREK PYZA I MARCIN WIKŁO

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

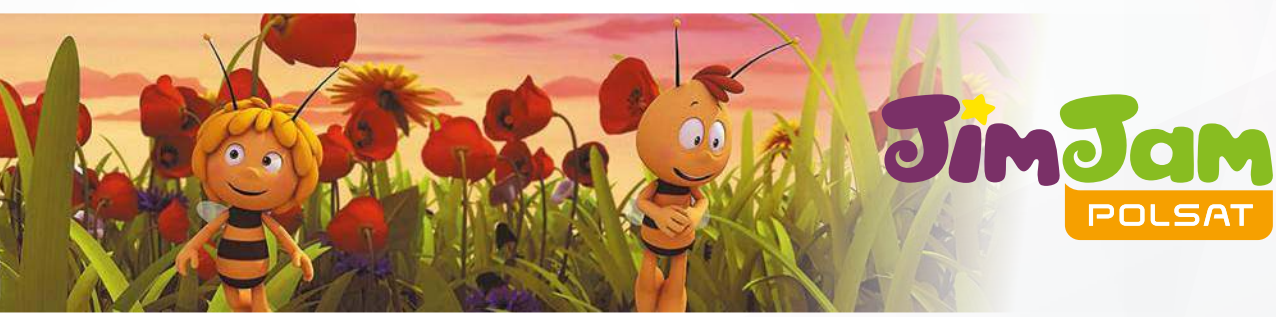
NAJLEPSZE FILMY, BAJKI I SPORT!

Na start 3 miesiące TV bez opłat!



ELEVEN SPORTS





Promocje dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 10.08.2020 r.
Bundesliga w ELEVEN SPORTS. Fot. DFL/Bundesliga/Getty Images.

eprasa.pl 708d092fdd

Podejście do epidemii trzeba przemyśleć

Spodziewaliśmy się w redakcji, że okładkowy tekst poprzedniego wydania tygodnika „Sieci", pełen pasji, niezwykle ciekawy i zmuszający do myślenia esej Macieja Pawlickiego, nawiązujący do książki „Fałszywa pandemia", wywoła kontrowersje.

Bezrefleksyjne oburzenie rozmaitych lemingów i ludzi owładniętych niechęcią jest oczywiste. Zaskoczyła nas jednak bardzo osobista i emocjonalna reakcja ministra zdrowia pana prof. Łukasza Szumowskiego.

„Mam trochę wrażenie, że ktoś pisze książkę raczej z gatunku fantastyki, no bo w tym spisku na pewno uczestniczyłoby około 500 tysięcy medyków, do tego podobno politycy, to jest kolejna grupa już może nie aż tak liczna, ale kilkuset osób, i w tym wszystkim – rozumiem – minister zdrowia jak taki pająk skutecznie pociągający za sznurki pajęczyny, do końca nie wiadomo w jakim celu, ale na pewno w jakimś zbrodniczym. A tak na poważnie, to jest to trochę obrażające, choćby pamięć tych tysiąca ponad ośmiuset osób, które zmarły. I przypominam, w sezonie grypowym grypa nie jest tak brutalna i nie zabiera tylu osób z tego świata. No, powiem szczerze, że jak ktoś widzi takie spiski, to jest jakiś sygnał, żeby może jednak trochę zastanowić się nad swoim zdrowiem psychicznym" – oświadczył Łukasz Szumowski.

Minister wziął najwyraźniej artykuł do siebie – zupełnie niepotrzebnie, bo to nie o nim. Wielokrotnie pisaliśmy, że Polska – jako kraj peryferyjny w stosunku do centrów interpretacji świata – nie mogła zareagować inaczej. Próba walki z ludzkim strachem zmiotłaby każdy rząd i kilka ten los spotkał. Dobrze, że rząd premiera Morawieckiego nie zostawił ludzi samym sobie, dobrze, że współzarządzał tym minister zdrowia Łukasz Szumowski, dobrze, że w momencie gdy tyle było niewiadomych, przyjęto jako punkt odniesienia najgorsze możliwe scenariusze rozwoju wypadków.

Na tym polega praca i odpowiedzialność polityków.

Ale to jest inny porządek niż nasz – niezależnej, choć wiernej wartościom i niepokornej, redakcji, jaką tworzymy w tygodniku „Sieci" i portalu wPolityce.pl. Naszym prawem i obowiązkiem jest pytać i oceniać, jak w danym momencie sprawy się mają.

A fakty są takie, że nie potwierdziły się czarne scenariusze o wielkiej śmiertelności wywoływanej zakażeniem koronawirusem, choć jest ona większa niż grypy i każda ofiara wywołuje ból. Ale też większość ofiar ma ciężkie choroby współistniejące. Pytanie: czy gdyby grypa nagle okazała się dwukrotnie groźniejsza, też byśmy zamykali świat?

Faktem jest też, że nastąpiło po drodze przesunięcie celu, jaki stawia się przed społeczeństwami: już nie „spłaszczenie krzywej", przygotowanie szpitali, zapewnienie chorym odpowiedniej terapii, odizolowanie najbardziej zagrożonych, ale wyeliminowanie wirusa z przestrzeni jest celem. Niemożliwym do zrealizowania.

Faktem jest też szokujący koszt społeczny przyjętej metody walki: upadłe firmy, często dorobek życia, bezrobocie, depresje, kryzysy i rozpad rodzin, przemoc domowa, samobójstwa. Rosnące napięcia międzynarodowe, możliwe wojny.

Z każdym miesiącem ten koszt będzie rósł.

Dokąd dojdziemy, walcząc nadal o całkowite wyeliminowanie wirusa z przestrzeni, zwiększając liczbę testów, które wykrywają zakażonych niezdających sobie sprawy z tego, że chorują? To z kolei medialnie nakręca panikę, wymuszając kolejne testy, tworząc spiralę „stanu nadzwyczajnego".

Może się minister Szumowski obruszać, może i na nas fuknąć (taką ma robotę), ale rząd – jako całość – musi przemyśleć podejście do epidemii. Musi odpowiedzieć na pytanie, czy tylko wirusolodzy mają decydować o tej sprawie? Gdyby spece od bezpieczeństwa ruchu drogowego decydowali o tym, jak i gdzie jeździmy, nigdzie nie przekraczalibyśmy prędkości 30 km/h. Dlatego trzeba przenieść punkt ciężkości z debaty o liczbie zakażeń na liczbę ofiar – bo to jest najważniejsze.

Myślę, że minister Szumowski powinien pomóc rządowi wskazać mądre ścieżki wyjścia z tej spirali.

Trzeba to zrobić szybko, przed jesienią, która musi oznaczać powrót do szkół. Jeśli nastąpi to przy tym poziomie wrażliwości, szybko skończy się katastrofą. Także polityczną, bo opozycja gra na chaos i zmęczenie ludzi. Powtarzam: w marcu nie można było zareagować inaczej. Ale dziś trzeba wyciągnąć wnioski – nadal chroniąc z całych sił grupy naprawdę zagrożone.

Dlatego powstał tekst Macieja Pawlickiego.

Michał Karnowski



Reklama | 9/0320/F

eprasa.pl 708d092fdd

SIECI spis treści



30 *Co dalej z Trzaskowskim?* *Stanisław Janecki*



46 Rajska wyspa w czarnej ropie *Tadeusz Brzozowski*



56 Walczyli jak kowboje *Wojciech Lada*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PLUSZOWE KAJDANKI**
Krzysztof Feusette

9 **PEŁZAJĄCA NIEPEWNOŚĆ**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SEKSLEWICA NA ULICACH**
Jan Pietrzak

13 **IDEOLOGIA W NATARCIU**
Bronisław Wildstein

14 **ZDJĘCIA Z PODRÓŻY NATASZY LEŚNIAK**
Michał Korsun

15 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **PORA NA PRAWO HOLDINGOWE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

20 **GDAŃSKI UKŁAD ZAMKNIĘTY**
Marcin Wikło, Marek Pyza

KRAJ

26 **Z JOANNĄ LICHOCKĄ**
rozmawia Michał Karnowski

30 **CO DALEJ Z TRZASKOWSKIM?**
Stanisław Janecki

32 **POWRÓT DO 49 WOJEWÓDZTW. CZY TO MOŻLIWE?**
Jakub Augustyn Maciejewski

36 **SZKOŁA W CZASACH PANDEMII**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

40 **BEZSILNOŚĆ WOBEC ŁUKASZENKI**
Jan Rokita

43 **W KTÓRĄ STRONĘ SKRĘCI MIŃSK?**
Marek Budzisz

46 **RAJSKA WYSPA W CZARNEJ ROPIE**
Tadeusz Brzozowski

50 **POWRÓT GWIEZDNYCH WOJEN**
Konrad Kołodziejski

OPINIE

54 **VOX POPULI, VOX DEI**
Bernard Margueritte

HISTORIA

56 **WALCZYLI JAK KOWBOJE**
Wojciech Lada

SIECI KULTURY

61 **MISTRZYNI POWŚCIĄGLIWOŚCI**
Jolanta Gajda-Zadworna

63 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **BRULION 2.0**
Robert Tekieli

65 **WOJNA ŚWIATÓW**
Robert Tekieli

66 **O WIERZYŃSKIM POPRZEZ WENCLA, CZYLI O POLSCE**
Leszek Długosz

68 **TRZCINA DO ZMIERZENIA POLSKI**
Wojciech Stanisławski

SPORT

70 **HORROR NA FINISZU**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

72 **MOJE SMAKI: GWYNETH PALTROW**
Jolanta Gajda-Zadworna

73 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 **KONFRONTACJA DWÓCH ŚWIATÓW**
Hanna Karp

76 **DWA WIRUSY, DWIE HISTERIE**
Maciej Pawlicki

77 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

78 **POWRACAJĄCE PYTANIA**
Alina Czerniakowska

79 **FELIETON/Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Lech Makowiecki, Agnieszka Ponikiewska

80 **ZDZIECINNIENIE**
Jan Pospieszalski

81 **NOCNA OJCZYZNA**
Leszek Długosz

82 **DOBRODUSZNI, ADRENALIŚCI I CYNICY**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 16/0720/F

eprasa.pl 708d092fdd

TankuJEMY HOT DOGI za 1 grosz!

Kupujesz min. 25 l paliwa oraz kawę i dostaJESZ HOT DOGA za 1 grosz! Twoje dzieci też!



Promocja trwa od 1.07 do 31.08.2020 lub do odwołania.
Zakup kwalifikowany musi nastąpić przy jednej transakcji.
Do jednej transakcji są wydawane maksymalnie 4 hot dogi (1 dla kierowcy i maks. 3 dla dzieci) w promocyjnej cenie 1 gr/szt.
Z promocji są wyłączone transakcje z użyciem kart flotowych.
Regulamin i lista stacji biorących udział w promocji na lotos.pl.

LOTOS

prasa.pl/08d092dd



Sygnalista nadaje

Zaktywizowało się w mediach społecznościowych zaplecze Konfederacji. I znowu gra płyta wartości, których trzeba bronić. Słusznie, słusznie. Czyż można się nie wzruszyć, czytając Tomasza Sommera, który grzmi: „Część mediów konsekwentnie opisuje lewackiego zbira jako kobietę. To te same media, które od lat są antypolskie i dążą do likwidacji Polski w UE. Czas na konsekwencje”? Tylko dwa pytania. Po pierwsze, czy to nie te same media, które w ostatnich dwóch kampaniach pompowały Konfederację w nadziei, że urwie poparcie PiS? I czy zaledwie kilka tygodni temu, przed drugą turą wyborów prezydenckich, tym samym konfederatom nie było wszystko jedno, czy głową państwa przez pięć lat będzie tęczowy Trzaskowski, czy jednak biało-czerwony Duda?

Dylematu, kogo wspierać 12 lipca, nie miała Anne Applebaum, która na łamach gazet Adama Michnika zastanawia się nad „ceną kolaboracji” z reżimami. Wpływowa publicystka, prywatnie żona Radosława Sikorskiego, tak się politycznie rozgrzała, że wyszło jej, iż współpraca z komunistami i nazistami to niemal to samo co wspieranie Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych. Cóż, będą mieli historycy materiał do kolejnego rozdziału o intelektualistach, którzy zgłupieli od polityki. Uderza w tekście dobór przykładów: komunizm opisany został za pomocą różnych życiowych wyborów Niemców w NRD. Podpowiadamy pani Applebaum: szukając odpowiedzi, dlaczego ludzie do końca kolaborowali z reżimami komunistycznymi, warto się zwrócić z pytaniami także do Marka Borowskiego czy Włodzimierza Cimoszewicza. Daleko nie jest – to przecież koledzy męża z listy Koalicji Europejskiej w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Wielu byłym komunistom los zgotował jednak straszliwą karę: muszą się zachwycać rozmaitymi przebierańcami, półnagimi facetami publicznie się obściskującymi, chłopakami w ostrym tonie żądającymi, by mówić do nich „Małgorzato”. Dziejowa konieczność zmusiła nawet ***Włodzimierza Czarzastego*** do uporczywego zachęcania Bogdana Rymanowskiego w Polsacie, żeby „zaprosił do programu panią Margot”, bo „ta dziewczyna ma prawo żądać, żeby tak się do niej odnosić”. A ponieważ wiemy, co w tym środowisku naprawdę się o tym myśli, to rozumiemy, jakim cierpieniem jest taka gra. I to pomimo iż czynią to ludzie dobrze nauczeni rozumienia „dziejowej konieczności” i dwójmyślenia.

A to dopiero początek. Zabawna jest nadzieja wielu starszych gwiazd mediów III RP, że tym zrewoltowanym gangom jest z nimi po drodze. Przekonali się o tym twórcy założonego przez byłych dziennikarzy Trójki internetowego Radia Nowy Świat. Podczas jednej z audycji użyto tam zwrotu „aktywista”, by określić wspomnianego wyżej Michała Sz., który żąda, by uznawać go za kobietę. Zaczęły się potępienia i groźby wycofania wpłat. Jeden z twórców stacji i jej prezes Piotr Jedliński najpierw bronił decyzji za pomocą języka liberalnego: „Jeżeli tak bardzo apelują o poszanowanie wolności, to dlaczego nie szanują wolności mediów oraz mojej, jako osoby? Dla-

eprasa.pl 708d092fdd

czego chcą mi na siłę narzucić sposób postrzegania świata, zmuszając, żebym określał kogoś, kogo odbieram jako mężczyznę, zaimkami żeńskimi?". Odpowiadamy: bo na tym polega ich władza. Później Jedliński złożył samokrytykę, ale i tak musiał odejść. Przestrzegamy gwiazdy mediów III RP – wy też nie nadążycie.

Przy tej okazji Wojciech Reszczyński wezwał Kazika Staszewskiego: „Kazik! Artysto, odwagi! – pisz piosenkę, której motto: »Moja cenzura jest większa niż twoja«, wszak w Radiu Nowy Świat o to właśnie chodziło". Nie liczylibyśmy na odpowiedź. W awanturze o Trójkę nie chodziło o wolność, ale pieniądze, sprzedaż płyt, władzę i politykę.



Polityka to w ogóle okrutna pani. ***Jarosław Gowin*** też cierpi – dobija się do rządu, bo musiał definitywnie porzucić swój plan budowy nowej chadecji wspólnie z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, tym bardziej że pomysł został dwukrotnie już zdradzony: najpierw przez samego głównego (choć tak pięknie wymuskanego) chłopa jeszcze przed wyborami. Następnie przez wyborców ludowców, którzy puścili mimo uszu wszystkie apele PSL i już w pierwszej turze postawili na Andrzeja Dudę. Podpowiadamy Zjednoczonej Prawicy pomysł na zagospodarowanie Gowina: niech zostanie prezesem Poczty Polskiej i odrabia koszty niedoszłych wyborów korespondencyjnych, które ostatecznie zablokował. Jak odrobi – brać do rządu. Ale to może potrwać.



Nie musi się natomiast martwić o robotę ***Adam Bodnar***, odchodzący rzecznik praw obywatelskich, bo nie tyle jesteśmy pewni, że wyląduje jako polityk opozycji, bo już nim jest, bijąc rekordy stronniczości. Przemawiając w Senacie, objawił się też jako politolog: „Jarosław Kaczyński zadeklarował ustanowienie »Budapesztu w Warszawie«. Począwszy od 2015 r., te zmiany były realizowane na zasadzie stopniowego podporządkowywania niezależnych instytucji, ograniczaniu ich kompetencji, obniżaniu poziomu legitymizacji działań, celem jednoczesnego wzmocnienia centralnego ośrodka politycznego władzy. Jest to dobrze znana »metoda salami«" – przekonywał, snując opowieści o tym, że „ustrój Polski nie może już być definiowany jako prawdziwa demokracja konstytucyjna, lecz raczej jako demokracja nieskonsolidowana czy demokracja hybrydowa. [...] można ją także określić jako system wyborczego autorytaryzmu". Niezły to autorytaryzm, w którym w opozycyjnym Senacie, przy aplauzie 90 proc. mediów, można aż tak kłamać. I tylko ci, którzy naprawdę potrzebują w Polsce obrony, a nigdy nie zostali przez rozkochanego w medialnej sławie Bodnara dostrzeżeni, milczą. Cóż, ich wdzięczność nie byłaby tak atrakcyjna jak polityków.



A na prawicy ciągle nowe hybrydowe koalicje. Internetowy sojusz nieudaczników walczy z prezesem TVP Jackiem Kurskim, najwyraźniej tęskniąc za czasami, kiedy po tej stronie było wielu wybitnych publicystów, ale to druga strona miała monopol na instytucje, struktury zdolne do konsekwentnej pracy i drapieżności. Równie popularne są akcje hejtu wobec wicepremiera Piotra Glińskiego za rzekomo „słabe" przygotowanie obchodów 100-lecia zwycięskiej Bitwy Warszawskiej 1920 r. Gliński w pocie czoła pokazuje kolejne filmy, buduje muzea, otwiera wystawy, finansuje projekty – ale oni zawsze znajdą coś, czego nie ma, i wystawią ocenę przed uroczystościami. Niech pojadą do państw naszego regionu, które też w tym okresie obchodzą swoje 100-lecia, a może wtedy zrozumieją, co to znaczy „skromnie". Choć może i nie zrozumieją. Niektórych chyba tylko odegranie tamtej bitwy na nowo by zadowoliło.

No, ale do tego trzeba by aktorów. Nie wiemy, kto to koordynuje, ale środowisko sceny regularnie co dwa dni rzuca na szaniec kolejnego „buntownika", który zresztą wie, że mu się to opłaci, bo prawdziwe źródła kasy i prestiżu są w tym świecie daleko od prawicy. Najnowsze doniesienia z frontu: „Ta władza i jej zwolennicy nie potrafią żyć bez wroga – powiedział Jerzy Radziwiłowicz. To zaś był komentarz do słów Janusza Gajosa, który z kolei wysnuł tezę, że „mały człowiek podzielił nasz kraj. Tak powstawało to, co nazwano hitleryzmem". Nie śmiejmy się, pewnie ta błyskotliwa myśl zostanie zaraz podjęta przez Anne Applebaum i rozpowszechniona w świecie. Mamy jednak dla aktorów złą wiadomość: według sondażu Social Changes dla 60 proc. pytanych polityczne opinie celebrytów nie mają znaczenia, a mają tylko dla 22 proc. Reszta nie miała zdania. Tak źle grają czy sztuka do kitu?

Wielu Polaków kibicuje walce Białorusinów o wolność. My też i od dawna. Dla tej brutalności i braku wolności nie ma usprawiedliwienia. Ale w głowach co bardziej chłodnych analityków pojawiają się też takie niebezpieczne pytania: Co tam robi tylu ludzi Sorosa? Co tam robi Sławomir Sierakowski? Dlaczego niektórzy ludzie tak aktywni w tych sprawach chętnie budują kłamliwe porównania między Białorusią a Polską? Czy i nam, choć nie ma powodu, szykują jakąś kolejną próbę Majdanu? Ile miesięcy przetrwają białoruskie zakłady przemysłowe, które tak się zachęca dzisiaj do strajków, po upadku Łukaszenki? Tylko cytujemy, by obraz był kompletny.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 708d092fdd

Pluszowe kajdanki



KRZYSZTOF FEUSETTE

My, uliczne grupy uderzeniowe pod flagą tęczową, połączone więzami braterstwa, siostrzeństwa, wujostwa i ciotostwa, a jednak świadome, że naszą siłę medialną zawdzięczamy przede wszystkim ludziom o orientacji rozrodczej, zwanej też heteronormatywną, na którą nie ma, na razie, lekarstwa, zespoleni w dążeniu do czynienia chaosu w życiu publicznym, na wzór tego, jaki mamy w swoim życiu osobisto-intymnym, zwracamy się, apelujemy, domagamy i żądamy natychmiastowej reakcji organów europejskich w związku z osadzeniem w areszcie naszej kolegi i naszego koleżanki w jednym. Konkretnie zaś – polskiej osoboistoty niebinarnej, która/który, nie bacząc na fakt pozostawania w związku partnerskim z osobą płci odmiennej, zdecydował się dla Naszej Sprawy zmienić nie partnerkę na partnera, ale siebie samego – w partnerkę. I to z usunięciem męskiego imienia Michał oraz zastąpieniem go nowoczesną, choć przecież dystyngowaną Margot. Czyli Gosią ze znajomością francuskiego.

Niestety, Warszawa to nie Paryż, tylko brunatna pipidówa, w której my, działacze LGBT, nie mamy w co rąk włożyć, więc wkładamy we wszystko, co podlezie. W końcu ktoś musi robić tę rewolucję kulturalną, skoro sami geje i lesbijki nie chcą. Margot poświęcił się w sposób najlepszy z możliwych, dokonując zniszczeń furgonetki na kwotę 6 tys. zł oraz pobicia jej kierowcy za głoszenie przez niego poglądów niezgodnych z niepisanym Prawem o tolerancji i wolności słowa. Wtedy reżimowy, opresyjny, dyktatorski, imperialny, sowiecki, faszystowski, białoruski i koreańsko-północny, pisowski rząd, rękami zawłaszczonych sędziów i przy sprzeciwie przyjaciół Margot, ich braci, sióstr, wujów i, oczywiście, ciotek, zdecydował się zamknąć jej/jemu nie tylko usta, ale i ją/jego całą/całego. Na dodatek w areszcie męskim, a wiadomo, jak potrafią złamać serce dziewczynie pożądliwe spojrzenia osób o wątpliwej heteronormatywnej reputacji. Ich kąśliwe uwagi o toalecie czy nazywanie rzeczy po imieniu na wzór greckiego filozofa Protagorasa, który twierdził, iż „człowiek jest miarą wszech rzeczy – istniejących, że istnieją, i nieistniejących, że nie istnieją". Tego typu dysputy filozoficzne, toczone w kontekście medialnych wycieków, iż Margot to tak naprawdę Michał i że Michał ma dziewczynę, mogłyby skłonić naszą przyjaciółkę do zerwania z nową osobowością i powrotu na utarte koleiny płci rozumianej zbyt dosłownie. Jeżeli jednak taka ma być linia obrony i Małgosia twierdzi dziś, iż ataku na furgonetkę ewidentnie dokonała kobieta, więc on, Michał, nie może mieć z tym nic wspólnego, przełkniemy i to.

Tylko czy ten areszt musi wyglądać tak strasznie? Czy rzecznik Bodnar nie powinien załatwić, żeby w każdym były wydzielone dwuosobowe cele dla osadzonych inaczej? Kanały TV dla dorosłych, „Wyborcza", krem z filtrem, może basen – czy to tak dużo dla ofiar reżimu? Czy chociaż kajdanki nie mogłyby być, jak w każdym normalnym domu, pluszowe? Takich pomysłów mamy setki i dlatego pytamy: kiedy wprowadzicie sankcje wobec Polski za zatrzymanie tego/tej człowieka? Kwestia druga: czy naprawdę nie docenicie, w Berlinie, Paryżu czy Brukseli, tej szalonej odwagi, która dzieciakom bojącym się ujawnić swoją orientację seksualną, zwłaszcza kilka lat przed pierwszym zbliżeniem, pozwoliła rzucać groźby karalne wobec stróżów prawa? Skakać po radiowozach, szarpać się z policją i krzyczeć do niej: „Faszyści! Co mordy zasłoniliście? Koronawirus to nie jest najgorszy wstyd, jaki wam się może na służbie przytrafić!". Nasza osoboczłonkini niebinarna LGBT, która wołała te słowa, trafiła nawet do pewnego brukowca. Na razie nie na ostatnią stronę, ale jako półżywy dowód na brutalność policji. Bo ta zdecydowała się ją zatrzymać. Czy jednak ta okładka oraz wystąpienie posłanki Prokop z Lewicy, grzmiącej o trwającym w Polsce holokauście gejów, którym wkrótce jej rodacy mają „nawet z grobów wyrywać zęby" (cokolwiek to znaczy) – to ma być już koniec waszej europejskiej pomocy dla nas, działaczy podziemia, nawet jeśli tylko erotycznego? Tylko na tyle wyceniacie akty naszego pełnego oddania? Naprawdę chcecie, żeby Margot zaczął sypać Michała? To znaczy – zaczęła? Wiecie, jaką to może uruchomić lawinę coming back outów?

Uprzedzamy lojalnie: na jedno nie ma zgody. Nie, nie chodzi o Radio Nowy Świat, którego naczelny uznał, że skoro Michał jest chłopakiem, to nie może być Gosią. A jak sobie jeden Anglik uznał, że jest psem i od roku nosi rzeczy w zębach, to jak go teraz wołać: „Proszę pana!" czy „Do nogi!"? Naczelnego, w imię wartości europejskich, oczywiście zwolniliśmy. Ale refleksje mamy porażające. Jeśli nawet dziennikarz Nowego Wspaniałego Świata nie szanuje prawa osoboistoty homobinarnej do bycia nazywanym tak, jak chce, choćby, psia jej mać, twierdziła ona, że jest morświnem czy innym waleniem, to cóż dopiero te heteronormatywne prostaki z aresztu męskiego?! Jakim prawem wsadza się kobietę razem z mężczyznami, nawet jeśli w jej dowodzie stoi, że ona jest mężczyzną? Kto da gwarancję, że pozostanie nim do końca osadzenia? A nawet jeśli dostała izolatkę, czy nie jest nieludzkie już samo zatrzymywanie takich osób? Uciśnionych, prześladowanych, bojących się iść za rękę po ulicy, zastraszonych tak bardzo, że jedyne, co im pozostało, to znaczenie terenu i pomników niczym bezdomne koty i gołębie? Przemyślcie to. Bo Małgosia, Michał, Człowiek-Pies i jego kot, który został wiewiórką, nawet Bonaparte z Presleyem z oddziału zamkniętego, bardzo na was liczą. Serio.

eprasa.pl 708d092fdd

Pełzająca niepewność

Jedyne, co nam pozostaje, to nie dać się zwariować, żyć w miarę normalnie, zachowując zdrowy rozsądek, i nie narażać się celowo na niebezpieczeństwo

Z powodu prawdziwej lub urojonej – jak uważają niektórzy – pandemii koronawirusa od miesięcy żyjemy w niepewności. Najpewniejsze jest to, że dziś nic nie jest pewne.

Kiedy wybuchła pandemia, a w Polsce zamknięto szkoły, restauracje, kina, teatry, galerie i obiekty sportowe, dzieciaki nie wiedziały, czy będą egzaminy czy nie, a jeśli tak, to kiedy. Podobnie było z maturami. Nie lepiej było z lekarzami. Ludzie, którzy mieli od miesięcy poumawiane wizyty u specjalistów, nie wiedzieli, czy one się odbędą czy nie, ci, którzy mieli planowe zabiegi, też nie wiedzieli, czy pójdą do szpitala. Pary, które miały zaplanowany ślub i wesele, nie wiedziały, czy będzie im dane się pobrać. Aktorzy, którzy mieli zaplanowane spektakle, nie wiedzieli, kiedy wrócą do pracy, a sportowcy nie wiedzieli, kiedy wrócą na boiska, bieżnie, baseny, hale sportowe czy tory wyścigowe. Przedsiębiorcy nie wiedzieli, czy ich biznesy przetrwają. Pary, które czekają na dziecko, nie wiedziały i nadal nie wiedzą, czy będą mogły urodzić wspólnie czy jednak nie. Długo nie było wiadomo, czy organizatorzy obozów dla dzieci (w naszym przypadku ten sam organizator od lat) zdecydują się czuwać nad wypoczynkiem dzieci czy też nie. Ci, którzy mieli lub mają zaplanowane zagraniczne wczasy, nie wiedzą, czy na nie pojadą czy nie, bo przecież znów mogą zostać zamknięte granice. Może bezpieczniej zostać na wypoczynek w Polsce? No, chyba że akurat tam, gdzie chcieliście wypoczywać, rozgości się ognisko epidemii. Wtedy lepiej wyjechać.

Od 1 września dzieci mają wrócić do szkół. Chyba że nie wrócą, bo akurat w danym powiecie będzie ognisko choroby. Zasadniczo nie będą musiały nosić maseczek, chyba że dyrekcja danej placówki stwierdzi, że jednak powinny, bo tego wymaga bezpieczeństwo w danym regionie. Teoretycznie powinno być bezpiecznie, chyba że ktoś przywlecze do szkoły koronawirusa. W sklepach też właściwie jest bezpiecznie, o ile masz maseczkę, choć ona nie chroni ciebie, ale chroni innych przed tobą.



A jeśli w jakiejś placówce pojawi się koronawirus, wówczas dzieci i rodzice pójdą na kwarantannę. Biorąc pod uwagę, że mam czwórkę dzieci w trzech różnych placówkach oświatowych, grozi mi permanentna kwarantanna. No bo niech to choróbsko pojawi się w przedszkolu. Dzieci na kwarantannę, rodzice też. Po dwóch tygodniach okazuje się, że jesteśmy zdrowi (lub ewentualnie bezobjawowi) i wtedy wirus pojawia się w podstawówce. Znowu kwarantanna. A potem ta sama ścieżka z liceum. Jeśli będę miała szczęście i nie zachoruję, to przynajmniej będę wypoczęta stałą kwarantanną. Chyba że w żadnej szkole nic się nie wydarzy... Nic pewnego.

Pewne jest to, że w życiu nic nie jest pewne. Poza śmiercią. Ta jest nieuchronna. Chyba że ktoś wymyśli szczepionkę, ale raczej nieprędko. Dlatego jedyne, co nam pozostaje, to nie dać się zwariować, żyć w miarę normalnie, zachowując zdrowy rozsądek i wszystkie względy bezpieczeństwa, nie narażając się celowo na niebezpieczeństwo: nie pchać się w tłumy, na koncerty czy do sklepów wielkopowierzchniowych.

Tak sobie jednak myślę w tych sierpniowych dniach, gdy świętujemy setną rocznicę Bitwy Warszawskiej, gdy upamiętniamy kolejną rocznicę Powstania Warszawskiego, że pewne jest to, że nasi przodkowie mierzyli się ze znacznie większymi wrogami. Tak naprawdę to oni, a nie my żyli w prawdziwej niepewności. Każda kolejna minuta życia była prawdziwym zwycięstwem. Był nim zdobyty posiłek, przeżyty dzień, radosny uśmiech, chwilowa beztroska. Nasze dzieci nie potrafią sobie wyobrazić świata bez wygodnej kanapy, telewizora, gier komputerowych, YouTube'a, telefonów, komputerów, galerii handlowych, frytek, sushi czy hamburgerów. A nasi przodkowie chcieli tylko żyć. Godnie żyć. Kochać, śmiać się, czuć.

Pomimo niedogodności czy uciążliwości związanych z epidemią możemy mówić o wielkim szczęściu. Nie zapominajmy o tym, gdy wyjście do sklepu urasta dla niektórych do rangi heroizmu.

Dorota Łosiewicz

Szwecja

Islamski bastion

Szwedzka Partia Zielonych chce uchwalenia prawa, które nałoży na wszystkie istniejące w Szwecji wspólnoty religijne – w tym muzułmańskie – obowiązek udzielania ślubów parom homoseksualnym.

63 proc. Szwedów przynależy formalnie do państwowego luterańskiego Kościoła Szwecji, przy czym – jak wynika z badań opinii publicznej – jedynie 18 proc. spośród 10 mln mieszkańców Szwecji deklaruje, że „wierzy w Boga". Istnieją tu również liczne wspólnoty ewangelikalne, ale odgrywają raczej niewielką rolę.

Szwedzkie Kościoły mają dość dużą autonomię w kwestii małżeństw. Mogą odmówić udzielenia ślubu w przypadku, gdy jest to niezgodne z religią lub gdy istnieje podejrzenie, że ślub zawierany jest fikcyjnie albo jest skutkiem przemocy. Większość wspólnot, powołując się na względy religijne, odmawia udzielania ślubów parom homoseksualnym, jedynie pięć spośród nich zgadza się na takie małżeństwa.

Wzbudziło to protesty szwedzkiej Partii Zielonych. Jej liderzy uważają, że jest to nielegalne, ponieważ szwedzkie prawo dopuszcza małżeństwa tej samej płci. A skoro małżeństwa udzielane w kościołach są uznawane przez państwo, to odmowa udzielania ślubów osobom LGBT przez wspólnoty religijne jest – zdaniem Zielonych – dyskryminacją i naruszeniem obowiązujących przepisów. Dlatego – jak twierdzą – żaden duchowny nie powinien mieć prawa odmówić ślubu parze homoseksualnej.

Przedstawiciele szwedzkich Kościołów odpierają te zarzuty, wskazując, że sami Zieloni głosowali za ustawą wprowadzającą dobrowolność ślubów religijnych i osoby homoseksualne mogą teraz zawierać związki cywilne. Zastępca sekretarza generalnego Ewangelicznej Federacji w Szwecji (SEA) Jacob Rudenstrand podkreśla też, że zgodnie z orzecznictwem Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości związki religijne mają pełną swobodę podejmowania decyzji w sprawie udzielania ślubów.

Pomysły Zielonych wzbudzają też poważny niepokój wśród liczącej blisko milion osób wspólnoty muzułmańskiej. Zgodnie z prawem szariatu współżycie osób tej samej płci jest karalne. Różnice interpretacyjne dotyczą jedynie rodzaju i dotkliwości kary. Udzielanie ślubów homoseksualnych przez imamów byłoby więc – z punktu widzenia islamu – religijnym przestępstwem i jest całkowicie niedopuszczalne.



Na razie projekty Zielonych mają więc niewielkie szanse powodzenia. Ta skrajnie lewicowa partia ma zaledwie 16 deputowanych w liczącym 349 miejsc Riksdagu. Ale nawet gdyby Zieloni zdołali przekonać inne partie do swojego pomysłu, wywołałoby to zdecydowany opór mniejszości muzułmańskiej. Islamskie wspólnoty są dziś znacznie skuteczniejsze niż podupadły Kościół luterański.

Konrad Kołodziejski

Fot. Andrzej Skwarczyński

Wielka Brytania

Słowo na N

Nie będzie chyba dla nikogo wielkim zaskoczeniem informacja, że BBC stoi na straży politycznej poprawności. Brytyjczycy z publicznych mediów przyzwyczaili nas już do tego, że są w awangardzie rewolucji kulturowej.

BBC przeprosiło właśnie za „użycie i obronę" rasistowskiego określenia, jakie padło na antenie. Chodzi o użycie słowa „czarnuch" w raporcie o napaści w Bristolu. Zakazanego słowa użyła biała reporterka Fiona Lamdin, przy czym cytowała ona jedynie policyjny raport, wedle którego napastnicy mieli wyzywać swoją ofiarę od „czarnuchów". „Ostrzegam państwa, że usłyszycie zaraz bardzo obraźliwy język" – zastrzegła w materiale reporterka.

Okazuje się jednak, że nawet w takim przypadku nie wolno cytować słów napastników, jeśli mają one rasistowskie zabarwienie. Ponad 18 tys. osób zaprotestowało przeciwko opublikowanemu materiałowi. Oburzenie wyrazili też parlamentarzyści. A kenijski korespondent BBC w USA skrytykował własną stację, pisząc, że jemu nie pozwolono zacytować słowa „czarnuch", którego użył amerykański polityk.



BBC od jakiegoś czasu zakazuje swoim dziennikarzom używania określeń, które mogą obrażać widza. Słowo „czarnuch", jeżeli ktoś je wypowie, ma być zastąpione w cytatach sformułowaniem „N-word" („słowo na N" – od Nigger, czyli właśnie czarnuch). Gwiazda brytyjskiej telewizji i były dziennikarz BBC Jeremy Clarkson został kiedyś określony rasistą, ponieważ nazwał swojego psa o czarnym umaszczeniu nazwiskiem francuskiego czarnoskórego piłkarza grającego w angielskiej lidze Didiera Drogby. Natomiast mający hinduskie korzenie dziennikarz i członek Izby Lordów Inderjit Singh nie mógł w radiowym BBC 4 opowiadać o jednym z guru Sikhów, który w XVII w. został stracony za konwersję na islam. BBC uznało, że program obrazi muzułmanów. Singh odszedł ze stacji.

W 2019 r. w Wielkiej Brytanii wybuchła dyskusja na temat zalecenia BBC, aby pracownicy tej stacji nie używali słowa „terrorysta". „Dla jednych to terrorysta, a dla innych bojownik o wolność" – wyjaśniał w brytyjskich mediach pracownik stacji.

Na razie BBC pozwala nazywać terrorystów terrorystami tylko w cytatach. Czy jednak po aferze ze słowem „czarnuch" taka wielkoduszność BBC się utrzyma? Można mieć wątpliwości.

Łukasz Adamski

Fot. seeshootrepeat/Shutterstock.com

eprasa.pl 708d092fdd

Najpierw meczet, teraz medresa

Turcja



Fot. Shutterstock

W Turcji na jedną z najbardziej wpływowych osób w państwie wyrasta Ali Erbaş, szef Diyanetu, czyli tamtejszego urzędu ds. wyznań. Jest to instytucja państwowa powołana do życia w 1924 r. przez Mustafę Kemala Atatürka jako organ kontrolujący życie religijne. Przez dziesiątki lat Diyanet stał na straży świeckości republiki tureckiej, ograniczając wpływy islamu politycznego. Żadne kazanie mułły w meczecie nie mogło być wygłoszone bez wcześniejszego zatwierdzenia w urzędzie. Podobne instytucje powstawały w krajach podbitych przez komunizm, w tym także w PRL, jako instrument walki państwa z Kościołem. Nic więc dziwnego, że Diyanet był serdecznie znienawidzony przez mułłów.

Dziś najchętniej nosiliby oni Alego Erbaşa na rękach, ponieważ pod rządami Recepa Erdoğana podległy mu organ zamienił się w machinę rozszerzającą wpływy islamu. Dysponuje on budżetem ok. 1,4 mld euro, zatrudnia ponad 100 tys. osób i nadzoruje 84 684 meczety w Turcji oraz ok. 2 tys. za granicą. To właśnie on 24 lipca poprowadził dwie pierwsze modlitwy podczas uroczystości zamieniających Hagię Sophię w meczet. Trzymał wówczas w ręku miecz z wygrawerowanym na ostrzu cytatem z Koranu.

W jednej z ostatnich wypowiedzi Ali Erbaş zaatakował publicznie (rzecz niedawno jeszcze nie do pomyślenia) najbardziej nietykalną osobę w kraju, czyli Mustafę Kemala Atatürka, krytykując twórcę świeckiego państwa tureckiego za przekształcenie w 1935 r. Hagii Sophii w muzeum. Gdy wypowiedź ściągnęła na Alego Erbaşa głosy niezadowolenia ze strony laickich elit, w jego obronie wystąpił sam Recep Erdoğan, ostrzegając, że „atak na przywódcę Diyanetu jest równoznaczny z atakiem na państwo. To, co powiedział on w swoim wystąpieniu, jest poprawne w każdym fragmencie".

Zachęcony osobistym poparciem prezydenta Ali Erbaş ogłosił następny etap islamizacji Hagii Sophii. Po przekształceniu obiektu w meczet otwarta zostanie w nim medresa, czyli szkoła koraniczna. Jaki będzie kolejny krok?

Grzegorz Górny



Fot. Alex Gakos/Shutterstock.com

Historia zatacza koło

Liban

Po tragicznym wybuchu ładunku saletry w bejruckim porcie Liban pogrążył się w politycznym chaosie. Tuż po tragedii zaczęły się protesty ludności. Mieszkańcy libańskiej stolicy pisali na murach hasło „Nasz rząd to zrobił", obwiniając władze o karygodne zaniedbania, które spowodowały, że groźny ładunek przechowywany był w porcie przez sześć lat i nikt z nim nic nie zrobił.

Protestujący wdarli się do trzech ministerstw, palili kukły i wieszali na symbolicznych szubienicach wizerunki premiera Libanu Hassana Diaba, prezydenta Michela Aouna oraz lidera szyickiego ruchu Hezbollah Hassana Nasr Allaha. W starciach z policją rany odniosło ponad 700 osób, z czego setkę stanowili funkcjonariusze sił porządkowych.

Furię demonstrantów podgrzała nieporadność władz. Burmistrz Bejrutu jednego dnia mówił o tym, że straty w wyniku eksplozji szacowane są na 3 mld dol., by dzień później argumentować, że na odbudowę miasta potrzebne jest aż 15 mld dol. Wielu Libańczyków uważa, że wahania z wyceną strat wynikają z tego, że klany rządzące miastem chcą sobie przywłaszczyć międzynarodową pomoc. Tylko że ta jest mniejsza od potrzeb, bo dotychczas Unia Europejska zadeklarowała wsparcie na poziomie 33 mln euro i dodatkowo być może kolejne 30 mln, a Wielka Brytania 20 mln funtów i w przyszłości jeszcze 5 mln. Najbardziej szczodra, przynajmniej w deklaracjach, okazała się Francja, która obiecała 250 mln euro. Ale jak powiedział Emmanuel Macron, dystrybucją tych środków będzie się zajmował osobiście i mają one trafić do narodu libańskiego, w żadnym razie nie do obecnych władz.

Te deklaracje Macrona oraz jego niespodziewana wizyta w zdewastowanym Bejrucie są częścią planu odbudowy pozycji Francji w regionie. Macron, zaraz po tym jak jego samolot wylądował na bejruckim lotnisku, powiedział, że „czuje gniew Libańczyków" i demonstracyjnie nie przywitał się z oczekującymi nań politykami. Uzależnił też pomoc finansową od zawarcia pod francuskim patronatem porozumienia między głównymi siłami w kraju.

Zdaniem obserwatorów Francja chciałaby powrócić do roli, jaką odgrywała w latach 1920–1943, kiedy Liban znajdował się pod jej protektoratem. Zapewne niemała część Libańczyków, zmęczonych korupcją i swarliwością własnych elit, byłaby zadowolona z takiego rozwoju wydarzeń. Petycję domagającą się przywrócenia francuskiego protektoratu w ciągu kilku dni podpisało kilkadziesiąt tysięcy osób.

W obliczu demonstracji i kryzysu gospodarczego rząd Hassana Diaba podał się do dymisji. Kraj czekają nowe wybory. Jednak nie wiadomo, czy w ogóle się one odbędą, bo główne siły polityczne ciągle nie mogą ustalić kształtu ordynacji.

Marek Budzisz

eprasa.pl 708d092fdd

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Sekslewica na ulicach



Jan Pietrzak

Trochę to dziwne, że tuż po wyborach prezydenckich uaktywniła się seksualna lewica. Dostrzegamy w tej formacji jakieś pobudzenie, wzmożenie emocjonalne. W dniu zaprzysiężenia Andrzeja Dudy na drugą kadencję pojawili się na sali sejmowej w barwach organizacyjnych, wymachując egzemplarzami konstytucji, w której jest paragraf o kobiecie i mężczyźnie, natomiast niestety o obojnakach, queerach i genderach nie ma nic. Aleksander Kwaśniewski zlekceważył lewicową potrzebę seksualizacji, podpisując w 1997 r. najważniejszy akt prawny III RP.

Ktoś zaproponował z boku – zróbcie zadymę pod domem Kwaśniewskiego, nie w Sejmie. Ale seksaktywiści, wyszkoleni za pieniądze ratusza, mieli inne adresy zgromadzeń prowokujących policję. Wiecowali także pod pałacem Stalina, znanego lewicowca. Z dziką rozkoszą profanowali pomniki, których symboliki nie są w stanie pojąć. Zatrzymano m.in. mężczyznę podającego się za kobietę, który, jak ujawnił kolega, w ten sposób chciał się znaleźć w damskim areszcie.

Wrażliwy na miejskie nieczystości włodarz stolicy, któremu nieraz pękała rura od kłopotów, wolał tego wszystkiego nie oglądać. Czmychnął na wakacje z dziećmi, wykorzystując bony turystyczne. Miłośnicy wolnego seksu z braku laku wycięli sylwetkę Trzaska z dykty, by choć w ten sposób obcować z nim ideowo i namacalnie.

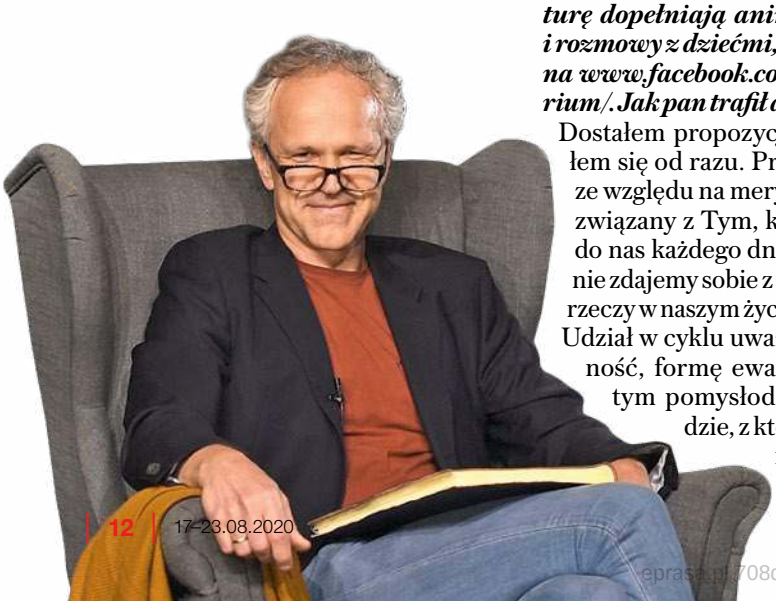
O ile dobrze pamiętam, sprawy erotyczne są jednym z przyjemniejszych życiowych popędów. Osoby, które nie znajdują innych zainteresowań poza przyjemnościowym pocieraniem naskórka, mają oczywiście prawo, jak każdy, powołać partię polityczną, której głównym celem będą regulacje ułatwiające spółkowanie wszystkich z wszystkimi wszędzie i zawsze. Jeżeli taka partia zdobędzie większość w parlamencie, ukształtuje życie publiczne na swoich warunkach. Na tym polega demokracja, na którą powołują się prowokacyjni ulicznicy. Dopóki nie zgromadzą znaczącego elektoratu, muszą żyć jednak w warunkach określonych przez obecną większość, a te są proste, nie są szczególnie wyszukane: polska tożsamość, ludzka godność, społeczna solidarność, biało-czerwona wrażliwość, w szufladzie guzik z orzełkiem z munduru dziadka z 1920 r.

Opowieści nie tylko biblijne

*Z aktorem **Radosławem Pazurą** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Dwanaście historii, dwunastu aktorów i efekt, który rozwija się w sieci od lipca. O czym mowa?

Radosław Pazura: O „Opowieściach biblijnych on-line" Teatru Oratorium, przygotowanych z myślą o najmłodszych. Przeczytałem w nich „Opowieść o talentach".



Cykl audycji, w których głośną lekturę dopełniają animacje z piasku i rozmowy z dziećmi, można oglądać na www.facebook.com/TeatrOratorium/. Jak pan trafił do tego projektu?

Dostałem propozycję i zdecydowałem się od razu. Przede wszystkim ze względu na merytorykę, przekaz związany z Tym, który przemawia do nas każdego dnia, choć czasami nie zdajemy sobie z tego sprawy. A to rzeczy w naszym życiu najważniejsze. Udział w cyklu uważałem za powinność, formę ewangelizacji. Poza tym pomysłodawcami byli ludzie, z którymi już wcześniej pracowałem.

Teatr Oratorium to szczególna scena.

Działa przy warszawskiej Bazylice Najświętszego Serca Jezusowego [to także spektakularny obiekt architektury – przyp. red.]. Scena i widownia mieszczą się w podziemiach. W takim miejscu, również dosłownie, za sprawą akustyki, wyraziściej wybrzmiewają teksty związane z tematyką chrześcijańską. Brałem tu udział w adaptacji „Wieczernika" Ernesta Brylla.

W „Opowieściach biblijnych on-line" czytał pan dzieciom, a co wybrał pan ostatnio dla siebie?

M.in. dzienniki zmarłej w 2012 r. mistyczki Alicji Lenczewskiej, które ukazały się w książce „Świadectwo". Literatura związana z duchowością jest mi w ostatnich latach szczególnie bliska.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl/708d092fdd

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ideologia w natarciu



Większość komentatorów ostatnich wyborów uznawała, że kampanijna debata na temat LGBT była przykładem oderwania się polityków od rzeczywistości. „Kogo w Polsce naprawdę obchodzą te problemy" – słyszeliśmy. I mimo że należy zgodzić się, że mało kto, nie tylko zresztą w Polsce, zajmuje się kłopotami osobników odkrywających w sobie siódmą płeć, to wyciągane z tego wnioski nie są słuszne. Paradoks polega na tym, że te egzotyczne i absurdalne zagadnienia stają się dziś centrum ideologii, która dominuje Zachód i narzuca jego obywatelom sposób myślenia.

Ludziom współczesnym wydaje się dziwaczne, że różnica zdań na temat Trójcy Świętej była zarzewiem największych w swoim czasie politycznych sporów i wojen domowych, a konflikt na temat roli obrazów w chrześcijaństwie wstrząsnął Cesarstwem Bizantyjskim i zagroził jego istnieniu. W rzeczywistości kontrowersje te dotyczyły kształtu panującej religii, nic dziwnego więc, że wywoływały wielkie namiętności. Fakt, że dominująca ideologia każe wczuwać się nam w duszne rozterki transseksualistów, dużo mówi o niej i naszej epoce.

Zgodnie z obowiązującą doktryną mamy obowiązek pochylić się nad każdą indywidualną rozterką i traumą każdej mniejszości. Ten niby niezwykle humanitarny postulat ma jednak swoją cenę. Normy życia zbiorowego, ideały, do których zmierzamy, a więc i kultura, która musi się na nich wspierać, zawsze będą wywoływać frustrację tych, którzy nie potrafią im sprostać. Wiedział o tym także Freud, pisząc „Kulturę jako źródło cierpień". Nowa ideologia jednak w imię eliminacji owych niedogodności kwestionuje wszelkie tradycyjne zasady, a więc i kulturę jako taką, postuluje emancypację, a więc uwolnienie się od niej. Mamy przezwyciężyć tradycyjną, „patriarchalną", a więc istniejącą cywilizację. Efektem staje się odwrócenie biegunów. To, co było normą, zostaje odrzucone w imię antynormy, instytucje, które tradycyjnie uznawane były za residuum cnót, jak rodzina, Kościół czy państwo jako forma narodu, stają się podejrzane i są sukcesywnie niszczone. Wprawdzie demokracja jest fetyszem nowoczesności, ale jej autentyczna forma piętnowana jest jako populizm, a za ideał uznawana jest „demokracja liberalna", która stanowi jej zaprzeczenie.

Ideologia LGBT głosi, że nie jest ideologią, a tożsamością mniejszości seksualnych, tak jak komunizm miał być samoświadomością klasy robotniczej. Samo nazwanie więc ideologii, która w specyficzny sposób interpretuje już nie tylko rzeczywistość społeczną, ale i biologię człowieka, piętnowane jest jako akceptacja opresji i krzywdy mniejszości. Aktywiści LGBT stają się obrońcami pokrzywdzonych i nie tylko mają być chronieni przed krytyką, ale i decydują, co jest językiem nienawiści, a więc winno być wyeliminowane z życia społecznego, i w ten sposób stają się panami cenzury. Udział w tych przywilejach mają ich polityczni stronnicy.

Ewolucja polskiej sceny politycznej jest doskonałą ilustracją procesu, w którym marginalne sprawy stają się problemem centralnym i służą zakwestionowaniu mocno – wydawałoby się – osadzonego porządku.

PO, która nie tak dawno odwoływała się do konserwatywnego ładu i której politycy wydawali się najdalsi od ekscesów ideologii emancypacji, pod wodzą Donalda Tuska przekształciła się w oportunistyczną partię władzy, obecnie wraz z lewicowymi ugrupowaniami zorientowała się, że poparcie dla LGBT stanie się wygodnym narzędziem w walce z PiS. Nowa ideologia przedstawiana jest (jak marksizm) jako walka o obronę uciśnionych, w której wszystko jest dozwolone. Dlatego aresztowanie przez sąd bojówkarza, który bije ludzi i niszczy ich mienie, przedstawiane jest przez tych polityków i sympatyzujące z nimi media jako pisowski terror i zestawiane publicznie przez m.in. Rafała Trzaskowskiego z represjami Łukaszenki wymierzonymi w walczących o demokrację Białorusinów. Ten brak granic w posługiwaniu się demagogią niszczy racjonalny język i uniemożliwia rozpoznawanie rzeczywistości. Nie tylko młodzi ludzie, którzy nie interesują się transseksualnymi rozterkami, uznają, że należy bronić opresjonowanych, a opinia publiczna, bombardowana sprzecznymi komunikatami, domaga się przede wszystkim spokoju.

To, że walka o tzw. prawa mniejszości seksualnych wymierzona jest w tradycyjną rodzinę, niszczy sprawiedliwy porządek prawny i demokrację, nie jest rozpoznawane przez większość ani brane pod uwagę przez cynicznych polityków. Opinia publiczna ulega presji agresywnej, ale dobrze zorganizowanej mniejszości, a jej postulaty stają się prawem, antynorma przekształca się w normę. Polityka degeneruje się, a konsekwencje tego są na dłuższą metę fatalne dla wszystkich, włącznie z formalnymi zwycięzcami.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 708d092fdd

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY *Nataszy Leśniak* PRZED KORONAWIRUSEM





Dużo we mnie sprzeczności, moja natura jest bowiem otwarta na kontrasty. Na przykład uwielbiam samotność, wolność, naturę, ale jednocześnie jestem zwierzęciem społecznym. Lubię ludzi, zgiełk, architekturę, miasto. To jest to.

Himalaje

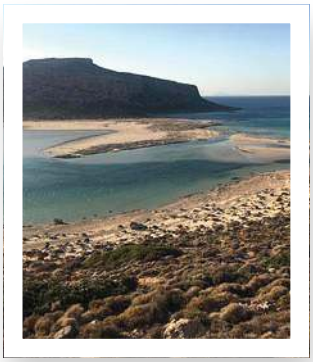
Rok 2010. Wejście do ostatniego base campu znajdującego się 4300 m n.p.m., z którego profesjonalni himalaiści atakują szczyt Annapurny.

Żeby się tam dostać, potrzebowaliśmy sześciu dób. To była wspaniała wyprawa, ponieważ każdego dnia w miarę wchodzenia wyżej mijaliśmy strefy innej roślinności. Na początku były upały. Mijaliśmy dżunglę, potem las rododendronów, dziwne mchy, pola ryżowe, aż w końcu zaczęliśmy wchodzić w zimny klimat. Nasze plecaki stawały się lżejsze, ponieważ wyciągaliśmy ciepłą odzież, zimowe obuwie. Na wysokości 4300 m był już prawdziwy mróz i naprawdę surowe warunki. Za to widoki przepiękne! W pewnym momencie dopadła mnie choroba wysokościowa – zawroty głowy, mdłości, bóle brzucha – musieliśmy się wtedy cofnąć. Trochę odpoczęliśmy i z powrotem ruszyliśmy w górę.



Kreta

Na największej wyspie Grecji byłam zawodowo. Kocham sytuacje, gdy kręcimy coś w innych krajach, bo to łączy moje dwie pasje – aktorstwo i podróże. Akurat na najpiękniejszej plaży Krety – Balos – kręciliśmy reklamę biura podróży.



Filipiny

Rok 2015. Wyjazd mniej związany ze sportem, bardziej z poszukiwaniem mojej potrzeby wolności, przestrzeni, spokoju, natury. Zawsze podróżuję z plecakiem, śpię w hostelach. Na miejscu weryfikuję plan zwiedzania, szukam nowych miejsc, rozwiązań. W wyjazdach najbardziej cenię to, że nie liczy się czas, nie ma obowiązków ani ograniczeń czy oczekiwań.



Moją pierwszą większą podróż odbyłam 15–17 lat temu. Swoją czwórkę towarzyszy eskapady... poznałam na lotnisku. To była superprzygoda z docieraniem się, ponieważ się nie znaliśmy. Z różnymi charakterami 24 godziny na dobę w ekstremalnych sytuacjach, kiedy trzeba było dokonywać wyborów... To była wspaniała przygoda!



Wulkan Acatenango

Znajduje się w Gwatemali i liczy prawie 4000 m wysokości. Z jego szczytu widać wystający ponad chmurami aktywny wulkan Fuego. Żeby podziwiać wschód słońca, na jego szczyt wspięliśmy się o czwartej rano. I znowu dopadła mnie choroba wysokościowa. Uczucie ociężałości i słabości powodowało, że szliśmy bardzo powoli, ale po dotarciu na szczyt uczucia satysfakcji nie można z niczym porównać.





eprasa.pl 708





Tatry

Na zdjęciu wejście na Mnicha nad Morskim Okiem w 2015 r. Lubię adrenalinę, która mnie prowadzi w życiu. M.in. dlatego zdecydowałam się na zawód aktorki. To nie tylko trema przed występem scenicznym czy na planie filmowym. To również niepewność jutra – czy będzie praca, czy nie. My, aktorzy, stale jesteśmy na krawędzi – castingi, rozmowy, negocjacje, wieczna ocena. To też jest adrenalina, z której czerpię energię do działania. Dlatego tak uwielbiam wspinaczkę wysokogórską i kanioning. Pokonywanie na piechotę, ze sprzętem, górskich rzek to prawdziwa zabawa; skoki z dużych wysokości, slajdy do wody, ale także nieskażona natura i obłędne widoki. To niebezpieczny sport. Mimo profesjonalnego sprzętu – kamizelek i kasków oraz opieki instruktorów – ryzyko zderzenia z wystającym głazem zawsze jest możliwe. Ten sport nie jest popularny w Polsce, ponieważ nie mamy kanionów, poza odcinkiem z Wodogrzmotami Mickiewicza w Tatrach. Za to w Słowenii, Austrii, we Włoszech są wspaniałe warunki do uprawiania tej dyscypliny.



Wielki Kanion

Stan Arizona. Byłam tam dwukrotnie i za każdym razem czułam w sercu niewytłumaczalne wzruszenie. Stojąc na krawędzi Wielkiego Kanionu, czułam tęsknotę za domem, tak jakbym była częścią tamtej przestrzeni. Na pierwszą wyprawę po Stanach wybrałam się z koleżanką. Wypożyczyłyśmy samochód i przejechałyśmy w sumie ponad 1500 km. Kocham morze i ocean, dlatego zatrzymywałyśmy się co chwila i tam, gdzie to było możliwe, kąpałyśmy się, skakałyśmy w falach, tymczasem na plaży wylegiwały się leniwie dzikie foki. Zwiedzałyśmy parki narodowe, rezerwaty Indian, m.in. Monument Valley, należący do plemienia Navaho. Z jakiegoś powodu bardzo bliscy mi są rdzenni mieszkańcy Ameryki Północnej.

Spisał ***Michał Korsun***

Bohaterka materiału jest aktorką i podróżniczką

zdjęcia bohaterki tekstu

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Komu to przeszkadzało?



Dominik Zdort

Co roku przy okazji patriotycznej rocznicy odzywa się któryś z lewicowych autorytetów, aby ponarzekać na polską prawicę, że tak umiejętnie wykorzystuje okazję, aby wzmocnić swoją pozycję. Tym razem na wysokości zadania stanęła Magdalena Środa, niegdyś przenikliwa filozof, u której pobierałem nauki. W felietonie opublikowanym w jedynej takiej gazecie pani profesor rytualnie ponarzekała na „pompatyczny sentymentalny militaryzm (msze, żołnierze na koniach, rekonstrukcje historyczne, łzy w oczach”), ze szczególnym uwzględnieniem „narodowo-religijnego kiczu”.

W tle tego felietonu czuć było niewypowiedziany zawód. Że obecna władza tak skutecznie gra na społecznych nastrojach, że na demonstracje z okazji rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego przychodzą tysiące ludzi z biało-czerwonymi flagami, a zwolennicy przyznania gejom przywilejów muszą się publicznie awanturować, rozcinać nożami plandeki ciężarówek i wieszać na pomnikach tęczowe flagi, żeby ktoś ich zauważył.

Problem jednak nie polega na diabolicznych zdolnościach czy cynicznych taktykach prawicowych spin doktorów. Jest immanentny i dotyczy kształtu współczesnej lewicy. Po prostu importowane z Zachodu ideologie typu gender czy LGBT nie budzą u większości Polaków emocji. Równocześnie nowa lewica nie potrafi dostosować się do naszej wrażliwości, brzydzi się obchodzeniem patriotycznych rocznic i marszami z biało-czerwonymi flagami, bo... kojarzy jej się to z nazistami.

Co jest dość zabawne, bo jakoś lewacy nie dostrzegają, że maszerujące przez polskie miasta pochody z tęczowymi flagami znacznie bardziej przypominają działania nazistów i faszystów – organizuje je radykalna i agresywna mniejszość pragnąca wymusić na większości realizację swoich żądań.

Idealną sytuacją byłoby, gdyby w Polsce pojawiła się tradycyjna lewica społeczna, rozumiejąca polską wrażliwość, zabiegająca o przyzwoite zarobki dla pracowników – trochę w typie przedwojennej PPS. Na co dużej nadziei nie ma. Ostatnią lewicową formacją bliską temu ideałowi był – paradoksalnie – postkomunistyczny SLD z czasów, gdy władzę w partii dzierżyli dobrotliwi konserwatywni byli sekretarze PZPR Leszek Miller i Józef Oleksy, dbający raczej o interesy byłych esbeków i mundurowych emerytów niż o rozkosze półnagich uszminkowanych młodzieńców całujących się na platformach w centrach miast. I komu to przeszkadzało?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 708d092fdd

OGNIEM NA WPROST

Kot i dyplomacja



Palmerston jest czarno-białym kotem, który od ponad czterech lat mieszka w siedzibie brytyjskiego resortu spraw zagranicznych, niedaleko siedziby premiera przy Downing Street 10. Nosi imię na cześć XIX-wiecznego ministra spraw zagranicznych i dwukrotnego szefa rady ministrów, wicehrabiego Palmerstona. Ostatnio wystosował list do Simona McDonalda, najwyższego rangą urzędnika służby cywilnej w MSZ, w którym poinformował, że rezygnuje z pełnienia obowiązków głównego łowcy myszy dyplomacji brytyjskiej, gdyż pragnie wieść spokojniejsze życie na wsi. Oficjalnym powodem dymisji jest to, że w czasie epidemii koronawirusa, który uwięził go w domu, doszedł do wniosku, iż życie z dala od dyplomatycznego zgiełku jest spokojniejsze i łatwiejsze. Jednocześnie wyraził ubolewanie, że jego znak firmowy, jakim było udawanie, że śpi, podczas gdy w rzeczywistości podsłuchiwał rozmowy zagranicznych dygnitarzy, będzie z pewnością sporą stratą dla brytyjskich służb wywiadowczych, ale w miarę jak przybywa mu lat, musi myśleć także o sobie i zrezygnować z dyplomatycznych obowiązków. Kota napawa duma, że miał możliwość podawania łapki politykom z wielu krajów, tak liczne zaś grono obserwujących jego konto na Twitterze (106,6 tys.) jest dowodem, że nawet istoty chodzące na czterech kończynach mogą odegrać ważną rolę w budowaniu wizerunku Wielkiej Brytanii i pomóc w osiąganiu jej celów. Teraz Palmerston wiedzie życie na wsi, które bardzo mu się spodobało, szczególnie lubi się wspinać na drzewa. List został podpisany odciskami dwóch jego łapek. Tajemnicą poliszynela jest również to, że nie miał najlepszych stosunków z Larrym – oficjalnym kotem urzędu premiera. Między nimi dochodziło momentami do pomrukiwań, ale – jak twierdzi stacja BBC – nie były one przyczyną jego rezygnacji.

Polityk SLD Leszek Miller czynnie się włączył w promocję (czyt. kłamstwa) ruchu LGBT. W kontekście protestów bojówkarzy LGBT na Krakowskim Przedmieściu po aresztowaniu i osadzeniu Michała Sz. (Margot) zadał pytanie: „Czy prawdą jest, że najbardziej brutalni policjanci bez naszywek z nazwiskami na mundurach to poprzebierani ochotnicy z WOT?”. W ten sposób insynuował bezpośredni udział formacji obrony terytorialnej w kilkunastu zatrzymaniach na Krakowskim Przedmieściu, zwanych przez reagujących histerycznie uczestników nielegalnego zgromadzenia „tłumieniem protestów jak na Białorusi”. Do jego wpisu odniósł się rzecznik Wojsk Obrony Terytorialnej płk Marek Pietrzak: „Byli już tacy, którzy nas o takie rzeczy pomawiali. My kierujemy takie sprawy do sądów, mamy już takie sprawy wygrane. Apeluję o trzeźwe myślenie!”. Jak wiadomo, kiedy w PRL esbecja przeprowadzała wymierzoną w homoseksualistów akcję „Hiacynt”, prominentny obecnie działacz opozycji Leszek Miller piastował stanowisko pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Skierniewicach, by w grudniu 1988 r. awansować na członka i sekretarza KC PZPR. Teraz stroi się w piórka tych, których jego formacja polityczna w dawnych czasach prześladowała i wymyśla co i raz jakieś niedorzeczne konstrukcje, by uderzyć w partię rządzącą. Można by się zastanowić, skąd akurat u tego starego aparatczyka takie skojarzenia? Otóż podczas tłumienia protestów studenckich w marcu 1968 r. przebrano w cywilne łachy kilkudziesięciu oficerów – ochotników Ludowego Wojska Polskiego, by galopowali po Krakowskim Przedmieściu razem z odzianymi w służbowe płaszcze ortalionowe członkami ORMO i walili gumą po plecach uciekającą młodzież. W PRL zawsze honor oficera komunisty był, jak widać, najwyższą wartością. A dziś widać – nie pamięta wół, jak cielęciem był.

Do aktywistów z LGBT zdążyli dołączyć już Obywatele RP i od razu w ramach walki o miłość sprofanowali pomnik Jana Pawła II, okrywając go udającym tęczę kawałkiem materiału. „To próba pewnego zawłaszczania symboli i jednocześnie próbowanie też naszej odporności” – zauważył ks. prof. Paweł Bortkiewicz, ekspert w sprawach ideologii LGBT, komentując kolejną prowokację. „Integralnym elementem tej ideologii jest chociażby czynienie aborcji »prawem reprodukcyjnym kobiety«” – podkreślił duchowny. Ksiądz profesor powiedział również, co sądzi o wieszaniu symbolu ruchu LGBT na monumentach – upamiętnieniach takich jak figura św. Jana Pawła. „To tak, jakby powiesić swastykę na budynku Yad Vashem” – użył silnej metafory. Kontynuując jego myśl, podobna sytuacja jest z tzw. sześciobarwną tęczową flagą, która ma tyle wspólnego z prawdziwą tęczą – Przymierzem Człowieka z Bogiem – ile symbol wiary chrześcijańskiej – krzyż – ze złamanym krzyżem. W końcu swastyka w sanskrycie oznacza „przynoszącą szczęście”. Prawda, że ładnie?

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 708d092fdd

Pora na prawo holdingowe



Marta Kaczyńska-Zielińska

Rządowe Centrum Legislacji opublikowało projekt nowelizacji Kodeksu spółek handlowych, wprowadzającej tzw. prawo holdingowe. Projekt skierowano do konsultacji społecznych, które mają potrwać do 19 września 2020 r. Nowelizacja, przygotowana przez komisję działającą przy Ministerstwie Aktywów Państwowych, przewiduje ustanowienie w przepisach kodeksu definicji „grupy spółek", która ma się składać z kierujących się wspólną strategią gospodarczą spółki dominującej i co najmniej jednej spółki zależnej. Strategia zostanie opisana w umowach lub statutach każdej spółki zależnej, umożliwiając spółce dominującej sprawowanie jednolitego kierownictwa nad spółką albo spółkami zależnymi. W kodeksie spółek pojawi się również nowe pojęcie „interesu grupy kapitałowej", które będzie doprecyzowane w szczególności poprzez przepisy określające zakres poleceń wydawanych przez organy spółki dominującej oraz zmianę zasad odpowiedzialności członków organów spółek grupy. Zgodnie z założeniami legislacyjnymi spółce dominującej zostaną przyznane uprawnienia do wydawania poleceń względem spółek zależnych. Podmioty zależne będą mogły się uchylić od wykonania polecenia w określonych wypadkach. Nie będzie to dotyczyło spółek jednoosobowych.

Wzmocnione zostaną interesy wierzycieli spółek zależnych. Spółki dominujące będą ponosić subsydiarną odpowiedzialność za szkodę wyrządzoną wierzycielowi spółki zależnej w następstwie wykonania przez nią wiążącego polecenia.

Organy nadzorcze spółek zarówno w grupach spółek, jak i w spółkach zależnych zostaną wyposażone w dodatkowe kompetencje i uprawnienia, co wymusi dbałość o ich większy profesjonalizm. Jak wskazano w ocenie skutków regulacji (OSR), twórcy pomysłu dążą do przekształcenia roli rady nadzorczej z organu w praktyce nierzadko wyłącznie kontrolnego w organ równoprawny zarządowi, posiadający dostęp do informacji oraz realnie korzystający z instrumentów nadzoru.

Celem nadrzędnym nowelizacji przepisów Kodeksu spółek handlowych ma być wzmocnienie bezpieczeństwa spółek i podmiotów nawiązujących z nimi stosunki prawno-gospodarcze. Organy nadzorcze spółek dominujących będą miały obowiązek sprawować pieczę nad realizacją interesu grupy spółek także przez spółki zależne. W posiedzeniach, których przedmiotem jest ocena rocznego sprawozdania spółki, będzie musiał uczestniczyć główny biegły rewident. Zarząd spółki akcyjnej będzie musiał udzielać odpowiedzi radzie nadzorczej bez konieczności skierowania przez tę ostatnią dodatkowego wezwania. Rady nadzorcze będą mogły współpracować z wybranymi doradcami, których zadaniem będzie analiza dokumentów przekazanych przez zarząd lub pracowników spółki. Rada nadzorcza będzie rokrocznie przedstawiać wspólnikom i akcjonariuszom sprawozdania za ubiegły rok obrotowy.

RCL proponuje, aby nowe przepisy w większym stopniu zabezpieczały mniejszościowych wspólników i akcjonariuszy spółek z grup kapitałowych. Narzędziem służącym wzmocnieniu pozycji wspomnianych podmiotów ma być instytucja przymusowego wykupu i przymusowego odkupu w spółkach z grupy. Projekt zawiera także przepisy ustanawiające odpowiedzialność spółki dominującej wobec wspólnika albo akcjonariusza spółki zależnej za obniżenie wartości jego udziałów/akcji.

Luka w prawie spółek w postaci braku odpowiednich regulacji prawnych odnoszących się wprost do istniejących holdingów od wielu lat stanowiła przeszkodę w ich funkcjonowaniu i zniechęcała do ich tworzenia. Członkowie zarządu spółek zależnych mogli się narażać na negatywne konsekwencje prawne działań podejmowanych w interesie grupy, ale mogących stać w sprzeczności ze stabilnością kierowanych przez nie podmiotów. Proponowane przez ministerstwo nowe przepisy nadrabiają wieloletnie zaległości legislacyjne i dostosują obowiązujące prawo do potrzeb ewoluującego w Polsce biznesu.

REKLAMA



48/0720/F

eprasa.pl 708d092fdd

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FELISETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

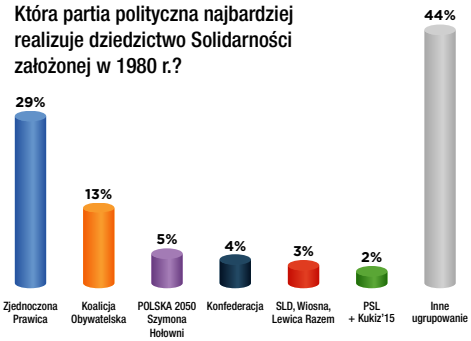
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK x5

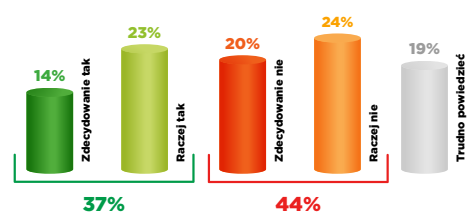
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

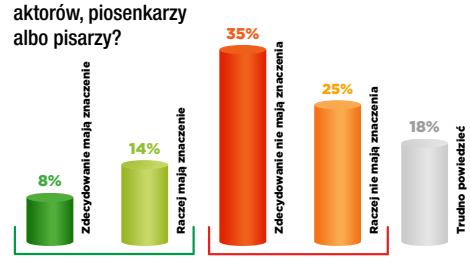
Która partia polityczna najbardziej realizuje dziedzictwo Solidarności założonej w 1980 r.?



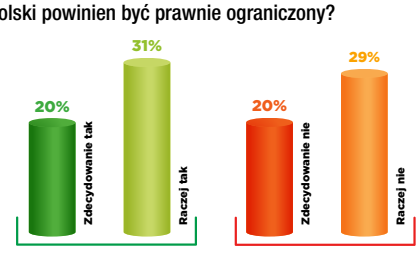
Czy w razie dalszego wzrostu zachorowań na koronawirusa w Polsce rząd powinien przywrócić wszystkie obostrzenia, jakie obwiązywały do niedawna, czyli po raz drugi zamrozić dużą część gospodarki i życia społecznego (tzw. lockdown)?



Jakie znaczenie mają dla Pani/Pana opinie o tematyce politycznej wygłaszanie przez celebrytów, np. aktorów, piosenkarzy albo pisarzy?



Czy według Pani/Pana udział kapitału zagranicznego w mediach działających na terenie Polski powinien być prawnie ograniczony?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1078.

Zakres czasowy badania 7–10 sierpnia 2020 r.

eprasa.pl 708d092fdd



Panu

Andrzejowi Dunajskiemu

oraz Jego Rodzinie

wyrazy współczucia
i najszczersze kondolencje
z powodu śmierci

MAMY

Składa zarząd i pracownicy Krajowej SKOK

Przekazujemy Wam słowa wsparcia
i zapewniamy o naszej pamięci w trudnych chwilach

23/0820/F



Panu

Andrzejowi Dunajskiemu

i Jego Najbliższym

Najszczersze kondolencje,
wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci

MAMY

Przekazują przyjaciele z Apelli i Fratrii

Przekazujemy Wam słowa wsparcia
i zapewniamy o naszej pamięci w trudnych chwilach

22/0820/F



Panu

Andrzejowi Dunajskiemu

i Jego najbliższym

najszczersze wyrazy
współczucia
z powodu śmierci

MAMY

Składa zarząd i pracownicy Kasy Stefczyka

Przekazujemy Wam słowa wsparcia
i zapewniamy o naszej pamięci w trudnych chwilach

9/0120/F

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 30 lipca 2020 roku zmarł

ŚP

MJR ZBIGNIEW DŁUŻNIEWSKI

urodzony 18 maja 1924 roku w Warszawie.
W kwietniu 1940 roku zesłany
przez NKWD do Kazachstanu.

Od lutego 1942 roku żołnierz 10. Dywizji Piechoty
w składzie Polskich Sił Zbrojnych formowanych w ZSRR.
W kwietniu 1942 roku ewakuowany do Iraku.
Od maja 1942 roku służył na Bliskim Wschodzie
w 3. Dywizji Strzelców Karpackich.
Od marca 1944 roku uczestniczył w kampanii włoskiej
w składzie 2. Brygady Strzelców Karpackich.
Podczas bitwy pod Monte Cassino pełnił funkcję
noszowego w punkcie sanitarnym.
Następnie walczył w kampanii adriatyckiej,
w 3. Karpackim Pułku Artylerii Przeciwlotniczej.
W sierpniu 1947 roku powrócił do Polski

Uhonorowany Krzyżem Monte Cassino,
Medalem Pro Bono Poloniae
oraz innymi odznaczeniami
polskimi i brytyjskimi.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

9/0820/F

eprasa.pl 708d092fdd

Gdański układ zamknięty

Dotarliśmy do ustaleń śledztwa, które miało wyjaśnić pochodzenie znacznej części fortuny rodziny Pawła Adamowicza. Mimo jego śmierci w ubiegłym roku dochodzenie było kontynuowane. Z oczywistych powodów prezydent Gdańska zarzutów nie usłyszy, ale prokuratura jest już gotowa do wniesienia aktu oskarżenia przeciwko pięciu innym osobom, w tym wdowie po nim Magdalenie Adamowicz, obecnie europosłance Koalicji Obywatelskiej, oraz jej matce Janinie Abramskiej



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

To było tragiczne wydarzenie. Nie można nie potępiać sprawcy, który w styczniu ubiegłego roku wtargnął z nożem na scenę WOŚP na Targu Węglowym w Gdańsku, by zadać Pawłowi Adamowiczowi cios. Ale nawet śmierć, i to w tak dramatycznych okolicznościach, nie zwalnia organów ścigania z obowiązku wyjaśnienia spraw, które ciążyły na prezydencie, jego najbliższych oraz współpracownikach i partnerach biznesowych. Pozostały przecież pytania o setki tysięcy złotych nieudokumentowanych dochodów, niezrozumiałe rabaty przy zakupie mieszkań, preferencyjne warunki współpracy miasta z deweloperami, zachowanie podwładnych Adamowicza w ratuszu oraz zaskakująco łagodne traktowanie rodziny prezydenta przez sądy i prokuraturę mimo udowodnionych nieprawidłowości i fałszerstw.

Pawłowi Adamowiczowi nikt więc już zarzutów nie postawi, ale pięciu innym osobom z jego otoczenia – owszem.

POMYŁKI PANI DOKTOR

Magdalena Adamowicz po śmierci męża weszła w politykę. W wyborach w maju 2019 r. (niespełna cztery miesiące po tragedii) dostała się do europarlamentu z drugiego miejsca listy Koalicji Europejskiej, uzyskując poparcie prawie 200 tys. wyborców. Z miejsca stała się zaciekłym krytykiem polskiego rządu, często pozwalając sobie na stwierdzenia, które być może doczekałyby się mocnej riposty, gdyby nie chodziło o wdowę, która niedawno straciła męża.

Wcześniej raczej nie uczestniczyła w życiu publicznym, ale w Gdańsku mówiło się, że to ona rządzi w domu prezydenta. Potwierdza się to choćby w wątku mieszkań Pawła Adamowicza, które jeszcze za jego życia obrosły miejską legendą. Dziennikarze pieczołowicie liczyli kolejne kwatery, łapiąc się za głowę, gdy lokale pojawiały się (nie zawsze) i znikały z jego oświadczeń majątkowych. Trop się urywał, gdy Paweł przepisywał część majątku na żonę Magdalenę, wówczas osobę prywatną, więc nie można było wymagać od niej oświadczenia majątkowego.

W obecnym śledztwie ustalono, że biznesem mieszkaniowym w małżeństwie zajmowała się Magdalena, ona podpisywała umowy i wystawiała rachunki, Paweł do wszystkiego ją upoważnił. Radziła sobie świetnie, wykorzystując także pośredników. To z jednej z takich umów z 2011 r. wiemy, że chodziło o wynajem dziesięciu mieszkań, w 2013 r. inne biuro szukało klientów już na 11 lokali. I może nie byłoby w tym biznesie niczego zdrożnego, gdyby nie drobna uwaga, że „mieszkania wynajmowano często pracownikom firm o istotnym znaczeniu dla działalności miejscowego samorządu". Co roku biznes mieszkaniowy powinien przynieść Magdalenie Adamowicz ok. 350 tys. zł dochodu z tytułu czynszów, od których należałoby odprowadzić podatek. I w zasadzie tak było, lecz pani prezydentowa „w sposób nieuprawniony korzystała z niższej stawki podatkowej".

Dwa zarzuty, które prokuratura chce przedstawić Magdalenie Adamowicz, dotyczą lat 2011 i 2012, a dokładniej właśnie rozliczeń z fiskusem za ten okres. Przyjęcie złej metody rozliczenia spowodowało, że na żonie prezydenta ciąży teraz zarzut „uszczuplenia podatku dochodowego od osób fizycznych" o 23 441 zł za rok 2011 i o 33 913 zł za rok kolejny. Żona prezydenta miała też zataić przed urzędem skarbowym informację o dochodach zgromadzonych na rachunkach bankowych: w roku 2011 w wysokości 305 tys. zł, a w roku 2012 – 92 200 zł. Niezapłacony podatek z tego tytułu wynosi 48 800 zł i 14 752 zł.

Przypomnijmy, że mamy do czynienia z doktor prawa i osobą bardzo biegłą w świecie finansów oraz dywersyfikowania majątku (Adamowiczowie mieli 36 rachunków w 11 instytucjach). Trudno więc mówić o pomyłkach.

Fot. WOJCIECH STROŻYK/REPORTER

eprasa.pl 708d092fdd



OBROTNA TEŚCIOWA

Najcięższym zarzutem wobec państwa Adamowiczów, który opisywaliśmy w 2016 r. („Tajemnica fortuny Adamowicza", „Sieci" nr 29/2016) było konsekwentne powiększanie się majątku, który nie był ujęty w żadnym oświadczeniu. Kwota znikąd sięgnęła zawrotnych 549 tys. zł, zasadne wydawało się pytanie o pochodzenie tych pieniędzy. Większość z nich była na kontach zaksięgowana jako „wpłata własna". Jedna z karkołomnych linii obrony (żadna instytucja w to nie uwierzyła) mówiła, że małoletnie córki prezydenckiej pary były przy okazji rodzinnych uroczystości hojnie obdarowywane przed pradziadków ze strony matki.

Taką wersję próbowała przeforsować matka Magdaleny Adamowicz Janina Abramska. Zeznając w 2014 r., powiedziała, że „jej ojciec Edward Wajszczak posiadał po śmierci żony Stefanii Wajszczak środki pieniężne w kwocie ok. 500 tys. zł jako pochodzące z własnych oszczędności całego życia". Dziś prokuratorzy są pewni, że teściowa prezydenta zeznała nieprawdę, czym próbowała uwiarygodnić darowizny na rzecz dzieci: 10 maja 2011 – 90 tys. zł, 12 maja 2011 – 75 tys. zł, 24 grudnia 2011 – 75 tys. zł i 86 tys. zł. Rok później, także podczas składania zeznań pod przysięgą, Abramska skłamała ponownie, tym razem przypominając sobie, że jej ojciec miał oszczędności nie tylko w gotówce, lecz także w złocie, łącznie miało to być 600–700 tys. zł. Dwa kłamstwa, dwa zarzuty, każdy zagrożony karą trzech lat więzienia. Ciekawe, co teraz usłyszymy od pani Abramskiej, kiedy wiemy, że legenda ewoluuje. Według poprzedniej wersji państwo Wajszczakowie przywieźli znaczne pieniądze z Niemiec, gdzie w czasie wojny przebywali na robotach przymusowych, a potem jeszcze w latach 70. i 80 mieli otrzymywać nieformalne odszkodowania w obcej walucie.

W 2018 r. Janina Abramska zdradziła skarbówce, że „źródłem pochodzenia pieniędzy przekazywanych jako darowizny przez jej ojca na rzecz prawnuczek były w głównej mierze jej środki finansowe". Dlaczego ta opowieść pojawia się dopiero teraz?

prasa.pl 708d092fdd

„Fakt, że przekazywałam mojemu ojcu pieniądze, aby mógł nimi następnie obdarowywać swoje prawnuczki, nie był wcześniej znany [...] Nie chciałam, by te informacje kiedykolwiek wyszły na jaw, gdyż obiecałam to mojemu ojcu".

W tym miejscu pojawiają się dwa kolejne pytania: za co de facto miałaby płacić Adamowiczom Janina Abramska i czy miała na to wystarczające pieniądze. Jedno wynika z drugiego. Od lat prowadzi z powodzeniem biuro pośrednictwa ubezpieczeń Olimpia. Sprzedaje polisy bardzo skutecznie, jej dochody sięgają kilkuset tysięcy rocznie, więc nawet półmilionowa darowizna nie byłaby dla niej nieosiągalna. W dokumentach śledztwa znajduje się analiza, która wskazuje, że „osiąganie bardzo wysokich dochodów przez Janinę Abramską było wynikiem pozycji zawodowej Pawła i Magdaleny Adamowiczów". To może być odpowiedź na pierwsze postawione przez nas pytanie. Na liście klientów widnieje bardzo wiele firm prowadzących działalność budowlaną oraz podmioty powiązane z gminą Gdańsk. To m.in. Muzeum Historyczne Miasta Gdańska, Pomorska Specjalna Strefa Ekonomiczna (268 umów ubezpieczenia w latach 2006–2012), Przedsiębiorstwo Robót Sanitarno-Porządkowych, Szkoła Podstawowa nr 29 w Gdańsku czy Zespół Szkół Specjalnych w Gdańsku. W dokumentach są też zeznania świadków, którzy mówią, że Abramskiej umożliwiano udział w imprezach organizowanych przez miasto dla dużych firm z Gdańska i okolic. Śledczy reasumują, że stwarzano jej w ten sposób możliwość zarabiania, za co później miała się odwdzięczać prezydenckiej parze. Stąd miały pochodzić „darowizny" – to najnowsza wersja prokuratury, która ma się znaleźć w akcie oskarżenia.

W uzasadnianie pochodzenia majątku Adamowiczów włączyło się zresztą naprawdę wiele osób. Może nie każdy tak aktywnie jak pani Abramska, ale niektóre pomysły naprawdę warto docenić. Skąd jeszcze rodzina prezydenta mogła mieć pieniądze? Gdy w 2017 r. gorąco zrobiło się wokół kolejnych niewytłumaczalnych wpłat, pojawiły się zaskakujące deklaracje. Darowizny dla młodszej córki (ur. 2010 r.) miały być wpłacane m.in. przez... pracowników Urzędu Miejskiego w Gdańsku. Nie do końca chyba rozumieliśmy, co miał na myśli prezydent Adamowicz, wielokrotnie opowiadając o niemal rodzinnej atmosferze w pracy. Akurat te osoby ubezpieczały się u Janiny Abramskiej. Danuta Janczarek, sekretarz UM: darowizna 1,5 tys. zł w 2010 r. i 1,2 tys. zł w 2011 r.; Teresa Blacharska, skarbnik UM: 1,5 tys. zł w 2010 r.; Lilla Żuchowska, pracownica jednego z wydziałów (rzeczywiście kuzynka prezydenta): 1,7 tys. zł w 2010 r. i 1,2 tys. zł w 2011. Do wpłat na dzieci Adamowiczów przyznała się także Maria Orlińska, której mąż od lat 90. do 2016 r. sprzedawał bilety lotnicze gdańskiemu urzędowi miasta.

> W obecnym śledztwie ustalono, że biznesem mieszkaniowym w małżeństwie zajmowała się Magdalena Adamowicz. Dwa zarzuty, które prokuratura chce jej przedstawić, dotyczą lat 2011 i 2012, a dokładniej rozliczeń z fiskusem za ten okres

Magdalena Adamowicz i Janina Abramska nie odpowiedziały na nasze pytania.

FRONTEM DO KLIENTA

W akcie oskarżenia, który niebawem ma trafić do sądu, sporo miejsca zajmuje kwestia – jak nazywa to wprost prokuratura – łapówki wręczonej Adamowiczom i Abramskiej w postaci zaskakująco wysokiego rabatu na zakup mieszkań. Prokuratura zarzuca prezesowi dewelopera Pomeranka sp. z o.o. Waldemarowi Kowalskiemu dwie rzeczy, ale jeden zarzut jest taki sam, jak dla kolejnego wymienionego w akcie Jacka Krawczykowskiego, pośrednika w sprzedaży lokali z firmy Akme: „Udzielił korzyści majątkowej Pawłowi Adamowiczowi jako prezydentowi Gdańska i jego najbliższym – żonie Magdalenie Adamowicz oraz teściowej Janinie Abramskiej w łącznej kwocie 350 640 zł". Chodzi o sprawę zakupu mieszkań na ekskluzywnym osiedlu Neptun Park – opisywaliśmy ją szczegółowo w 2016 r. Teraz śledczy nieco skorygowali obliczenia CBA z 2013 r., ale i tak ulgi dla Adamowiczów i pani Abramskiej są znaczne. Na marginesie, Pomeranka to też klient agencji ubezpieczeń Olimpia.

Paweł i Magdalena kupili dwa mieszkania na pierwszym piętrze bloku przy ul. Wypoczynkowej 6A. 85,5 mkw. za 498 959,19 zł, co daje 5 835,78 zł za mkw., i sąsiadujące przez ścianę 69,2 mkw. za 404 231,02 zł – po 5 841,49 zł za mkw. Z ustaleń biegłych wynika, że najniższa cena, za jaką można było te mieszkania sprzedać, wynosiła wówczas (w grudniu 2005 r.) 614 383,30 zł oraz 499 679,30 zł. To daje ok. 7,2 tys. zł za mkw., ale dla porównania inni klienci musieli zapłacić np. 7792 zł za mkw. w przypadku mieszkania o powierzchni 83,8 mkw. na parterze (to najtańsze lokale na całym osiedlu, nie licząc tych należących do Adamowiczów i Abramskiej), 10 126 zł za mkw. mieszkania o powierzchni 73,1 mkw. na drugim piętrze i aż 10 553 zł za mkw. innego lokalu na parterze o powierzchni 89,3 mkw.

Teściowa prezydenta kupiła w bloku obok mieszkanie o powierzchni 88,8 mkw. za 504 724,99 zł, płacąc 5683,84 zł za mkw., choć cenę minimalną za ten lokal ustalono na 644 493,10 zł (7257,80 zł za mkw.).

Pisząc o tej sprawie cztery lata temu i analizując wówczas różnice cen, opieraliśmy się na danych sprzedażowych. Linia obrony Adamowiczów i Abramskiej, ale też firmy sprzedającej, opierała się na tym, że „oficjalny cennik

eprasa.pl 708d092fdd



To na tym ekskluzywnym osiedlu w Gdańsku-Jelitkowie małżeństwo Adamowiczów oraz teściowa prezydenta Gdańska kupili mieszkania „po bardzo okazyjnych cenach"

zaginął", nie można więc było stwierdzić jednoznacznie, że ww. mieszkania sprzedano taniej. Bezczelne, ale skuteczne. Do czasu. W śledztwie, które właśnie się kończy, zabezpieczono dokumenty niezbicie świadczące o tym, że już 19 października 2005 r. (dwa miesiące przed transakcją z Adamowiczem i jego najbliższymi) planowano zastosowanie cen znacznie wyższych niż te, które zaoferowano „specjalnym klientom". Fakty są więc takie, że działając „wspólnie i w porozumieniu", prezes firmy budowlanej i pośrednik podarowali państwu Adamowiczom co najmniej 210 872,39 zł, a pani Abramskiej co najmniej 139 768,11 zł. W akcie oskarżenia ma się znaleźć wniosek z ustaleń śledztwa, że „nastąpiło to w związku z pełnieniem przez Pawła Adamowicza funkcji publicznej i w celu uzyskania przychylności jego oraz podległych prezydentowi Gdańska urzędników w postępowaniu dotyczącym rozpatrzenia wniosku Pomeranki sp. z o.o. z dnia 9 listopada 2005 r. o zmianę miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego […]". Paweł Adamowicz w przeszłości wielokrotnie zasłaniał się tym, że to Rada Miasta, a nie on osobiście podejmuje takie decyzje, ale śledczy podkreślają, że o przyjęciu lub odrzuceniu wniosku, a przede wszystkim o terminie jego złożenia do Rady decydował prezydent.

PRZYCHYLNOŚĆ MIASTA

W folderach reklamowych i sponsorowanych tekstach w internecie dotyczących dewelopera Pomeranka sp. z o.o. czytamy, że firma została powołana do budowy ekskluzywnego osiedla Neptun Park w Gdańsku Jelitkowie. I dalej, że „połączenie doświadczenia płynącego z pracy na rynku bankowym i deweloperskim oraz udział finansowy polskich i międzynarodowych instytucji finansowych […] jest partnerem gwarantującym wysoki poziom prestiżu, stabilności i bezpieczeństwa". Co do prestiżu, pełna zgoda. Trudno znaleźć w stolicy Pomorza bardziej urokliwą lokalizację, niewysokie bloki otulone starodrzewem parku Ronalda Reagana i spacerową odległość od bałtyckiej plaży. W zasadzie to kurort w mieście.

Już pod koniec 1999 r. Rada Miasta Gdańska podjęła uchwałę, która dopuszczała na ul. Wypoczynkowej „wszelkie formy budownictwa mieszkaniowego […] ze średnią wielkością mieszkań min. 100 mkw.". To bardzo ważny szczegół, szefowie Pomeranki już w kwietniu 2005 r., w momencie zawarcia umowy zakupu siedmiohektarowego terenu wiedzieli, że może on stanowić kłopot, jasne bowiem jest, że lepiej sprzedają się mieszkania nieco mniejsze. I tu ciekawostka, deweloper rozpoczął budowę bloków z „mniejszymi mieszkaniami", ryzykując, że planowany dopiero wniosek do Rady Miasta Gdańska zostanie odrzucony. A może wcale nie ryzykował?

Spójrzmy na sekwencję zdarzeń, która rozpoczyna się 2 grudnia 2005 r. Wtedy przedstawiciel handlowy Jacek Krawczykowski (Akme s.c.) zawiera umowy przedwstępne z Pawłem i Magdaleną Adamowiczami na zakup dwóch mieszkań i z Janiną Abramską na zakup kolejnego. Wracając na chwilę do tych trzech lokali – współczujemy sprzedawcy wycieńczających negocjacji – musiał zejść z ceny o ponad 1 tys. zł na metrze kwadratowym w stosunku do cennika, podczas gdy wszystkie inne mieszkania na tym osiedlu zostały sprzedane po cenie ponad 1 tys. zł wyższej, niż pierwotnie zakładano, a na liście rezerwowej widniało jeszcze ok. 100 chętnych.

Ale ważniejsza jest w tej chwili data. Przypomnijmy, jest 2 grudnia 2005 r. Tak się akurat złożyło, że dokładnie tego dnia do Rady Miejskiej w Gdańsku wpłynął wniosek (data sporządzenia pisma 1 grudnia 2005 r.) skierowany w imieniu Prezydenta Miasta Gdańska „o zmianę w planie zagospodarowania przestrzennego Jelitkowo rejon ul. Wypoczynkowa II w Gdańsku". Nieco wcześniej – 9 listopada 2005 r. – prezes Pomeranki złożył wniosek o zmianę planu do Wiesława

Fot. M. Czutko

eprasa.pl 708d092fdd

Bielawskiego, zastępcy prezydenta miasta. Gdyby nie osobista interwencja Pawła Adamowicza, wniosek mógł utknąć na urzędniczych biurkach, decyzja mogłaby się odwlec, wtedy budowa musiałaby być wstrzymana, a to dla dewelopera katastrofa. No, ale tu znów mamy do czynienia z niesłychanym fartem budowlańców, że trafili na takiego złotego człowieka jak włodarz Gdańska – procedura poprzedzająca podjęcie stosownej uchwały trwało zaledwie kilka tygodni, choć w innych przypadkach należało czekać miesiącami, czasem nawet latami.

Dorzućmy jeszcze anegdotkę z posiedzenia Komisji Rozwoju Przestrzennego z 20 grudnia 2005 r. Gdy padło pytanie o powód zmiany nie tak dawno ustalonych parametrów zabudowy, przedstawiciel wnioskodawcy Marek Piskorski odpowiedział, że „prezydent postanowił zaoferować mieszkańcom atrakcyjne formy zamieszkania".

GRUNT TO MIESZKANIE

Nic dziwnego, że znalazł się chętny, by budować w Jelitkowie. I to niejeden. Ale Pomeranka miała więcej „szczęścia" niż inni. Ten grunt należał wcześniej do miasta, deweloper, by go dostać, musiał odpłacić się samorządowi pulą mieszkań w innych lokalizacjach Gdańska. To sytuacja obustronnego sukcesu, bo firma buduje tam, gdzie chce i na tym nieźle zarabia, a miasto dostaje lokale komunalne, których zawsze brakuje. Pomeranka miała oddać w zamian za 7 ha gruntu w Jelitkowie 115 lokali mieszkalnych, w ten sposób przelicytowała konkurentów, ale też nie od razu. Gdy okazało się, że ta oferta tej firmy nie jest najkorzystniejsza, doszło do „dogrywki" i była to inicjatywa komisji konkursowej. Inny problem polegał na tym, że deweloper tych mieszkań nie miał (brakowało 47 lokali) w momencie rozpoczynania transakcji, co powinno go wyeliminować z konkursu. Tak się jednak nie stało.

Tego dotyczą kolejne zarzuty, które mają być zawarte w akcie oskarżenia. Prokuratura uważa, że prezes Władysław Kowalski „nakłaniał do niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień pracowników Urzędu Miejskiego w Gdańsku". Złożył bowiem fałszywe oświadczenie, że Pomeranka ma mieszkania na zamianę i wyda je, jak ustalono, do 31 stycznia 2008 r. Skłamał (i zostało to przyjęte w UM bez weryfikacji), że tych mieszkań nie może przekazać w umówionym terminie z powodu rzekomego oczekiwania na wpisy do księgi wieczystej.

W tym miejscu pojawia się kolejna z osób, którym śledczy chcą stawiać zarzuty. To Tomasz Lechowicz, ówczesny dyrektor Wydziału Skarbu UM w Gdańsku, który „zaniechał podjęcia czynności ukierunkowanych na dochodzenie kary umownej" za opóźnienie w przekazaniu miastu 47 mieszkań od firmy Pomeranka. Urzędnik zdecydował, że nie będzie się domagał 1,3 mln zł kary (662,25 zł za każdy dzień zwłoki). Ten sam człowiek pozwolił także na aneksowanie umowy zamiany gruntów na mieszkania, co wydłużyło czas realizacji, a więc na konto miasta nie wpłynęło kolejne 10 mln zł od opieszałego dewelopera.



O sprawie powiększania się majątku Pawła Adamowicza, który nie był ujęty w żadnym oświadczeniu prezydenta Gdańska, tygodnik „Sieci" pisał w 2016 r.

> W akcie oskarżenia, który niebawem ma trafić do sądu, sporo miejsca zajmuje kwestia – jak nazywa to wprost prokuratura – łapówki wręczonej Adamowiczom i Abramskiej w postaci zaskakująco wysokiego rabatu na zakup mieszkań

DLACZEGO TERAZ?

Uprzedzając pytania, które zapewne padną, dlaczego ponownie zajmujemy się sprawą majątku nieżyjącego Pawła Adamowicza, warto przypomnieć jej początki. Dochodzenie rozpoczęło się po kontroli oświadczeń majątkowych prezydenta Gdańska z lat 2007–2012 przeprowadzonej w 2013 r. przez CBA. To wtedy szef biura Paweł Wojtunik skierował do prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, a Prokuratura Apelacyjna w Poznaniu wszczęła śledztwo. Znaleźli się jednak prokuratorzy i sędziowie, którzy z niezrozumiałych względów umarzali postępowania, choć nawet w uzasadnieniach uznawali winę oskarżonego i nie dawali wiary w jego tłumaczenia. Kuriozalne postanowienie o umorzeniu postępowania zostało w 2016 r. zaskarżone przez Wojtunika i de facto to był impuls do ponownego przyjrzenia się układowi, który wokół siebie i swojej rodziny zbudował Adamowicz.

Przez ostatnie cztery lata śledztwo CBA nadzorował Dolnośląski Wydział Zamiejscowy Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej we Wrocławiu. Efekty tej pracy opisujemy powyżej. Dobitnie pokazują, jak wiele zaniedbań popełniono w przeszłości, jak wielu spraw nie zbadano do końca, jaki materiał dowodowy pominięto, by tylko pospiesznie zamknąć sprawę i nie wyświetlić czegoś, co można śmiało nazwać „gdańskim układem prezydenta Adamowicza".

Reklama | 19/0820/F

eprasa.pl 708d092fdd



MÓJ BANK JEST TAM, GDZIE JA

- Swoje sprawy załatwiam bezpiecznie przez aplikację IKO lub serwis iPKO.
- Mogę korzystać z wideorozmowy z doradcą – usługa dostępna dla klientów firmowych, a wkrótce także dla klientów indywidualnych.

Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Usługa doradcy online (wideorozmowa) dotyczy wsparcia dla firm oraz ogólnych informacji o produktach i usługach PKO Banku Polskiego. Wideorozmowy mogą być realizowane w dni robocze, w godzinach 9:00-17:00. Więcej o usłudze, w tym o jej dostępności, na pkobp.pl i w oddziałach naszego banku.

eprasa.pl 708d092fdd



Przed nami mocny rok. Dokończymy budowę IV RP

Unikam w rozmowach o mediach pojęcia „repolonizacja", bo źle oddaje ono nasze intencje. Tu nie chodzi o to, by walczyć z kapitałem zagranicznym, ale o wprowadzenie tych samych rozwiązań, które od lat funkcjonują w zachodnich demokracjach Unii Europejskiej. Chodzi o dekoncentrację, demonopolizację

Michał Karnowski rozmawia z Joanną Lichocką, posłanką Prawa i Sprawiedliwości, wiceprzewodniczącą sejmowej komisji kultury, członkinią Rady Mediów Narodowych

Wrócił do debaty politycznej temat patologii naszego rynku medialnego, zdominowanie w sposób kolonizatorski przez kapitał niemiecki. Ale czy nie czas otwarcie powiedzieć, że tak naprawdę niczego nie możemy z tym zrobić?

Joanna Lichocka: Ale to przecież jest nieprawda. Oczywiście, że możemy to zmienić. Bo jeżeli nie teraz, to kiedy, jeżeli nie my, to kto?

Może nigdy, może nikt? Są sprawy, których nie da się zmienić.

Nie. Jeżeli chcemy być konsekwentni w domaganiu się wdrażania w Polsce standardów zachodnich, to ta sytuacja na rynku medialnym jest nie do utrzymania. Mamy kulawą debatę publiczną, z tak dominującą pozycją kilku największych grup medialnych, że są one w stanie narzucić swoją narrację, próbować decydować, co mają myśleć Polacy. To bardzo poważne ograniczenie pluralizmu i wolności słowa. Bez różnorodności opinii, a o niej decyduje także różnorodność kapitału na rynku mediów, nie ma pełnej wolności. Dekoncentracja na rynku medialnym w pierwszej kolejności poprawi zresztą pozycję dziennikarzy. Dobrym przykładem jest tutaj los Tomasza Lisa.

W jakim sensie?

Wystarczyło, że zadarł z TVN, Polsatem, nie chcą go już w TVP i już nie ma dla niego miejsca na rynku telewizyjnym.

Nie myślałem, że będzie pani żałowała Tomasza Lisa.

Nie żałuję, ale pokazuję ten przykład, właśnie osoby bardzo dalekiej od moich poglądów i tego, co uważam za uczciwe dziennikarstwo, by uświadomić wszystkim, iż dominacja kilku

eprasa.pl 708d092fdd

monopolizujących rynek podmiotów może być szkodliwa dla każdego. Każdego może dotknąć, wyeliminować.

Jak rozumiem, problemem jest to, że pozornie mamy do wyboru 30 kanałów, a w rzeczywistości to tylko trzy stacje nadające na wielu polach?

Tak jest zwłaszcza w przypadku telewizji naziemnych działających na podstawie koncesji, ale oczywiście ta patologia z czasem przekłada się także na inne, pozatelewizyjne obszary. Tak to zresztą zaplanowano na początku lat 90. Układ okrągłostołowy bardzo konsekwentnie pilnował, by nie było żadnej rzeczywiście niezależnej telewizji, nad którą nie ma kontroli. Przypomnę historię stacji RTL 7 – gdzie pracowało w pewnym momencie wielu niezależnych dziennikarzy – która szybko zyskiwała widzów. Jak wieść niesie, zaniepokojony tym Adam Michnik podejmował więc interwencje.

Jak pamiętam, skuteczne.

Tak, wkrótce potem stacja się zmieniła, stała się taka jak inne media III RP, tyle że bez znaczenia.

Wracając do najważniejszego: jak rozumiem, mówimy nie o repolonizacji mediów, lecz o dekoncentracji?

Tak. Unikam w rozmowach o mediach pojęcia „repolonizacja", bo jest ono mylne, źle oddaje nasze intencje, za to ułatwia ataki nas na Zachodzie. Tu nie chodzi o to, by walczyć z kapitałem zagranicznym, ale o wprowadzenie tych samych rozwiązań, które od lat funkcjonują w zachodnich demokracjach Unii Europejskiej. Chodzi o dekoncentrację, demonopolizację. Osobiście jestem zwolenniczką wdrożenia w Polsce mechanizmów zastosowanych we Francji.

Jak dowodzą krytycy – przed wejściem tego kraju do Unii Europejskiej, co podobno nam nie pozwala go skopiować.

To nieprawda, bo wraz z rozwojem mediów, pojawianiem się nowych technologii to prawo było aktualizowane, zmieniane, a więc było ponownie przyjmowane już w warunkach funkcjonowania kraju w UE. Skoro nie było to wtedy problemem dla Komisji Europejskiej, nie widzę powodu, by zostało zablokowane, gdy po te same narzędzia sięgnie Polska. Mamy mniejsze prawa? Nie sądzę.

No dobrze, zakażemy koncentracji, nakażemy dekoncentrację, podział na mniejsze podmioty, to jeden Niemiec sprzeda drugiemu – i tyle.

Jeżeli skopiowalibyśmy rozwiązania francuskie, to udział kapitału zagranicznego w ogólnopolskich organizacjach medialnych byłby ograniczony, jak to jest we Francji, do maksymalnie 20 proc. Tamte zapisy nakazują precyzyjnie informować odbiorców – w każdym wydaniu tytułu – do kogo konkretnie należy, kto nim zarządza z imienia i nazwiska, jaki jest podział udziałów i między jakimi podmiotami. Francuzi wiedzą w związku z tym precyzyjnie, kto stoi za każdym medium, kto jest udziałowcem, kto podejmuje kluczowe decyzje. Jestem przekonana, że gdyby polscy odbiorcy zobaczyli, że kolorowe pisemka, które czytają ich dorastające dzieci, a które promują takie treści, jak wczesna inicjacja seksualna, albo że dziennik regionalny promujący narodowość „śląską" w opozycji do polskiej, stanowią po prostu produkty niemieckiej polityki wydawniczej prowadzonej tutaj, to pewnie dwa razy by się zastanowili, zanim kolejny raz wzięliby je do ręki. Na tym m.in. polega także ten mechanizm we Francji i w innych państwach, że zagraniczne wydawnictwa nie mają tam zbytnio czego szukać – świadomość konsumentów mediów wynika z konkretnych zapisów prawa.

Jestem tu bardziej sceptyczny, ale kto wie. Nie lubi pani słowa „repolonizacja", ale moim zdaniem ona się jednak częściowo dokonała, bo wzmocnienie mediów publicznych, zwłaszcza TVP, pozwoliło im odzyskać część rynku, widowni. Nie lepiej iść dalej tą właśnie drogą? Może Telewizja Polska powinna dostawać rocznie pięć razy tyle, ile obecnie i w ten sposób równoważyć potęgę kapitału niemieckiego?

To nie była repolonizacja, tylko wzmocnienie głosu tej części polskiego społeczeństwa, która była dotąd zagłuszana.

Ujmijmy zatem to jako repolonizację przekazu...

...spluralizowanie.

Zgoda, tak to ujmijmy. Istotą pytania jest to, czy nie lepiej pójść tą drogą?

Telewizja publiczna ma teraz jak u Pana Boga za piecem i to jest duży sukces naszego obozu, bo silne media publiczne są elementem polskiej racji stanu. Muszą być silne, muszą mieć pieniądze na promocję wysokiej kultury, ale i produkcję popularnych seriali. I to, przy wszystkich zastrzeżeniach, telewizja realizuje.

Skąd zatem taka niechęć do finansowania TVP z pieniędzy publicznych? Skąd wezwania do jej likwidacji?

To proste – z pragnienia odzyskania monopolu i władzy przez tego symbolicznego „wajchowego". Ci, którzy wcześniej mieli pełnię medialnej władzy, wiedzą, jakie to daje zyski, jak pozwala obalać jednych, promować innych. Pamiętam, gdy byłam dziennikarką „Rzeczpospolitej" i próbowałam umówić się na wywiad z jedną ze znaczących figur obozu III RP. Z cynicznym uśmiechem odpowiedział: „Pani redaktor, pani jest tam tylko tymczasowo, pani zaraz trafi do jakiejś prawicowej jaskini i nigdy stamtąd nie wyjdzie". To, że to życzenie się nie spełniło, jest wspólnym sukcesem wolnych Polaków. Ale by to życzenie już nigdy nie miało szansy się spełnić, musimy zapewnić funkcjonowanie wielu różnym podmiotom rynkowym. Różnorodność na rynku medialnym to wzmocnienie demokracji. Dekoncentracja będzie długotrwałą gwarancją pluralizmu i każdy faktyczny, nie zaś przebrany demokrata ją poprze.

To atrakcyjna dla odbiorców wizja, ale jest jeden problem, z którym zderzyli się wszyscy, którzy próbowali tworzyć nowe komercyjne media, nie wpisując się w system III RP, nie kłaniając się Michnikowi: totalna

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 708d092fdd

blokada reklamowa. Możesz być trzecim tygodnikiem na rynku, a domy mediowe będą cię całkowicie pomijały. Wielkie koncerny, jak Ikea, Lidl czy Biedronka, chcą być tęczowe i nawet nie będą chciały z tobą rozmawiać, w pełni pogardzając twoimi czytelnikami. Tego nawet dekoncentrując media, nie da się przełamać.

Chcę zwrócić uwagę, że już powstał dom mediowy, który na początek ma zjednoczyć budżety reklamowe spółek skarbu państwa, i to daje nadzieję na przełamanie tego mechanizmu. Jeśli chodzi o tęczową Ikeę, to to jest dobry przykład, że taka postawa szkodzi tym firmom. Polacy zobaczyli w tej historii z pracownikiem zwolnionym za odmowę udziału w akcji promującej ruch LGBT coś bardzo niebezpiecznego. Coś, co uderza w ich wolność. I to na dłuższą metę nie przejdzie. Ja mam trochę mebli z Ikei, ale po tamtym wydarzeniu trzy razy się zastanowię, zanim znowu coś tam kupię.

Liczy pani na jakieś zmiany także w Telewizji Polskiej? Jacek Kurski ponownie pełnoprawnym prezesem, także za sprawą pani głosu w Radzie Mediów Narodowych. Czego się pani spodziewa po TVP?

Prezes Jacek Kurski już sam zadeklarował zmiany, w czasie rozmowy z Radą Mediów Narodowych przed powołaniem go na to stanowisko, by dokończył kadencję. Mówił, że będzie chciał położyć większy nacisk na jakość informacji, relacje ze świata czy też rozwój Teatru Telewizji i innych form promocji kultury wysokiej. Mam wrażenie, że na Woronicza jest świadomość, iż telewizja publiczna musi poprawić poziom przekazu w sferze publicystyki międzynarodowej czy pogłębionej informacji.

Czyli to nie niesie ryzyka, że jedna lub druga potęga komercyjna znowu będzie mogła dowolnie powielać kłamstwa, bez żadnej kontry?

Gdzie ja coś takiego powiedziałam? Kłamstwa należy odpierać, ale każdy czas niesie nowe wymogi. Liczę na to, że najbliższe kilkanaście miesięcy przyniesie daleko idące zmiany, które



Fot. Andrzej Wiktor

będą zapewne atakowane i oprotestowywane, i waga rzetelnej informacji, odkłamywania fałszerstw, będzie ogromna. Chodzi tylko o większy nacisk także na inne obszary. Zenek Martyniuk, dopóki Jacek Kurski jest prezesem TVP, pewnie z telewizji nie zniknie, to jest zresztą muzyka znacznej części społeczeństwa i nie należy tego lekceważyć. Ale chodzi o to, by także inne nurty wybrzmiewały równie mocno.

Odpowiedź prezesa Kurskiego jest taka, że gdyby nie muzyka disco polo, to środowiska III RP także w sferze popkultury mogłyby skutecznie stosować swoje szantaże, bojkoty, wymuszenia. Nie ma racji?

Pewnie ma rację. Ale też cieszy mnie, że jednocześnie z benefisem Zenka Martyniuka TVP realizuje koncerty zupełnie innej muzyki. I wedle zapowiedzi prezesa Kurskiego tej różnorodności ma być jeszcze więcej.

Ostatnio było pani jednak w polityce mniej. To po sprawie gestu na sali sejmowej. Niektóre media i politycy opozycji przedstawiały ten gest jako rzekomo wulgarny. Schowała się pani?

Zniknęłam, by moja obecność w przestrzeni publicznej nie była wykorzystywana do ataków na walczącego o reelekcję Andrzeja Dudę. Dlatego natychmiast po tamtym wydarzeniu prostowałam, wyjaśniałam i przepraszałam tych, którzy czuli się obrażeni, a potem już się nie broniłam. Politycy Platformy i jej akolici uruchomili regularną nagonkę. Teraz ona już opada, ale właśnie odebrałam pocztę – jeszcze jest kilka listów z wyzwiskami. Proszę zobaczyć.

„Lichocka, ty ku....", „Lichocka, ty szmato" i podobnie. Ciężko było?

Bywało ciężko, ale dużo sił dodają głosy przeciwne – ludzi, którzy nie dali się nabrać na ten hejt postkomuny, bo znają mnie z działalności dziennikarskiej, poselskiej, którzy wiedzą, jaka jestem naprawdę. Chciałabym tą drogą podziękować ze te wszystkie słowa wsparcia i solidarności ze mną, które odbierałam przez te pół roku – nawet nie wiecie, drodzy czytelnicy, jakie one są dla każdego polityka ważne.

Co się naprawdę wtedy wydarzyło?

Musiałam wyjść na mównicę, wiedząc, że będzie awantura. Komisja kultury, która rekomendowała do dalszych prac projekt ustawy o zagwarantowaniu finansowania mediów publicznych, wskutek nieobecności dwóch posłów Zjednoczonej Prawicy rekomendowała na posła sprawozdawcę panią Joannę Scheuring-Wielgus. Było jasne, że ten projekt zaatakuje. Na kolejnym posiedzeniu komisji kultury nasi posłowie byli już w odpowiedniej liczbie i zmieniono posła sprawozdawcę, powierzając mnie to zadanie.

Ta zmiana nakręciła emocje?

Tak. Kiedy zaczęłam bardzo spokojnie mówić o tej zmianie z mównicy sejmowej, z ław opozycji poleciały okrzyki: „Kłamiesz, łżesz, hańba, jesteś przez przypadek" itp., itd. Posłowie Koalicji Obywatelskiej zachowywali się tak, jakby chcieli wypełnić definicję pojęcia „chamska hołota". Ślady tego można odczytać w stenogramie z tego dnia obrad. Dokończyłam mimo tych wrzasków i agresji Platformy swoje wystąpienie, zeszłam z mównicy, podeszłam do prezesa, on mi pogratulował i poszłam na swoje miejsce. Wydawało mi się, że nie okazuję emocji, ale po moich ruchach widzę teraz, jak byłam zdenerwowana. Usiadłam na swoim miejscu i nie patrząc na nikogo, odgarnęłam energicznie i szybko jakiś włos spod oka. Krótki, szybki ruch

eprasa.pl 708d092fdd

ręką. Wtedy jeden z przedstawicieli totalnej opozycji zaczyna krzyczeć, że „pokazałam fucka". Odpowiadam: „Nie, sądzi pan po sobie, nic takiego nie zrobiłam, odgarnęłam włosy".

I tu zaczyna powtarzać pani ten gest kolejny raz. Z punktu widzenia komunikacji duży błąd.

Oczywiście, każdy piarowiec to powie. Ale ja działałam spontanicznie – mówiłam prawdę i w dobrej wierze wyjaśniałam sytuację. Błędem było to, że zapomniałam, z jakimi ludźmi mam do czynienia po stronie opozycji – zdemoralizowanyni tak jak Sławomir Nitras, który przed laty świadomie spreparował kłamstwo na temat kandydatki na prezydenta Szczecina, wiedząc, że przed wyborami nie zdoła się już z zarzutu wybronić. Na chwilę ucichło, dopóki posłowie opozycji nie dostali od jednego z dwóch obecnych wtedy fotoreporterów (z Agencji Gazeta i Agencji Reporter) stop-klatkę rzekomo dowodzącą, że zrobiłam niegrzeczny gest. Potem eksploatowano te stop-klatki nawet nie z samego pierwszego ruchu, ale tych powtórzeń, kiedy pokazywałam, specjalnie wyraziście, o co chodziło z tym ruchem ręki. Ktoś mi powiedział, że z oryginalnego ruchu nie ma właściwie odpowiednio ostrych zdjęć, nie zatrzymałam ręki. Gdyby nie ten uruchomiony przez PO hejt i przemoc medialna, mogłabym właściwie się z tego śmiać – oto rzekomo zrobiłam wulgarny gest, ale tak, że widać go tylko na filmie o zwolnionym tempie lub w stop-klatce.

Dopisano do tego przekaz, że to był gest pokazany chorym na raka, bo opozycja zgłosiła populistyczny projekt, by pieniądze, właściwie obligacje, zamiast na TVP przeznaczyć na onkologię.

Tak, to było szczególnie podłe. A wracając do fotoreporterów – Maciej Jaźwiecki z Gazety i Tomasz Jastrzębowski z Reportera sprzedawali stop-klatki, które robili, gdy powtarzałam ruch ręką, wyjaśniając, że nie chodziło o żaden wulgarny gest. To niestety nie ma nic wspólnego z uczciwością i etyką tego zawodu, za to mnóstwo z wulgarną manipulacją.

Moment był wyjątkowy – środek kampanii wyborczej. Czuła to pani?

To był właściwie start kampanii. Wszyscy się przestraszyli, nie tylko ja, że ta gigantyczna akcja nienawiści, jaką rozkręcił sztab Platformy, uderzy w kampanię prezydenta Dudy. Dlatego się zupełnie wyłączyłam, choć oczywiście przychodziłam do Sejmu, ale tak, by mnie nie było widać. Nie broniłam się, a hejterzy z opozycji rozdymali tymczasem ten temat do granic absurdu, ludzie zatrudniani przez PO z zaprzyjaźnionego z nią SokuzBuraka postawili 200 bilbordów, zestawiając moje zdjęcie z Andrzejem Dudą.

> Zniknęłam na jakiś czas, by moja obecność w przestrzeni publicznej nie była wykorzystywana do ataków na walczącego o reelekcję Andrzeja Dudę. Ale prawda jest zupełnie inna, niż przedstawiła to większość mediów, używając zmanipulowanej stop-klatki z moim zdjęciem. Oto, co naprawdę się wydarzyło

Nie wiadomo przez kogo opłaconych?

Ze zrzutek podobno.

Nie wierzę.

Ja też. Ale najważniejsze, że to spowodowało, iż puściły im wszelkie hamulce. Spadły maski. Rozochoceni uznali, że posługiwanie się wulgarnym przekazem i agresją jest OK, nie czuli żadnego dysonansu, żadnej refleksji, że takiego przekazu Polacy nie chcą. I to zaprowadziło ich do powielania na tysiąc sposobów hasła „Jeb... PiS" – pokazali się tacy, jacy są naprawdę, jakich pamiętamy z ich przekleństw na różnych taśmach. Musieli przegrać.

Pisałem po wyborach o szczególnych zasługach w tej mierze Tomasza Lisa. Tyle się napracowali nad zmianą wizerunku, a na końcu ten i tak narzucił im przekaz, że trzeba „jeb... PiS".

W mojej ocenie przez to pofolgowanie sobie w chamstwie przegrali. Pozostałe dwa czynniki to brak programu, czyli zlekceważenie wyborców, i brak odwagi, by pojawić się na debacie w Końskich. Dlatego dziś mogę powiedzieć panu Budce, Kierwińskiemu czy Trzaskowskiemu, żeby sobie te zmanipulowane stop-klatki z moim zdjęciem powiesili nad biurkiem. Nie jako wulgarny przekaz ode mnie, ale jako memento, że kłamstwem, manipulacją i chamstwem wyborów w Polsce nigdy się nie wygra.

Do kolejnych wyborów trzy lata. Jakie będą?

Na pewno przed nami mocny rok. Z wieloma zmianami, projektami ustaw, które od dawna były oczekiwane przez naszych wyborców. Jeżeli to się uda, to za rok o tej porze będziemy mogli powiedzieć: no, to już mamy IV RP.

A dalej? Profesor Norbert Maliszewski mówił w poprzednim wydaniu tygodnika „Sieci", że zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy w roku 2023 jest jak najbardziej możliwe. Pani się zgadza?

Tak. Zwłaszcza jeżeli opozycja nadal będzie się zachowywała tak, jak dotychczas. To z jednej strony niszczy nasze życie publiczne, ale z drugiej, przekreśla jej szanse na powrót do władzy.

Fragment rozmowy z Joanną Lichocką o wydarzeniach w radiowej Trójce przeczytasz w STREFIE PREMIUM portalu wPolityce.pl

eprasa.pl 708d092fdd

Co dalej z Trzaskowskim?

Prezydent Warszawy najprawdopodobniej okaże się niespełnioną nadzieją KO i opozycji, taką, jaką dla lewicy był Włodzimierz Cimoszewicz





STANISŁAW JANECKI

Dlaczego macie do mnie pretensje, skoro jestem za granicą, dowożąc dzieci na miejsce, gdzie spędzą wakacje? Tak odpowiadał niedawny kandydat na prezydenta Polski, gdy pytano go o powód nieobecności w Warszawie podczas demonstracji na rzecz LGBT. A właściwie chodziło tylko o powód milczenia, wszystko jedno gdzie by prezydent Warszawy akurat przebywał. Tymczasem Rafał Trzaskowski zachował się wręcz modelowo dla siebie. Kiedy pojawia się kłopot i nie wie, jak zareagować, po prostu znika. Obojętnie, czy idąc na L-4, czy będąc w podróży, czy zajmując się dziećmi, a choćby psem Bąblem, czy mając akurat inne „ważne zadania". Trzaskowski ani nie wie, jak strategicznie „ustawić się" wobec wyborczej porażki, ani jak organizować swoją polityczną przyszłość poza mandatem prezydenta stolicy. To jednak nie byłby aż tak wielki problem, gdyby nie niepewność wszystkich tych, którzy na Trzaskowskiego postawili i go wspierali, do jakich zadań on się właściwie nadaje. Niepewność wynika z tego, że poza średnio udanym wystąpieniem 17 lipca 2020 r. w Gdyni, gdzie miał być wielki początek ruchu Trzaskowskiego, a było mało istotne powyborcze spotkanie, nie daje on zwolennikom żadnego oparcia, żadnej realnej perspektywy przełomu, nawet motywacji do organizowania się, a choćby mobilizowania. Tak jak w wypadku manifestacji na rzecz LGBT ważne są wakacje. Nawet nie w sensie dosłownym, ale przesunięcia wszystkiego na nieokreślone później, czyli filozofia maniana (mañana) albo metoda Scarlett O'Hary: „Pomyślę o tym jutro".

SNY O POTĘDZE

Trzaskowski miał być ostatnim odwodem Platformy Obywatelskiej, jej najcenniejszym zasobem, którego chciano użyć najwcześniej w wyborach parlamentarnych w 2023 r., a właściwie w prezydenckich w 2025 r. PO zmuszona była jednak ten swój odwód strategiczny wykorzystać latem 2020 r. i mimo liczbowo świetnego wyniku wyborczego (10,018 mln głosów) najlepszy zasób kadrowy poniósł porażkę, przez co został zdewaluowany jako „niezwyciężony" i „niezniszczalny". Przegrywać to mogli Grzegorz Schetyna i Ewa Kopacz czy może Borys Budka, ale nie Rafał Trzaskowski. On miał być pod tym względem nawet lepszy od Donalda Tuska, który w 2005 r. przegrał, ale potem wygrywał. Pierwszej wielkiej gry w ogólnopolskiej polityce Trzaskowski nie mógł przegrać. Ale przegrał. I nie może nawet zastosować taktyki Donalda Tuska po 2005 r. czy Jarosława Kaczyńskiego po 2007 r. (a właściwie po roku 2010). Z prostego powodu – musiałby być szefem partii. Ale wówczas przestałby być kimś nadzwyczajnym, przeznaczonym tylko do wielkich zadań. A kierowanie partią na co dzień odbierałoby mu aurę wyjątkowości, co miało być największym atutem. Jeszcze większym problemem jest to, że szanse na zostanie przewodniczącym PO, a przez to liderem opozycji, są bardzo małe.

Borys Budka, mimo „podwiązania się" pod Trzaskowskiego w czasie kampanii wyborczej i kreowania go na lidera wielkiego ruchu po wyborach, wcale nie chce się z nim dzielić władzą w partii. To jedyne, co Budce zostało z jego marzeń o odegraniu w polskiej polityce ról Donalda Tuska czy Jarosława Kaczyńskiego, a choćby Jerzego Buzka. Bez funkcji szefa partii, w dodatku po zaledwie kilkumiesięcznym spra-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 708d092fdd

wowaniu tego mandatu, Budka będzie nikim. Dlatego nie zamierza się dzielić władzą w partii z Trzaskowskim. Opowieści o duumwiracie na czele PO czy władzy „dwóch konsulów" to polityczne bajki. Dla Budki byłoby to zabójcze. Obecny przewodniczący PO może tu liczyć na aparat partii, który de facto dał mu władzę, gdyż ten aparat boi się, że Trzaskowski część powyrzuca. Ale przede wszystkim ludzie aparatu wiedzą, że Trzaskowski nie nadaje się na partyjnego lidera. Choćby z tego powodu, że jako prezydent Warszawy nie miałby czasu na codzienne kierowanie partią. To wprawdzie dawałoby ludziom aparatu czas, ale też zostawiało miejsce na walki frakcyjne i intrygi, w czym najlepszy jest Schetyna, więc oznaczałoby de facto jego wzmocnienie, a dla partii chaos. Najlepszy jest stan obecny, czyli utrzymanie jak najdłużej premii za dobry wynik wyborczy Trzaskowskiego, ale bez ruchów w partii, które mogłyby tę premię szybko zdewaluować. Premia jest m.in. za złudzenia czy sny o odbudowanej potędze, a nie za faktyczną siłę Platformy po 12 lipca 2020 r. I te złudzenia oraz sny mają być jak najdłużej podtrzymywane, czemu sprzyja brak ogólnopolskich wyborów w perspektywie ponad trzech lat.

NAWET NIE KIJOWSKI

Trzaskowski będzie przez Budkę i partyjny aparat spychany do poczekalni, mimo że ma zwolenników w partii (z tzw. frakcji młodych), np. Cezarego Tomczyka, Sławomira Nitrasa, Agnieszkę Pomaskę czy Aleksandrę Gajewską (ale już nie Bartosza Arłukowicza, grającego na siebie). To jednak za mało, by efektywnie walczyć o przywództwo, tym bardziej gdy ono wcale nie leży na ulicy ani nie ma chętnych, by je podarować. Wymyślono (głównie Budka oraz doradcy z czasu kampanii) dla Trzaskowskiego przewodzenie ruchowi, żeby nie wrócił tylko do roli prezydenta Warszawy, ale taki ruch, jaki planowano, nie ma żadnych szans. A Trzaskowski nic nie zyska na przewodzeniu słabemu ruchowi, a nawet straci w stosunku do partyjnego aparatu, bo nie będzie mógł funkcjonować jako cudotwórca i wielki przywódca. Nawet formatu Mateusza Kijowskiego w szczycie powodzenia KOD, gdy ten brylował na europejskich salonach i był traktowany jak lider szerokiej opozycji. Do tego stopnia, że był w stanie zmusić Grzegorza Schetynę, Władysława Kosiniaka-Kamysza czy Włodzimierza Czarzastego do śpiewania w jego chórze i oddawania mu pierwszeństwa podczas wydarzeń finansowanych przez partie, których ci politycy byli szefami. A bycie kimś słabszym nawet od Kijowskiego to dla Trzaskowskiego klęska.

Trzaskowski nie nadaje się zresztą na przywódcę czegoś takiego jak nowy KOD, gdyby jakiś nowy ruch miał powstać. Dlatego że musiałby działać przede wszystkim na ulicy, a Trzaskowski nie jest przywódcą ulicy. Zresztą prezydent stolicy nie mógłby przewodzić ulicznej rewolcie, głównie w mieście, w którym rządzi, gdyż jeśli nawet nie odpowiadałby za skutki zadym, powodowałyby one chaos w stolicy i brak poczucia bezpieczeństwa. A to mogłoby wywołać protesty mieszkańców, tym razem skierowane przeciwko Trzaskowskiemu. Dewaluacja podstawowego atutu, czyli poparcia większości mieszkańców Warszawy, i to niezależnie od tego, jak Trzaskowski stolicą zarządza, byłoby dla niego politycznie zabójcze. To jest bowiem konkret, w przeciwieństwie do miraży kierowania wielkim ruchem czy odgrywania roli współprzewodniczącego partii bądź konsula (w znaczeniu, jakie ten tytuł miał w starożytnym Rzymie w czasach republiki). Tym bardziej że z każdym miesiącem będzie się dewaluował wynik wyborczy, a coraz wyraźniejsze będą skutki porażki, czyli niemożność blokowania najważniejszych posunięć rządu Zjednoczonej Prawicy (mimo posiadania kontroli w Senacie).

Trzaskowski nie nadaje się na przywódcę czegoś takiego jak nowy KOD, gdyby jakiś nowy ruch miał powstać. Dlatego że musiałby działać przede wszystkim na ulicy, a Trzaskowski nie jest przywódcą ulicy

TRZASKOWSKI JAK CIMOSZEWICZ

Wiele wskazuje na to, że Rafał Trzaskowski będzie dla opozycji (przede wszystkim dla Koalicji Obywatelskiej) tym, czym dla postkomunistów był Włodzimierz Cimoszewicz. Nie zastąpił Aleksandra Kwaśniewskiego po tym, jak został on prezydentem, i nigdy nie odegrał roli Kwaśniewskiego, choć był m.in. premierem, marszałkiem Sejmu i kandydatem na prezydenta. Cimoszewicz nie poprowadził postkomunistów do władzy. Zrobił to Leszek Miller (odpowiednik Schetyny), lecz SLD był w lepszej sytuacji w 2001 r., po rządach AWS, niż jest KO w 2020 r. Trzaskowski, tak jak Cimoszewicz, będzie mógł zdobyć mandat posła czy senatora, jednak będzie już coraz bardziej tylko cieniem samego siebie z kampanii prezydenckiej w 2020 r. Oczywiście będą tworzone różne protezy dla prezydenta Warszawy (kolejne ruchy, zespoły, inicjatywy), żeby podkreślić jego wyjątkowość i pozostawanie największym atutem, lecz to nie zmieni faktu, że szczyt jego możliwości przypadł na lipiec 2020 r. I to nie dało mu zwycięstwa, a raczej odarło z mitu zwycięzcy. Na początku 2023 r. bardzo prawdopodobna jest taka sytuacja, że KO zacznie się rozglądać za nowym kandydatem na zbawcę i lidera całej opozycji, być może nawet spoza PO. Za kimś, kto nie będzie tak zużyty jak Trzaskowski: rozpamiętywaniem wyborczej porażki i kilkoma latami zarządzania Warszawą. W efekcie Rafał Trzaskowski najprawdopodobniej okaże się niespełnioną nadzieją KO i opozycji, tak jak dla lewicy byli nimi najpierw Włodzimierz Cimoszewicz, a potem Wojciech Olejniczak i Grzegorz Napieralski.

eprasa.pl 708d092fdd

Powrót do 49 województw. Czy to możliwe?

Przeciwnicy tej idei zawyją jednym głosem: to powrót do PRL. Pomysł przywrócenia 49 województw w Polsce pada szeptem w kuluarach sejmowych, wspominają o tym tygodnik „Polityka", dziennik „Rzeczpospolita", a ostrzega przed tym Fundacja Batorego. Najlepiej jednak sprawdzić, czego chcieliby Polacy



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

W 2014 r. w 33 miastach na konferencjach prasowych lokalnych polityków pojawiły się osobliwe hasła. We wszystkich miejscowościach, które w 1999 r. utraciły status stolicy województwa, przypomniano podział na 49 jednostek administracyjnych. W miejskich gazetach wspominano, że przez 24 lata fukcjonowały takie województwa, jak zamojskie, piotrkowskie, legnickie, elbląskie, pilskie, ciechanowskie.

„To projekt, który ma być blisko ludzi, przez ostatnie wiele lat Platforma Obywatelska inwestowała środki z UE tylko w wielkie metropolie. Donald Tusk postanowił wmówić Polkom i Polakom, że Polska powinna być podzielona na Polskę metropolitalną i Polskę zaściankową" – te słowa nie padły z ust polityka Prawa i Sprawiedliwości, lecz Krzysztofa Gawkowskiego, wówczas sekretarza generalnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej. „SLD na taki podział się nie zgadza, przez ostatnie lata, a na pewno w okresie funkcjonowania 16 regionów, od 1999 r. zauważamy z roku na rok degradację byłych ośrodków wojewódzkich" – mówił polityk lewicy.



KTO ZAPOMNIAŁ O MAŁYCH MIEJSCOWOŚCIACH?

Latem tego roku dziennikarze odnotowali przeciek informacyjny w Zjednoczonej Prawicy, jakoby obóz rządzący wracał w rozważaniach do idei przywrócenia 49 województw lub w każdym razie ponownego podziału administracyjnego Polski. Jako że pomysł powrócił w szeregach PiS, dotychczasowi zwolennicy budowy większej liczby struktur samorządowych stali się nagle ich przeciwnikami.

Adam Struzik z Polskiego Stronnictwa Ludowego, który był jednym z najzagorzalszych przeciwników likwidacji 49 województw w Polsce, dziś nie chce nawet słyszeć o podziale Mazowsza.

eprasa.pl 708d092fdd

„Nie możemy się, na Boga, z tym zgadzać. Po to 30 lat budujemy demokratyczne państwo, że nawet wszechmocny PiS nie może odebrać ludziom prawa do decydowania, do wyrażania swoich opinii" – grzmiał polityk w rozmowie z „Gazetą Wyborczą". Jako marszałek Senatu Struzik w 1997 r. wykazywał jeszcze większą energię w zatrzymaniu reformy administracyjnej. Zgromadził wokół siebie ekspertów zapewniających, że dwustopniowy podział (województwa–gminy) jest lepszy od trzystopniowego (województwa–powiaty–gminy), także dlatego, bo ten ostatni likwiduje ponad 30 województw. „Czy [Polska] będzie państwem znaczącym swym potencjałem ludnościowym i silnym jednością, czy też federacją autonomicznych regionów, funkcjonujących w kontekście pozanarodowym?" – przestrzegał Struzik we wstępie do publikacji pokonferencyjnej, podkreślając, że Polska kilkunastu województw odbierze osiągnięcia mniejszym miejscowościom, które są motorem lokalnego rozwoju kulturalnego, gospodarczego i społecznego.



Jednak w nowej rzeczywistości Struzik sobie świetnie poradził – dwa lata po reformie administracyjnej został marszałkiem województwa mazowieckiego i pełni tę funkcję od 19 lat. Nic dziwnego, że także jego punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – a teraz Struzik siedzi na stołku marszałka jednostki złożonej z ośmiu dawnych województw, obecnie więc opłaca mu się Polska jako „federacja autonomicznych regionów".

WYLUDNIENIE DAWNYCH STOLIC WOJEWÓDZKICH

Tymczasem fakty są niezależne od zmieniających się interesów polityków, lokalnych satrapów i wielokadencyjnych liderów samorządów. Likwidacja 33 województw doprowadziła do miażdżącej degradacji miejskich ośrodków. Liczba ludności w Ciechanowie równo od likwidacji województwa ciechanowskiego zaczęła spadać – w ciągu 20 lat o 8 proc. Gorzej z Piotrkowem Trybunalskim – po 1999 r. liczba mieszkańców zmniejszyła się z 80 do 72 tys., o 10 tys. obywateli zmniejszyła się Legnica, ale tak można by wymieniać wszystkie stolice dawnych województw. Wszędzie przełomowym rokiem, po którym liczba ludności zaczęła się jednoznacznie zmniejszać, jest 1999, kiedy kraj podzielono na jedynie 16 głównych jednostek samorządowych.

MIASTA NA MARGINESIE

Jako że wzmacnianie Polski mniejszych miejscowości oznacza wzrost poparcia dla PiS (duże metropolie w całym świecie zachodnim są zdecydowanie bardziej liberalne), establishment III RP chórem zapowiada sprzeciw. Nawet dość oczywista idea wydzielenia województwa częstochowskiego skutkuje umiejętnym torpedowaniem tego pomysłu. Gdy wokół rozmów o wydzieleniu Warszawy z Mazowsza powrócił temat Częstochowy, „Gazeta Wyborcza" obwieściła, zgodnie ze stanowiskiem władz powiatu, że ziemia lubliniecka nie chce być w nowej jednostce administracyjnej. Spory na szczeblu powiatowym i gminnym zawsze towarzyszą dyskusji o przesunięciu granic województw, ale przypadek Częstochowy jest ciekawy jeszcze z dwóch powodów. Po pierwsze, prezydent miasta, Krzysztof Matyjaszczyk z SLD, idzie w tej sprawie ręka w rękę z tamtejszymi posłami PiS. Częstochowa jest tak ważnym ośrodkiem kulturalnym i gospodarczym, że niektóre instytucje na własną rękę próbują podnieść rangę miasta.

Kilka lat temu lokalni politycy nalegali na prezesa IPN Jarosława Szarka, by punkt konsultacyjny Instytutu w Częstochowie podnieść do rangi delegatury. Z tych prób niewiele wyszło, ale rozmowa byłaby inna, gdyby Częstochowa była stolicą województwa. Samo miasto historycznie należy do Małopolski, administracyjnie do województwa śląskiego, a potrzeby tego regionu są skrajnie inne. Miasto po reformie administracyjnej straciło w ciągu dwóch dekad 45 tys. mieszkańców.

PRZYNAJMNIEJ KOREKTA GRANIC WOJEWÓDZTW

Bielsko-Biała została wielostronną ofiarą reformy administracyjnej. Z likwidacją statusu stolicy regionu można było się jeszcze pogodzić, ale wcielenie części Małopolski do województwa śląskiego ma wielorakie skutki nie tylko gospodarcze i demograficzne (minus 10 tys. mieszkańców), ale i kulturowe. Ruch

eprasa.pl 708d092fdd

Autonomii Śląska, współrządzący kiedyś województwem, proponował nawet zmianę nazwy klubu sportowego w Bielsku-Białej z Podbeskidzie na „neutralne" BBTS Bielsko-Biała. Paradoksalnie nowoczesna Europa i Polska, stawiające na kulturę regionalną, w poszatkowaniu historycznych krain dopuściły do zaburzenia lokalnej tożsamości. Walczy z tym Stowarzyszenie „Beskidzki Dom", nieco osamotnione, rozwijające nie tylko inicjatywy lokalne, lecz również apelujące do władz centralnych.

Wydawany właśnie apel do rządu zawiera propozycje dotyczące trzech scenariuszy reformy administracyjnej. Jeśli PiS nie zmieni granic województw, to niech chociaż zmieni nazwę województwa śląskiego na województw śląsko-małopolskie. W innym wypadku samorząd w Katowicach będzie mógł pomijać dorobek wschodniej części swojego regionu. W optymalnej wersji dr Grzegorz Wnętrzak, wiceprezes Stowarzyszenia „Beskidzki Dom", widziałby włączenie Bielska-Białej do województwa małopolskiego. A jaki jest plan maksimum? – Gdyby rząd chciał przywrócić 49 województw, to owszem, województwo bielsko-bialskie powinno powrócić na mapę Polski – komentuje dla tygodnika „Sieci" Wnętrzak.

Wnioski badacza Podbeskidzia można by śmiało rozciągnąć na dziesiątki innych miejscowości – historycznie podlaskie Siedlce są dziś częścią Mazowsza, podobnie jak Sokołów Podlaski, a Tomaszów Mazowiecki – województwa łódzkiego. O swoją odrębność walczy stutysięczny Kalisz, który należy do jednych z najstarszych miast w Polsce. Od 15 lat toczy się tam dyskusja o powołaniu województwa o specyficznej nazwie – środkowopolskie. Zupełnie niehistoryczna nazwa nie zmienia tego, że Kaliskie jest regionem historycznym, etnograficznym, o wyraźnej tożsamości, a samo miasto, będąc stolicą województwa, niezwykle szybko się rozwijało.

SLD I PIS JEDNYM GŁOSEM?

Czy SLD podtrzymałby swój pomysł sprzed sześciu lat? – Na tę chwilę nie mamy tego w swoim programie – komentuje dla „Sieci" Anna Maria Żukowska. Lewica jednak nadal dostrzega problem mniejszych miejscowości. – Po reformie administracyjnej sprzed 22 lat część miast straciła i swój prestiż, i sporo miejsc pracy. Narastało tam nie tylko bezrobocie, ale i poczucie bycia miastem drugiej kategorii – mówi rzeczniczka prasowa lewicy. Zauważa również, że degradacja dawnych miast wojewódzkich zmieniła system infrastruktury i transportu w Polsce: – Utrudniło to ściąganie inwestycji do tych miast, a likwidacja połączeń autobusowych i kolejowych wynikała z logiki, że to miasta wojewódzkie mają być węzłem komunikacyjnym. I tak korzystając z transportu publicznego z jednego do drugiego miasta na Mazowszu, przeważnie człowiek musi jechać najpierw do Warszawy.

> Adam Struzik z PSL, który był jednym z najzagorzalszych przeciwników likwidacji 49 województw w Polsce, dziś nie chce nawet słyszeć o podziale Mazowsza. Nic dziwnego, teraz siedzi na stołku marszałka jednostki złożonej z ośmiu dawnych województw

Sprawa wydzielenia Warszawy z województwa mazowieckiego nie wywołuje już w SLD takiego entuzjazmu. – Warszawa już przecież jest odrębnym regionem statystycznym – twierdzi Żukowska.

MARZENIA I KOSZTY

Sprawa budzi kontrowersje także z powodu możliwej likwidacji powiatów, a ten pomysł idzie w parze z rozważaniami przywrócenia większej liczby województw. – Jeszcze pięć lat temu koszty polityczne likwidacji powiatów byłyby zbyt duże, ale dzisiaj... – uśmiecha się tajemniczo jeden z ważnych polityków PiS. Okno możliwości otworzyło się po lipcowych wyborach prezydenckich, bo do następnych wyborów PiS ma trzy lata bez kampanijnej presji i z możliwością reorganizacji państwa.

Polityczny koszt to nie tylko niechęć ze strony samorządów powiatów, ale także wybuch dyskusji nad ustawieniem każdego kilometra poszczególnych granic. Nowe województwa byłyby odbiciem nie tylko ekonomicznych i kulturowych argumentów, ale też wpływów poszczególnych parlamentarzystów – premier z Wrocławia miałby więcej do powiedzenia niż poseł z Gorzowa Wielkopolskiego. Jednak to naturalna kuchnia każdej reformy. Przecież województwo śląskie zyskało w 1999 r. tak wiele dzięki temu, że ówczesny szef rządu Jerzy Buzek pochodził z tamtych stron. To jasne, że wszystkie strony mają tu motywy polityczne – tak jak Edward Gierek ukarał Sandomierz, podporządkowując go województwu tarnobrzeskiemu (stolica regionu podwoiła liczbę mieszkańców w ciągu 24 lat). Gierek rozdrobnił województwa także po to, by osłabić lokalnych kacyków partyjnych, którzy mogliby mu zagrozić na szczytach władzy. Z kolei PiS zyska politycznie na tym, że znowu wzmocni tę Polskę, która nie mieści się jedynie w Warszawie, Gdańsku czy Łodzi. Jednak oprócz interesów partyjnych końcowy efekt może być zaskakujący – rozwój Polski – dziś zwanej powiatową – może stać się bardziej zrównoważony niż metropolitalna koncepcja rozwoju Polski podpisana przez Donalda Tuska w 2008 r.

Z burzliwej dyskusji może się jednak wyłonić wstydliwa dla III RP refleksja – ileż potencjału mniejszych miast zmarnowano po 1989 r., jak bardzo zaniedbano kraj poza wielkimi ośrodkami. Powrót do większej liczby województw mógłby wstrząsnąć Polską na tyle, że nie wróciłaby już w balcerowiczowsko-tuskowe koleiny.

Reklama | 29/0320/F

eprasa.pl 708d092fdd



Patronat honorowy Prezesa Rady Ministrów

Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

Partner Generalny

ORLEN

Partnerzy strategiczni

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

KGHM
POLSKA MIEDŹ

LOTOS

Partner główny

TOTALIZATOR SPORTOWY

Partner +

WĘGLOKOKS

Partnerzy

arp
Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

GAS STORAGE POLAND

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

PARP 20 lat
Grupa PFR

SAP

State of Poland
FUNDACJA

Partnerzy merytoryczni

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
MARLENA MAŁĄG

MINISTERSTWO FUNDUSZY I POLITYKI REGIONALNEJ

MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

MINISTERSTWO AKTYWÓW PAŃSTWOWYCH

MINISTERSTWO KLIMATU

Ministerstwo Cyfryzacji

Ministerstwo Finansów

Ministerstwo Zdrowia

MGMŻŚ
Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej

Partner Hackathon

NIW
Narodowy Instytut Wolności

Program Fundusz Inicjatyw Obywatelskich na lata 2014-2020
FIO

Projekt dofinansowany ze środków Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich na lata 2014-2020

www.wizjarozwoju.pl

eprasa.pl 708d092fdd



Szkoła w czasach pandemii

To już pewne. Szkoły po wakacjach wracają do normalnej pracy. Gdy dzieci odpoczywają, dyrektorzy placówek mają ręce pełne roboty, by ten powrót był jak najbezpieczniejszy



DOROTA ŁOSIEWICZ

Większość powiatów w Polsce jest w standardowej sytuacji epidemicznej, która pozwala na to, aby dyrektorzy przygotowywali się do powrotu tradycyjnych zajęć w szkołach. Jedynie w tych kilku powiatach „żółtych" i „czerwonych" mogą być dodatkowe obostrzenia – w ten sposób szef MEN Dariusz Piontkowski uzasadniał decyzję o tym, że od września szkoły rozpoczynają pracę w zwykłym trybie.

Przypomnijmy, że obecnie strefa czerwona w województwie śląskim obejmuje takie powiaty i miasta na prawach powiatu: pszczyński, rybnicki, wodzisławski oraz Rudę Śląską i Rybnik, w województwie wielkopolskim – ostrzeszowski, w małopolskim – nowosądecki i Nowy Sącz, oraz w łódzkim powiat wieluński. Strefa żółta w województwie śląskim to takie powiaty i miasta na prawach powiatu: cieszyński oraz Jastrzębie-Zdrój i Żory, w podkarpackim – jarosławski, przemyski i Przemyśl, w Wielkopolsce – powiat kępiński, w województwie małopolskim – oświęcimski, w świętokrzyskim – pińczowski, a w łódzkim powiat wieruszowski.

– Czeka nas nauka w czasie pandemii, ale pracujemy nad tym, by zrealizować wszystkie zalecenia MEN i GIS. Jako dyrektor szkoły opracowuję dokumenty dotyczące funkcjonowania szkoły w czasie pandemii. Jestem optymistą, jednak staram się maksymalnie dużo przewidzieć i zaplanować – mówi Tomasz Ziewiec, dyrektor SP nr 25 im. KEN w Warszawie, o tej trudnej dla dyrektorów szkół końcówce wakacji.

Z jednej strony decyzja MEN może zaskakiwać, ponieważ w marcu, gdy rząd zamknął szkoły, żłobki i przedszkola, zachorowań było znacznie mniej niż teraz. Od 4 do 17 marca potwierdzono 221 przypadków zakażenia koronawirusem. Tymczasem w ostatnich dniach liczba zachorowań przekroczyła nawet 700 przypadków na dobę!

– Wówczas przyrost był szybki. Także liczba zachorowań w innych krajach rosła bardzo szybko. To jest kwestia zarządzania ryzykiem. Mogliśmy nic nie zrobić i czekać, czy zachorowań będzie mniej niż w innych krajach. I wtedy groziło nam wejście na ścieżkę włoską. Wszystkie badania wskazują, że szybka prewencja dała najlepszy rezultat, a Polska przeszła lepiej epidemię niż kraje, do których chcielibyśmy się porównywać, jeśli chodzi o standard opieki zdrowotnej – tłumaczył w wywiadzie dla

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 708d092fdd

tygodnika „Sieci" Janusz Cieszyński, wiceszef resortu zdrowia. Zdaniem wiceministra dziś wszyscy wiedzą więcej o koronawirusie, „a to sprawia, że lepiej potrafimy z nim walczyć". – Sytuacja może być różna w różnych miejscach, powiatach. Na dziś nie ma powodu, by wyłączać tysiące szkół na terenie całej Polski. Może być taka konieczność w pojedynczych placówkach, ale to będą zawsze indywidualne decyzje – dodawał wiceminister.

Z drugiej strony niezwykle trudno wyobrazić sobie zdalne nauczanie wdrażane na początku kolejnego etapu edukacji, np. w przypadku uczniów pierwszych klas szkół podstawowych, średnich czy nawet uczniów klas czwartych, gdzie pojawia się nowy wychowawca, nowi nauczyciele, nowe przedmioty i nowy system oceniania.

– Obecna sytuacja epidemiczna, według Ministerstwa Zdrowia i Głównego Inspektora Sanitarnego, pozwala na to, aby w przytłaczającej większości placówek edukacyjnych, w zdecydowanej większości szkół, przedszkoli, żłobków, można było przywrócić standardowe zajęcia polegające na bezpośrednim kontakcie nauczyciela z uczniami – przekonuje minister edukacji.

ZMĘCZENI ZDALNĄ EDUKCJĄ

Nie ma wątpliwości, że wielu rodziców odczuwało przed wakacjami spore przeciążenie związane ze zdalną edukacją.

– To był prawdziwy test wytrzymałości dla rodzin. Dociera do nas mnóstwo głosów rodziców, którzy są tą sytuacją skrajnie wyczerpani. Mamy informację od mamy wykonującej zawód medyczny, że u nich w przychodni pięciu kolejnych lekarzy musiało skorzystać ze zwolnienia, żeby móc się zająć dziećmi przebywającymi na zdalnej edukacji. I tak przychodnia została bez lekarzy – relacjonował mi w czerwcu Tomasz Elbanowski, prezes Fundacji i Stowarzyszenia Rzecznik Praw Rodziców.

Już przed wakacjami rodzice ostrzegali o możliwości protestu, jeśli MEN zdecydowałoby się przedłużyć zdalną edukację na kolejny rok szkolny.

– Wszelkie pomysły nauki zdalnej po wakacjach w tym stanie, jaki mamy teraz, jeśli nic nowego się nie wydarzy, są zupełnie nieuzasadnione i groźne. To może się skończyć paraliżem państwa, ponieważ rodzice nie są w stanie uczyć swoich dzieci i pracować jednocześnie – nie krył zniecierpliwienia Elbanowski.



Pojawiały się także zarzuty ze strony środowiska rodziców, że przy takiej formie kształcenia resort edukacji łamie art. 70 konstytucji, czyli ogranicza dzieciom prawo do nauki.

– Nie ma zgody rodziców na zdalną edukację od września – mówił w czerwcu Elbanowski. – To jest nic innego jak edukacja domowa, gdzie cały ciężar nauki spoczywa na rodzicach.

Dziś niepokoje rodziców związane ze zdalną edukacją potwierdza sam minister. – Tryb pracy zdalnej ma swoje mankamenty. Wielokrotnie już o tym mówiłem. Nauczyciel ma mniejsze możliwości dyscyplinowania uczniów, mobilizowania ich do pracy. Być może częściowo wyniki egzaminu maturalnego o tym świadczą – przyznawał w „Kwadransie Politycznym".

Podobne odczucia podziela dyrektor SP 25 w Warszawie. – Mam nadzieję, że będziemy mogli w miarę normalnie działać, bo nie ma wątpliwości, że najlepsze wyniki osiąga się, pracując z uczniem w szkole. Zresztą wynik tegorocznych matur, do których dzieci w dużej mierze musiały się same przygotować, pokazuje, że najlepiej, gdy nauczyciel może pracować z uczniem – mówi Tomasz Ziewiec.

BEZPIECZNIE, CZYLI JAK?

Resort edukacji we współpracy z Ministerstwem Zdrowia i Głównym Inspektorem Sanitarnym przygotował zalecenia dla szkół. MEN wysłało także do konsultacji pięć projektów dotyczących zasad nauczania w nadchodzącym roku szkolnym. Dzięki nim dyrektorzy w porozumieniu z organem prowadzącym i służbami sanitarnymi będą mogli zawiesić zajęcia, gdy zaistnieje wysokie ryzyko zagrożenia bezpieczeństwa. Inspektor sanitarny będzie wydawał opinię do innej organizacji szkolnych zajęć, biorąc pod uwagę następujące kryteria: zakażenie SARS-CoV-2 w szkole lub placówce, lokalną sytuację epidemiczną, kwarantannę któregoś z uczniów lub pracowników czy opinię lekarza (dot. chorób przewlekłych). GIS wprowadził także dodatkowe zalecenia dla dyrektorów szkół i placówek w strefach żółtej i czerwonej. Przede wszystkim należy: ograniczyć przebywanie osób trzecich na terenie placówki, pamiętać o obowiązku zachowania dystansu w przestrzeniach wspólnych lub zasłanianiu ust i nosa (korytarze, szatnie), wprowadzić zajęcia dla jednej klasy w jednej sali.

Szef MEN podkreśla, że we wszystkich placówkach uczniowie i dyrektorzy szkół muszą pamiętać o podstawowych zasadach higieny, do których od miesięcy zdążyliśmy już przywyknąć, jak mycie i dezynfekcja rąk, zachowanie dystansu. Nie będzie jednak odgórnego obowiązku noszenia maseczek, chyba

eprasa.pl 708d092fdd

że dyrektor danej placówki wprowadzi takie zalecenia. Konieczna będzie także dezynfekcja pomieszczeń, wietrzenie sal, a także unikanie kontaktowych sportów na zajęciach WF. Tyle, w skrócie, wytyczne. Teraz dyrektorzy szkół muszą je przełożyć na swoją rzeczywistość.

– W tym roku na pewno nie będzie standardowego rozpoczęcia roku szkolnego w sali gimnastycznej. Raczej spotkamy się w swoich klasach i tak rozpoczniemy pracę – opowiada Tomasz Ziewiec, dyrektor SP nr 25 im. KEN w Warszawie. – Co będzie najważniejsze? Żeby, zgodnie z zaleceniami, do szkoły przychodziły dzieci zdrowe, takie, które nie mają infekcji górnych dróg oddechowych czy innych objawów choroby zakaźnej. To samo dotyczyć będzie nauczycieli. Jeśli z tym sobie poradzimy, to połowa sukcesu za nami – wylicza dyrektor.

Dlatego dzieci przy wejściu do szkoły będą miały mierzoną temperaturę.

– W związku z tym trzeba założyć, że wejście do szkoły znacznie się wydłuży. Nawet do 45 min. Uruchamiamy więc dwa wejścia. Poza tym nauczyciele będą mierzyć dzieciom temperaturę w klasach. Liczę jednak, że rodzice zachowają się odpowiedzialnie i dzieci z gorączką zostaną w domu. Zaraz po wejściu do szkoły dezynfekcja rąk. W starszych klasach wprowadzimy taki sam ład jak w młodszych, czyli dzieci nie będą zmieniały sali, to nauczyciel przyjdzie do nich. W przestrzeni wspólnej będzie się znajdowała jedna, dwie klasy, sale będą wietrzone. Stworzyliśmy także izolatkę, gdzie w nagłym przypadku trafi uczeń lub nauczyciel. Bardzo ważna jest także możliwość szybkiego połączenia z rodzicem, żeby szkoła dysponowała bezpośrednim kontaktem, a nie biurowym. Możliwe także, że starsze i młodsze dzieci będą rozpoczynały lekcje o różnych porach (w odstępach 15- lub 30-minutowych). To pozwoli nam rozładować wąskie gardło, jakim jest szatnia. Jeśli z tym sobie poradzimy, to ze wszystkim damy radę – wylicza dyrektor Ziewiec.

Szef MEN zapowiada, że w szkołach pojawią się specjalne plakaty z najważniejszymi zasadami bezpieczeństwa, których wszyscy będą musieli przestrzegać.

– Od 1 września zaczynamy od wariantu A, czyli pracujemy w miarę normalnie. Mówię „w miarę", ponieważ ogranicza nas przestrzeń i to w jej ramach musimy stworzyć optymalne, bezpieczne warunki do nauki. Będziemy się starali, żeby odległości między uczniami wynosiły 1,5 m, jeśli to nie będzie możliwe, wówczas uczniowie, którzy usiądą razem, będą sobie na stałe przypisani, tak by nam się dzieci nie mieszały. Trwa właśnie wynoszenie z sal wszystkiego, czego nie daje się umyć, zdezynfekować, więc sale będą nieco mniej zawalone, ale to nie znaczy, że mniej przyjazne – relacjonuje dyrektor.



Choć szkoła wystartuje w trybie tradycyjnym, to gotowa jest także na plan B, czyli edukację mieszaną, i C, czyli konieczność zamknięcia placówki.

– Lekcje będą prowadzone tradycyjnie, ale jesteśmy maksymalnie przygotowani do nauczania zdalnego. Jeśli w klasie wystąpi duża absencja, wówczas uruchamiamy komputer, który jest w każdej pracowni. Wszystkie wyposażyliśmy w słuchawki, w kamery, tak by można było prowadzić transmisję online z sali szkolnej dla tych dzieci, które są na kwarantannie lub są chore. Możliwe także, że na zdalne nauczanie przejdzie jedna klasa, a reszta szkoły będzie pracować normalnie. Wszystko będzie zależało od okoliczności. Ważne, by nie pogłębiać kosztów społecznych epidemii – podkreśla dyrektor Ziewiec.

Inaczej będzie zorganizowana także praca stołówki.

– Wydawanie posiłków rozciągniemy w czasie, tak by maksymalnie rozładować kolejki. Mamy już w tej mierze doświadczenie, ponieważ w ubiegłych latach osobno wydawaliśmy zupę i drugie danie, więc kuchnia jest przyzwyczajona do takiego systemu pracy. Wydawanie posiłków trwało od 11 do 14. Tak będzie i teraz. Jeśli dziecko zje zupę o 11, a drugie danie o 14, to jest większe prawdopodobieństwo, że skonsumuje wszystko, za co płacą rodzice, i wyjdzie mu to na zdrowie. Poza tym będzie podział na grupy, a po każdej grupie dezynfekcja stołówki, w której będzie obowiązywał dystans 1,5 m – opisuje nową, epidemiczną rzeczywistość dyrektor SP 25 w Warszawie.

I CHCIELIBY, I SIĘ BOJĄ

Gdy część rodziców zmęczona zdalną edukacją cieszy się na powrót dzieci do normalnego trybu nauki, są też tacy, którzy boją się wysłać dzieci do szkoły.

– Syn chodzi do szkoły dwuzmianowej, 1,6 tys. dzieci uczących się – ja nie widzę szans na ogarnięcie wszystkiego – wątpi w bezpieczną szkołę Magda Zdort, mama dwójki dzieci. – Z grupą znajomych szykujemy się do uruchomienia nauczania domowego – szykuje się nam państwo opresyjne i trzeba się bronić – dodaje Jacek Schmidt z Warszawy.

Jednak rodzice nie mogą sami zdecydować o tym, że ich dziecko nie będzie, ze względu na zagrożenie koronawirusem, chodzić do szkoły.

eprasa.pl 708d092fdd



Papierosowa e-alternatywa coraz bardziej popularna za Odrą

Od wprowadzenia zakazu sprzedaży papierosów mentolowych w Polsce i całej Unii Europejskiej właśnie mijają trzy miesiące. Nie dotyczy on jednak e-papierosów o takim smaku i znaczna część konsumentów zaczęła korzystać z tej alternatywy. Tymczasem w zachodniej Europie coraz częściej słychać głosy, że urządzenia elektroniczne mogą być pomocne w rzuceniu nałogu palenia tytoniu

Dotychczas modelowym przykładem prowadzenia polityki minimalizacji szkód wynikających z palenia była Wielka Brytania, gdzie rządowe agendy, takie jak Public Health England, wspierane przez zrzeszenie lekarzy Royal College of Physicians, oficjalnie twierdzą, że e-papierosy miałyby prawdopodobnie pozytywny wpływ na zdrowie publiczne, gdyby znaczna liczba palaczy zdecydowała się przejść na tzw. wapowanie (ang. vape oznacza używanie e-papierosów, stąd pochodzi nazwa popularnej globalnej marki Vype). Sprzyjające temu podejściu stanowiska pojawiają się w innych krajach, także u naszych sąsiadów zza Odry. – Niemcy, biorąc na warsztat model brytyjski, mogą się nauczyć z niego paru rzeczy. Jest tak z uwagi na konsekwentne wdrażanie podejścia akcentującego rolę redukcji szkód przez wyspiarzy – mówi Heino Stöver, profesor na Wydziale Zdrowia Uniwersytetu Frankfurckiego. – E-papierosy są traktowane korzystniej w porównaniu z konwencjonalnymi produktami, co zachęca ludzi do przestawienia się na elektroniczne alternatywy. Zmiana ta idzie w parze ze znacznie lepszymi rezultatami w zakresie poprawy stanu zdrowia na terytorium Wielkiej Brytanii – dodaje. Naukowiec przytacza dane z badania przeprowadzonego w Wielkiej Brytanii, które pokazują, że ok. 900 tys. palaczy tytoniu, którzy przestawili się na papierosy elektroniczne, zarówno rzuciło palenie, jak i zaprzestało korzystania z e-papierosów. Oczekuje się, że w nadchodzących latach liczba ta będzie nadal znacząco wzrastać.

Niemcy chcą nawet pójść krok dalej w propagowaniu mniej szkodliwych zachowań.

– E-papierosy powinny być reklamowane jako produkty mniej szkodliwe, aby można je było odróżnić od papierosów tytoniowych. Nawet komisarz ds. uzależnień niemieckiego rządu federalnego stwierdziła w swoim sprawozdaniu rocznym, że papierosy elektroniczne są znacznie mniej szkodliwe niż tradycyjne papierosy tytoniowe – przypomina Dietmar Jazbinsek, dziennikarz zajmujący się tematyką zdrowotną. Wtóruje mu dr Bernd Werse z Uniwersytetu Goethego, specjalista ds. uzależnień. – Konsumpcja papierosów w rzeczywistości znacznie spadła od czasu upowszechnienia się produktów elektronicznych. Dlatego też utrzymujący się w Niemczech powszechny sceptycyzm dotyczący tego, że produkty elektroniczne mogą być sposobem na zminimalizowanie szkodliwych skutków zdrowotnych dla osób palących, wydaje się nieuzasadniony – przekonuje.

Co na razie mogą zrobić nałogowi palacze w Polsce? Oczywiście nadal najlepszym rozwiązaniem jest całkowita rezygnacja z palenia. Jeśli nie jesteśmy w stanie rzucić papierosów, warto rozważyć wykorzystanie do tego produktów alternatywnych. Można się o tym dowiedzieć dzięki kampanii „Masz wybór" (www.maszwybor.pl), za którą stoi koncern British American Tobacco.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 8/0820/F

eprasa.pl 708d092fdd



Bezsilność wobec Łukaszenki

Jeżeli w najbliższych dniach nie nastąpi jakieś nieoczekiwane zaostrzenie biegu zdarzeń na Białorusi, np. pierwsza salwa snajperów ostrą amunicją do tłumu, to reakcje świata na wydarzenia w tym kraju będą bardzo umiarkowane



JAN ROKITA

Skala przemocy i represji, jakie uruchomił miński tyran w obronie swojej władzy, jest – trzeba to przyznać – dość umiarkowana. W końcu „Baćka" Łukaszenka to nie Janukowycz, który broniąc władzy, nie zawahał się kazać snajperom strzelać do zbuntowanego tłumu. I nie zamierza rezygnować z przypisanej mu jeszcze przed laty przez białoruski lud roli „ojczulka narodu". A też jak od wieków dobrze wiadomo, Białorusini, czyli rdzenni mieszkańcy Wielkiego Księstwa Litewskiego, to nie Ukraińcy, nie ma w ich naturze ani ukraińskiej determinacji, ani zawziętości. 3 tys. ludzi aresztowanych (wedle oficjalnych danych) przez milicję podczas wieczoru i nocy z 9/10 sierpnia to raczej efekt niespotykanej na Białorusi liczebności nagle wybuchłych protestów niźli jakiejś szczególniejszej niż zwykle przemocy ze strony władz. I choć szef łukaszenkowskich śledczych Noskiewicz straszy, iż aresztowanym grozi od 8 do 15 lat więzienia, to zapewne większość z nich została już albo zostanie wkrótce wypuszczona z jakimiś nieprzesadnie wielkimi karami. Pewnie ze względu na potrzebę zastraszenia przeciwników reżim wytoczy trochę spektakularnych procesów pokazowych, w których zapadną wyroki więzienia. Ale w chwili gdy piszę ten tekst, choć wiadomo o licznych pobiciach, jednak brak potwierdzonych informacji o śmiertelnych ofiarach zamieszek.

OPOZYCJA BEZ STRATEGII

Wygląda na to, że Łukaszenka jest co prawda zdeterminowany obronić system tyranii, jaki stworzył na Białorusi.

Fot. East News/AP Photo/Sergei Grits

eprasa.pl 708d092fdd



Ale też póki to możliwe, będzie w tym celu używać przemocy względnie miękkiej, w białoruskich warunkach wystarczającej do skutecznej obrony systemu. O tym świadczy także zręczne rozwiązanie kwestii prezydentury, poprzez zmuszenie do ucieczki z kraju kontrkandydatki, która w powyborczy poniedziałek ogłosiła się zwycięzczynią wyborów.

Swiatłana Cichanouska, żona sławnego w kraju blogera Siarhieja Cichanouskiego, którego reżim posadził do kryminału, uniemożliwiając mu rejestrację własnej kandydatury, schroniła się na Litwie, która przyznała jej prawo pobytu. I z bezpiecznego Wilna apeluje do rodaków, aby przestrzegali łukaszenkowskiego prawa i poszli do domów, zamiast bić się na ulicach z milicją. O swojej sytuacji mówi zaś tajemniczo: „Nikomu nie życzyłabym takiego wyboru, przed jakim sama stanęłam". Kandydatka, którą ironiczny przypadek historii wyniósł do roli potencjalnej zbawczyni narodu, nie okazała się nikim innym, jak tylko wytworem owego ironicznego przypadku.

To, co uderza w powyborczym buncie Białorusinów, to jego depolityzacja, tak radykalnie różniąca te zdarzenia od ukraińskiego Majdanu z roku 2013. Tu i tam zapalnikiem stało się fałszerstwo wyborów dokonane przez obóz panującego tyrana. O ile jednak bunt na Ukrainie szybko nabrał cech sprawnej politycznej organizacji, wyłaniając nie tylko czytelne przywództwo, lecz i rozbudowany aparat logistyczny Majdanu, o tyle w Mińsku mogliśmy obserwować bezładne pochody młodych ludzi, wałęsających się bez celu po mieście i w końcu nadziewających się na którejś z kolei ulicy na zmasowane siły milicyjne. Zarówno nagłe wyniesienie Cichanouskiej, jak i całkowity brak politycznej strategii po stronie opozycji to na Białorusi zjawisko trwałe, od lat owocujące niezliczonymi animozjami i walkami pośród aktywistów aspirujących do roli liderów ruchu demokratycznego.

Niezwykle charakterystyczne, że na kilka dni przed obecnym głosowaniem, gdy Cichanouskiej udało się już politycznie pobudzić dziesiątki tysięcy ludzi uczestniczących w jej wiecach, najbardziej opiniotwórczy polityk demokratyczny Aleksander Milinkiewicz (który sam usiłował wygrać z Łukaszenką w 2006 r.) otwarcie dyskredytował kandydatkę na łamach polskiej „Rzeczpospolitej", odmawiając jej umiejętności i niemal wprost sugerując, iż Łukaszenka jest mimo wszystko lepszy dla kraju jako prezydent.

Aż ciężko w to uwierzyć, ale jedynym opozycjonistą, który ostatnimi dniami próbował jakoś uformować organizacyjnie protestujących i postawić przed nimi polityczne cele, okazał się... 22-letni bloger emigrant działający z Polski Sciapan Puciła. Za pośrednictwem swojego kanału Nexta, dostępnego na Białorusi nawet w warunkach częściowej blokady internetu, sformułował dwa cele obywatelskiego buntu: uwolnienie więźniów politycznych i powtórzenie wyborów bez udziału Łukaszenki. Nexta zainspirowała nawet polityczny strajk w kilku fabrykach pod takimi politycznymi żądaniami.

Puciła jest tu naśladowcą sławnego Waela Ghonima, jednego z menedżerów firmy Google, który ze swej willi w Dubaju sterował budowaniem wspólnoty buntu na Facebooku, stając się współtwórcą tzw. wiosny arabskiej sprzed dekady. Jednak jeden choćby medialnie i politycznie najsprawniejszy bloger, i to zmuszony działać z zagranicy, nie jest przecież w stanie rozwiązać problemu przywództwa i celów ruchu. Propagandowe doniesienia zaś o aresztowaniu w hotelu Biełarus „koordynatorów" rozruchów wraz z dużymi paczkami dolarów trudno uznać za coś innego jak prowokacje łukaszenkowskiego KGB.

POLSKIE REAKCJE

Taki stan rzeczy właśnie sprawia, iż praktycznie niemożliwa okazuje się jakaś zewnętrzna interwencja polityczna na rzecz białoruskich sił demokratycznych albo próba mediacji w hipotetycznym dialogu z Łukaszenką. I to też tak wyraźnie różni dzisiejszą sytuację na Białorusi od ukraińskiego Majdanu sprzed pięciu lat. Miński tyran przezornie wyaresztował albo wypędził z kraju wszystkich „poważnych" kandydatów, takich jak mający ciche poparcie Kremla prezes banku Babaryka czy były ambasador w USA Cepkała. „Poważnych" to znaczy takich, którzy mieliby jakieś szanse na znalezienie politycznego wsparcia za granicą, a być może nawet na jakieś wymuszone próby zagranicznej (zwłaszcza rosyjskiej) mediacji.

Jest oczywiste, że przerażona i uciekająca na Litwę Cichanouska nie może być partnerem dla dyplomacji żadnego kraju, czego – jak się zdaje – nie dostrzegł działający pochopnie polski rząd. Niestety premier Morawiecki naraził się na odrzucenie a vista swej poniedziałkowej inicjatywy zwołania pilnego zebrania Rady Europejskiej, a komunikat szefa Rady – Belga Michela – iż szefowie państw unijnych pogadają o Białorusi na rutynowym zebraniu za miesiąc, był dla Warszawy nieco upokarzający. Poparcia Morawieckiemu udzielił tylko lojalny wobec Polski w takich sytuacjach prezydent Litwy Gitanas Nausėda. Litewski przywódca podpisał także wspólne oświadczenie z Andrzejem Dudą, którego niestety nie uzgodniono z przywódcą Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. Natychmiast także w powyborczy poniedziałek wiceszef MSZ Paweł Jabłoński oznajmił publicznie, że Polska „jest naturalnym kandydatem do prowadzenia mediacji". I to mimo iż na pierwszy rzut oka widać było, że żadnych mediacji w Mińsku nie będzie, a już tym bardziej nie będzie ich z udziałem Polski. Nawet prorządowy portal wPolityce zauważył, iż cała ta mało skuteczna nadaktywność polskich władz „sprawia wrażenie uczestnictwa w jakimś wyścigu, kto pierwszy potępi, kto silniej napiętnuje. Jednak często się zdarza, że taka moralna pryncypialność lekko tylko skrywa bezsilność" – komentował na tym portalu nie bez racji Marek Budzisz.

Warto przy tym pamiętać, że (nieco podobnie jak w kwestii komunistycznych Chin) Morawiecki właśnie dokonuje także zwrotu polskiej polityki względem sąsiada zza Bugu. Owo pospieszne dobijanie się roli europejskiego prymusa w piętnowaniu Łukaszenki jest w jakimś sensie powrotem na tradycyjne tory polskiej polityki

eprasa.pl 708d092fdd

wschodniej, z których PiS po przejęciu władzy bardzo chciało choć trochę zjechać.

Flirt rozpoczął w 2016 r. ówczesny szef MSZ Witold Waszczykowski, który odwiedzając mińskiego tyrana, piętnował „nienormalność" wcześniejszej polskiej polityki. Łukaszenka odwdzięczał mu się sugestią, iż po historii ukraińskiego Majdanu Polska zapewne „nie potrzebuje kolejnego zdestabilizowanego kraju" na Wschodzie, co było niemal otwartym żądaniem wspierania przez Polskę jego jedynowładztwa w imię świętego spokoju. Ale z zauroczenia Łukaszenką zasłynął najbardziej ówczesny marszałek Senatu Stanisław Karczewski, który po godzinnej rozmowie reklamował tyrana jako „takiego ciepłego człowieka, któremu absolutnie zależy na interesie Białorusi" i opowiadał z zachwytem o wrażeniu, jakie zrobił na nim „olbrzymi pałac prezydencki, monumentalna budowla". Jeszcze niedawno polskie MSZ planowało faktyczną likwidację TV Biełsat, argumentując koniecznością zaoszczędzenia 12 mln zł w polskim budżecie. I chyba tylko dzięki wpływom oraz determinacji szefowej tej stacji Agnieszki Romaszewskiej mimo wszystko możemy w ostatnich dniach (wraz z milionem Białorusinów) oglądać na żywo relacje z powyborczych rozruchów w Mińsku.

ZAGRANICA SIĘ PRZYGLĄDA

Jeżeli w najbliższych dniach nie nastąpi jakieś nieoczekiwane zaostrzenie biegu zdarzeń (np. pierwsza salwa snajperów ostrą amunicją do tłumu), to reakcje świata będą bardzo umiarkowane. Administracja Trumpa jest raczej obojętna na kwestie praw człowieka za granicą, a sekretarz stanu Pompeo osobiście zaangażował się we wspieranie Łukaszenki w nadziei na skłonienie tyrana do suwerennych zachowań względem Moskwy. W Unii Europejskiej co prawda rozpoczęła się już debata na temat powrotu sankcji uchylonych niemal całkowicie w roku 2016, jednak ani powrót do nich, ani tym bardziej ich dotkliwość dla reżimu Łukaszenki nie są dziś oczywistością. Pewną pryncypialnością wykazuje się Berlin, a minister Heiko Maas był bodaj pierwszym szefem dyplomacji otwarcie mówiącym o potrzebie powrotu do sankcji. Jednoznaczne jest pod tym względem także stanowisko Wilna, ale już Budapeszt sygnalizuje, iż będzie przeciwdziałać takiej decyzji unijnej. Viktor Orbán jest w tej mierze dość konsekwentny. Uważa, że suwerenność państwowa jest polityczną wartością istotniejszą od respektu dla praw człowieka. Zdaje się, że tym razem nie będzie więc wspólnego polsko-węgierskiego frontu.

> Jedynym opozycjonistą, który ostatnimi dniami próbował jakoś uformować organizacyjnie protestujących i postawić przed nimi polityczne cele, okazał się... 22-letni bloger emigrant działający z Polski

Aktualne, dość symboliczne, restrykcje unijne obejmują czterech białoruskich funkcjonariuszy, najprawdopodobniej uwikłanych w przeszłości w morderstwa polityczne na przeciwnikach reżimu, oraz zakaz eksportu broni i środków technicznych przeznaczonych do tłumienia demonstracji. Nawiasem mówiąc, te ostatnie są skutecznie obchodzone, skoro milicja strzela do ludzi w Mińsku polskimi pociskami (produkowanymi w Pionkach), a także miota granaty ogłuszające wyprodukowane w Czechach. Oba rządy zaprzeczają, aby omijały unijne zakazy wobec Białorusi, ale – jak dobrze wiadomo – handel bronią ma od wieków swoje własne sposoby i kanały.

Oczywiście najważniejszy i najciekawszy jest wpływ, jaki sfałszowane wybory i tłumione protesty wywrą na strategię Kremla względem Łukaszenki. Od niejakiego czasu ową strategię charakteryzuje bowiem wyraźna ambiwalencja. Z jednej strony prezydent Putin jest żywo zainteresowany tym, aby w obszarze rosyjskiej „bliskiej zagranicy" nie pojawił się jeszcze jeden kraj podminowany buntami domagającymi się demokracji i ściślejszych więzi z Zachodem. Depesza gratulacyjna Putina, a zwłaszcza oświadczenie moskiewskiego MSZ, niekryjące satysfakcji z powodu pacyfikacji Cichanouskiej i jej zwolenników, są wyraźnymi sygnałami trwałości tej fundamentalnej linii rosyjskiej polityki.

Ale Łukaszenka wzbudza w Moskwie również rosnącą irytację, bo nie tylko zręcznie unika zapowiedzianej głębszej integracji swego kraju z Rosją, lecz nawet (zwłaszcza w obecnej „kampanii wyborczej") zaczął instrumentalnie wzbudzać nastroje antyrosyjskie, aresztując z rozgłosem tuż przed wyborami rosyjskich najemników z tzw. grupy Wagnera i pokrzykując na dywersję, jaką jego zdaniem „wielki sąsiad" prowadzi na Białorusi. Nie tak dawno podczas konferencji kremlowskiego Instytutu Spraw Strategicznych czołowy rosyjski ekspert od Białorusi sformułował tezę, iż „Łukaszenka wydał wojnę rosyjskiemu światu", w związku z czym Rosja musi pilnie wdrożyć „nowy model" relacji z Mińskiem, którego sednem ma być przyspieszona i bardziej agresywna kulturowa rusyfikacja. Teraz z kolei były prezydent i premier Miedwiediew (i, jak się zdaje, ciągle pupil Putina) pozwolił sobie na wyjątkowo twarde słowa wobec Łukaszenki, oskarżając go o celowe „robienie z Rosjan wroga" (to à propos aresztowanych wagnerowców) i zapowiadając dla Białorusi „smutne tego konsekwencje".

Jednak im dłużej trwa w Mińsku tyrania Łukaszenki, tym większe prawdopodobieństwo, że wcześniej czy później Białoruś ostatecznie stanie się pełnym rosyjskim protektoratem. Tej oczywistości zwykli nie dostrzegać w Polsce (i na całym Zachodzie) ci, którzy z mińskim tyranem chcieliby prowadzić jakąś grę, rzekomo mającą osłabić wpływy Moskwy.

eprasa.pl 708d092fdd



W którą stronę skręci Mińsk?

Co się stanie, jeśli na Białorusi zwycięży rewolucja? Dla Siergieja Markowa, rosyjskiego politologa powiązanego z Kremlem, który w skondensowanej formie przedstawił wizję nowych porządków po ewentualnym obaleniu Łukaszenki, wszystko jest jasne – krajem będą rządzić Polacy. To z jednej strony propagandowy straszak, ale z drugiej suma wszystkich rosyjskich obaw dotyczących przyszłości Białorusi



MAREK BUDZISZ

Nie Waszyngton, jak to się stało – w jego opinii – w przypadku Ukrainy, ale Warszawa zostanie ośrodkiem, w którym podejmowane będą wszystkie kluczowe decyzje dotyczące geostrategicznej orientacji Białorusi, realizowanych reform i polityki gospodarczej. Kontrolowany przez Polskę rząd w Mińsku albo doprowadzi do wystąpienia kraju ze zbudowanej przez Rosję Unii Eurazjatyckiej i organizacji wojskowej ODKB, albo będzie prowadził politykę rozsadzania ich od wewnątrz.

Relacje między Mińskiem a Moskwą ulegną szybkiemu ochłodzeniu, tak samo jak możliwość podróży między obydwoma krajami, nie mówiąc już o przyszłości języka rosyjskiego, który po prostu będzie podlegał prześladowaniom. Za tym pójdzie realizowana na masową skalę prywatyzacja przedsiębiorstw, które oczywiście zostaną wykupione przez polski kapitał, ze strasznym – Markow nie ma co do tego wątpliwości – skutkiem dla Białorusinów. Bezrobocie, poniewierka, praca u obcych, czyli w gruncie rzeczy utrata własnego kraju, to zdaniem rosyjskiego eksperta oczywisty wynik triumfu rewolucji i obalenia Łukaszenki. Tylko zdrajca Białorusi i zdrajca Rosji może popierać siłowe obalenie Łukaszenki – kwieciście kończy swój opis zmian na Białorusi po triumfie opozycji rosyjski politolog.

Niemało w tych „prognozach" gry politycznej, bo wystąpienie Markowa, wzmocnione zresztą przez rosyjską propagandę, sporo osób przeczyta na Białorusi, ale zawiera też ona wizję przyszłości, którą można określić sumą wszystkich strachów Kremla.

ROZGRYWAJĄCY ŁUKASZENKA

I na tych obawach Łukaszenka wyraźnie gra, budując w oczach Moskwy swój wizerunek jedynego polityka, który nie tylko utrzymuje porządek, lecz również jest gwarantem obecnej geostrategicznej orientacji kraju.

Fot. AP/Associated Press/East News

eprasa.pl 708d092fdd

Jak zauważa w wywiadzie dla Radia Swoboda Maksim Samorukow, niezależny rosyjski politolog pracujący dla Centrum Carnegie, Białoruś ze swą względnie stabilną gospodarką, wykształconym młodym społeczeństwem, niezwykle silną branżą IT, proporcjonalnie największą liczbą wiz schengeńskich, w której nie ma oligarchów, a korupcja jest na nieporównywalnie niższym poziomie niźli w sąsiedniej Ukrainie jest krajem, który najszybciej z grupy państw Partnerstwa Wschodniego mógłby się stać członkiem Unii Europejskiej. Mógłby, ale nie będzie dopóty, dopóki Białorusią rządzi Łukaszenka, który w oczach Moskwy jest najpewniejszym gwarantem, iż tego rodzaju zmiana nie nastąpi. Czego nie można, zdaniem Samorukowa, powiedzieć o innych politykach (w tym takich jak aresztowany niedoszły kandydat w wyborach prezydenckich Wiktar Babaryka), którzy w oczach m.in. przedstawicieli starej antyłukaszenkowskiej opozycji uchodzą wręcz za przysłanych przez Rosję w celu obalenia dyktatora.

W czasie kampanii wyborczej Babaryka mógłby powiedzieć wszystko – argumentuje Samorukow – podkreślać, jakim jest prorosyjskim i pragmatycznym politykiem. Ale na Kremlu doskonale zdają sobie sprawę z tego, że dzień po sukcesie nowego białoruskiego prezydenta Zachód zacznie go kusić możliwościami, jakie daje współpraca i integracja. I on tym pokusom ulegnie. To dlatego, zdaniem rosyjskiego politologa, Moskwa nigdy nie porzuci Łukaszenki. Co innego osłabienie krnąbrnego „Baćki", skłonienie go do większej ustępliwości, zgody na „pogłębioną integrację", o której wspominał w poniedziałkowy poranek Władimir Putin w swej depeszy gratulującej ponownego wyboru.

Sęk w tym, że Łukaszenka też wie o tym, że zajmuje taką pozycję w moskiewskim rachunku sił, i umiejętnie rozgrywa obawy Rosji, podobnie zresztą jak obawy Zachodu. Na użytek europejskich demokracji i Stanów Zjednoczonych buduje swój wizerunek ostatniej opoki, polityka, który jest gwarantem, że Białoruś nie zostanie połknięta przez agresywną Rosję, co doprowadziłoby do zasadniczej zmiany układu sił w Europie.

Nawet w toku powyborczych represji, kiedy w dziesiątkach białoruskich miast siły specjalne brutalnie rozbijają protestujących przeciw fałszerstwom wyborczym, władza dba, aby elementy narracji świadczące, że to, co się dzieje na Białorusi, jest scenariuszem destabilizacji sytuacji wewnętrznej przygotowanym przez Rosję, były obecne w przekazie. W powyborczy poniedziałek, po nocnych demonstracjach w kilkudziesięciu miastach i miasteczkach Białorusi, oficjalna agencja Biełta poinformowała o zatrzymaniu kilku demonstrantów, z których dwóch przed kamerami powiedziało, że przyjechali z Rosji. Dzień później ukazał się komunikat o zatrzymaniu kolejnego Rosjanina, powiązanego z Otwartą Rosją, ruchem, któremu patronuje Michaił Chodorkowski. Tego samego dnia w hotelu Białoruś miał być zatrzymany z torbą, w której znaleziono ponoć 10 tys. dol., „koordynator masowych nieporządków".

> Białoruś jest krajem, który najszybciej z grupy państw Partnerstwa Wschodniego mógłby się stać członkiem Unii Europejskiej. Mógłby, ale nie będzie dopóty, dopóki rządzi tam Łukaszenka, który w oczach Moskwy jest najpewniejszym gwarantem, że tego rodzaju zmiana nie nastąpi

Łukaszenka, łamiąc wszelkie demokratyczne procedury i pacyfikując protesty, jednocześnie umiejętnie rozgrywa obawy i niepokoje państw Zachodu. W oficjalnym oświadczeniu białoruskiego MSZ skierowanym do stolic państw europejskich i Stanów Zjednoczonych wydanym dwa dni po wyborach można przeczytać podziękowania „za wasze deklaracje poparcia dla suwerenności i niezależności Republiki Białorusi. Te zasady są święte dla każdego państwa. A dla nas dzisiaj – szczególnie!". Obok tego znajdują się w nim stwierdzenia sugerujące, jakoby to, co się dzieje na Białorusi, miało swoje drugie dno i namawiające międzynarodową opinię publiczną do powściągliwości oraz, jak można się domyślać, powstrzymania od nałożenia na reżim sankcji.

Do tego, jak można wnosić z powściągliwej, opieszałej i dość łagodnej reakcji kolektywnego Zachodu na to, co się dzieje w białoruskich miastach, jest jeszcze w gruncie rzeczy dość daleko. Chyba że sytuacja ulegnie dramatycznemu pogorszeniu, ale na to się nie zanosi. Demonstracje są powszechne, ale jak można sądzić z ograniczonych blokadą informacji, rozproszone. Nawet jak na europejskie, nie mówiąc już o ukraińskich, standardy mają one charakter pokojowy, bardziej przypominający protesty na moskiewskim placu Błotnym w 2011 r., niźli późniejsze o dwa lata zajścia w Kijowie. Niewykluczone, że zmiana sytuacji nastąpi, jeśli strajki, które zaczęły się w połowie powyborczego tygodnia i są kolejnym w przypadku Białorusi ewenementem, bo robotnicy nie protestowali w ten sposób od 1994 r., się rozszerzą. Na razie niewiele wskazuje na taki scenariusz wydarzeń.

OPOZYCJA BEZ LIDERA

Możliwość politycznego rozwiązania białoruskiego węzła za pomocą dialogu między obozem władzy a opozycją wydaje się jednak mało realna, a do tego wzywają w wielu wystąpieniach przedstawiciele Zachodu, w tym m.in. prezydenci Polski i Litwy. Przede wszystkim z tego powodu, że dziś protesty na Białorusi nie mają swego instytucjonalnego oblicza. Nie ma ich politycznego kie-

eprasa.pl 708d092fdd

rownictwa. Triumwirat pań, ze Swiatłaną Cichanouską, rywalką Łukaszenki i prawdopodobną zwyciężczynią w wyborach prezydenckich, nie odegrał do tej pory – i wydaje się, że już nie odegra – takiej roli z tego powodu, że nie stanął na czele protestów. Cichanouska, która nie jest politykiem, o czym wielokrotnie zresztą mówiła, opuściła Białoruś i obecnie znajduje się na Litwie. Łukaszenka mówił o swej rywalce w protekcjonalny sposób, nazywając ją „dziewczynką", która została wypchnięta przez politycznych graczy na pierwszą linię, nie do końca zdając sobie sprawę, w czym uczestniczy.

Zresztą nie jest to tylko pogląd Łukaszenki, podobne krytyczne w tonie oceny formułował niedawno znany ukraiński dziennikarz Witalij Portnikow. Nie kwestionując odwagi Cichanouskiej, która podlegając wielkiej presji, zdecydowała się rzucić wyzwanie dyktaturze (mąż w więzieniu zagrożony długoletnim więzieniem), trzeba do pewnego stopnia przyznać rację tym ocenom. Anegdotycznie brzmi jej odpowiedź, w trakcie wywiadu z rosyjskim portalem Lenta, na pytanie, jaki jest jej stosunek do dekomunizacji: „Jest mi bardzo wstyd, ale nie wiem, co to takiego", odparła i dodała, że zapisze sobie to słowo, aby sprawdzić, o co chodzi.

Władzom – presją, groźbą i szantażem – prócz skłonienia Cichanouskiej do wyjazdu, zresztą w towarzystwie Marii Moroz, szefowej jej sztabu wyborczego, udało się nakłonić ją do wydania oświadczenia, w którym wzywa Białorusinów, aby ci nie uciekali się do przemocy. W niedzielę, dość niespodziewanie, również dla współpracowniczek, o swoim wyjeździe do Moskwy (będąc już w Rosji) poinformowała Weronika Cepkało, zapowiadając co prawda powrót na Białoruś, który jednak nie nastąpił. Trzecia z triumwiratu pań Maria Kolesnikowa, kierująca komitetem wyborczym Wiktara Babaryki, mimo wcześniejszych deklaracji, w których mówiła, iż „stanie na czele, jeśli ludzie wyjdą na ulice", również powstrzymuje się od jednoznacznych deklaracji mogących uczynić z niej przywódczynię fali protestów. Z trójki pań, które stanęły na czele białoruskiej rewolucji wyborczej, ani Cichanouska, ani też Maria Kolesnikowa, która z wykształcenia jest muzykiem i menedżerem sztuki, a zanim niedawno przyjechała na Białoruś, 12 lat mieszkała w Niemczech, nie są doświadczonymi politycznymi liderami.

Wydaje się, że jeśli można mówić o jakiejś grze politycznej, to dziś uprawia ją małżeństwo Cepkałów. Walery Cepkało, niedoszły kandydat, który wcześniej był częścią ekipy Łukaszenki, sprawując funkcje wiceministra spraw zagranicznych, ambasadora w USA czy szefa Parku Zaawansowanych Technologii, przebywając poza graniami kraju, jest publicznie i politycznie bardzo aktywny. Choć formułowany przezeń przekaz jest dość zastanawiający. Jak ujawniły rosyjskie media, opublikował on w tygodniu przedwyborczym dość zastanawiający w swej wymowie list otwarty, którego adresatem był Władimir Putin. Główną tezą wystąpienia jest ta, iż Łukaszenka w ciągu całego okresu swoich rządów nie miał intencji budowania uczciwych relacji „z głównym strategicznym partnerem, jakim jest dla nas Rosja". Kierował się wyłącznie własnym interesem, dążąc do osiągnięcia maksymalnej korzyści, posługując się przy okazji „niedopuszczalną" retoryką. Dalej Cepkało formułuje myśl, że to w wyniku takiej właśnie nieszczerej polityki umowa o stworzeniu wspólnego białorusko-rosyjskiego państwa nadal „pozostaje na papierze". Ma też on zabiegać w świetle medialnych relacji w stolicach sąsiednich państw, a po wizycie w Kijowie zapowiada swój przyjazd do Warszawy, za przyjęciem przez Zachód „wariantu wenezuelskiego" wobec Białorusi. Swiatłana Cichanouska miałaby wzorem Juana Guaido być uznana za prawowitego zwycięzcę wyborów i przystąpić do formowania gabinetu na wychodźstwie.

* * *

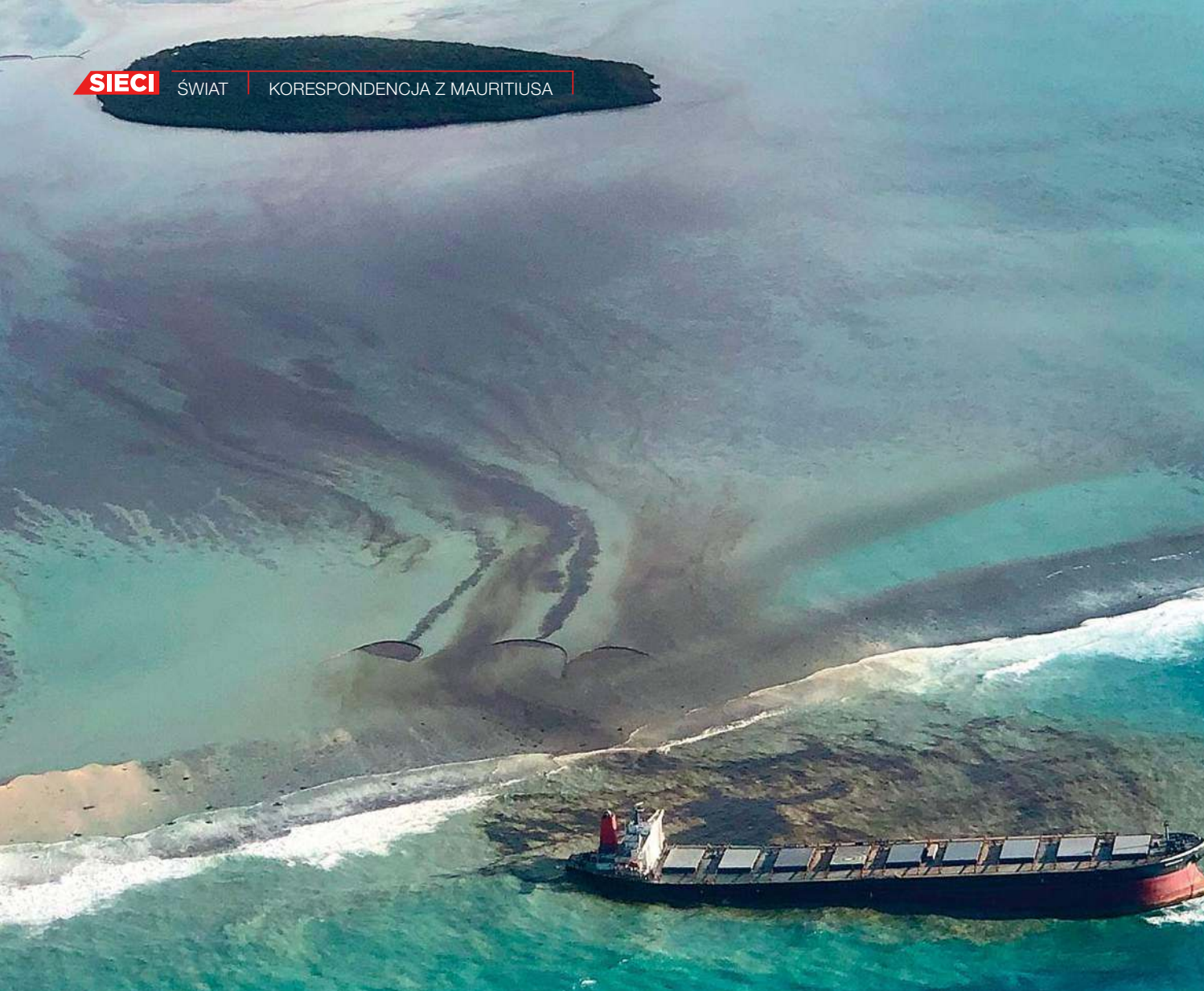
Jak powiedział w cytowanym już wywiadzie Maksim Samorukow, optymalnym z punktu widzenia Moskwy scenariuszem rozwoju wydarzeń na Białorusi, oczywiście oprócz stłumienia siłą protestów, jest taka ocena przez Zachód postępowania Łukaszenki, że wykopane polityczne rowy uniemożliwią mu dalsze uprawianie polityki lawirowania. Wówczas jego wola oporu wobec integracji, ale też możliwości jej blokowania znacznie się zmniejszą. Gdyby Zachód uznał, że Cichanouska jest Juanem Guaido, to w świetle jego interpretacji byłby to najlepszy dla Kremla prezent.



Główna rywalka Aleksandra Łukaszenki, Swiatłana Cichanouska po wyborach wyjechała na Litwę i opublikowała nagranie, na którym wzywa Białorusinów do zaprzestania udziałów w protestach

Fot. Julia Khvoshch/Shutterstock.com

eprasa.pl 708d092fdd



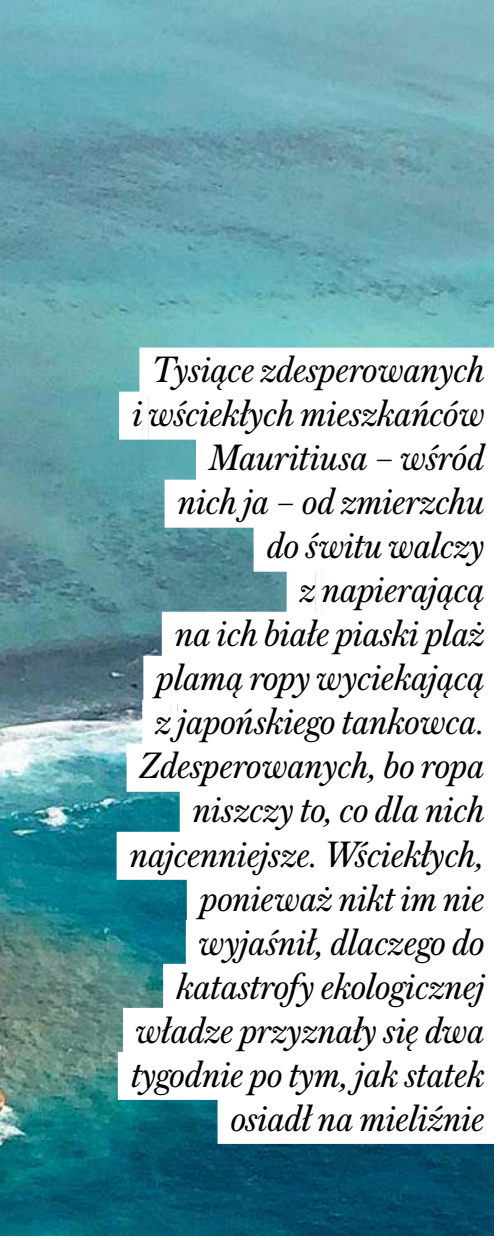
Rajska wyspa w czarnej ropie



TADEUSZ BRZOZOWSKI

Mieszkańcy Mauritiusa długo będą pamiętać ten rok. Najpierw z niepokojem oczekiwali na cyklon rokrocznie szalejący na wodach Oceanu Indyjskiego. Tym razem zamiast sztormu i powodzi przyszedł koronawirus, który wypędził z wyspy turystów i przyniósł załamanie gospodarcze. Gdy wszyscy liczyli straty, wiosną przyszła wiadomość, że Mauritius zostanie umieszczony na czarnej liście krajów piorących brudne pieniądze i sponsorujących terroryzm. Z takim piętnem trudno będzie myśleć o odbudowie turystycznego biznesu. A co dopiero obronić reputację regio-

eprasa.pl 708d092fdd



Tysiące zdesperowanych i wściekłych mieszkańców Mauritiusa – wśród nich ja – od zmierzchu do świtu walczy z napierającą na ich białe piaski plaż plamą ropy wyciekającą z japońskiego tankowca. Zdesperowanych, bo ropa niszczy to, co dla nich najcenniejsze. Wściekłych, ponieważ nikt im nie wyjaśnił, dlaczego do katastrofy ekologicznej władze przyznały się dwa tygodnie po tym, jak statek osiadł na mieliźnie

nalnego centrum finansów, które jeszcze niedawno miało ambicje konkurować z Londynem. Na dodatek co chwila wybuchają skandale korupcyjne, w których główne role grają czołowi politycy z premierem na czele. Jednak nikt się nie spodziewał, że kolejnym nieszczęściem będzie katastrofa ekologiczna.

ZDERZENIE Z RAFĄ

Japoński tankowiec Wakashio, płynący z Chin do Brazylii, zbliżył się zbytnio do południowo-wschodniego wybrzeża wyspy i 25 lipca br. osiadł na mieliźnie rafy koralowej. Nic nie zapowiadało tragedii. Po kilku bezskutecznych próbach zepchnięcia statku na głębsze wody ewakuowano załogę. Winę ponosi najpewniej lokalna straż przybrzeżna, która z niezrozumiałych powodów pozwoliła, by statek niemal otarł się o wyspę.

Nieplanowany kontakt z podwodnym lasem koralowców sprawił, że w burcie powstała wielka dziura. Z niej zaczęła wyciekać czarna struga ropy. Rafa otaczająca wyspę jest zwykle oddalona od brzegu o kilkadziesiąt, kilkaset metrów. Jednak tutaj, gdzie osiadł Wakashio, wcina się w ocean na 2–3 km. Statek z mocno zanurzoną rufą z daleka wygląda jak pomost łączący niewielką Wyspę Czapli ze stałym lądem. Jednak w nikim ten widok nie wzbudza zachwytu.

PŁYWAJĄCE ZAPORY

Jest sobota 8 sierpnia. Podobnie jak tysiące ochotników stoję po kolana w brudnej mazi, która z jednej strony wdziera się na plaże Blue Bay, z drugiej oblepia skały umocnień drogi wiodącej do Mahébourga, starego portu, do którego przybijały pierwsze żaglowce europejskich odkrywców. Trudno uwierzyć, że kilka dni wcześniej wody płytkiej laguny między tymi dwiema turystycznymi atrakcjami miały charakterystyczny turkusowy kolor. Wybrzeże to morski park narodowy, duma tego wyspiarskiego kraju. Kto nie miał ochoty sam zanurzyć się w ciepłej wodzie, by podziwiać barwne życie toczące się w labiryncie podwodnych struktur koralowca, mógł skorzystać z łodzi ze szklanym dnem. Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że rafa wokół Mauritiusa została stracona. Nie służy jej globalna zmiana klimatu, przepływające w pobliżu statki, tłumy turystów. Od dwóch lat, kosztem milionów dolarów, powoli była przywracana do życia. Wyciek z Wakashio może zniweczyć te wysiłki. Ale rafa to nie tylko turystyczna atrakcja. To ekosystem, który przede wszystkim chroni wyspiarzy i żywiącą ich przybrzeżną faunę przed gwałtownymi sztormami, cyklonami i podnoszeniem się mórz.

Wiadrami zbieramy ropę do ustawionych na plaży metalowych beczek. Maseczki, których noszenie z powodu koronawirusa jest na Mauritiusie obowiązkowe i bezwzględnie przestrzegane, nie ułatwiają pracy. Chronią jednak trochę przed mdłym odorem czarnej mazi. Co kilka godzin ktoś głośno rzuca jakąś liczbę. To, jak mi wyjaśniono, kolejna wypełniona przez wolontariuszy cysterna. Ropa, którą zbieramy i która jest tłoczona przez dziesiątki pomp, trafia do rafinerii w Montagne Blanche, gdzie zostanie poddana recyklingowi, a później będzie dostarczona do miejscowych stacji paliw.

Setki ludzi rozkładają długie, zszyte na poczekaniu chodniki materii. Jedni układają na nich suche liście trzciny cukrowej, która pokrywa znaczną część wyspy. Inni zwijają je w rulony. Wygląda to jak skręcanie gigantycznego cygara, które zszyte dratwą i z doczepionymi pustymi butelkami po wodzie trafiają na pokład dziesiątek łodzi rybackich. Te wynoszą rulony w morze i układają barierę, licząc, że zatrzymają ropę z dala od brzegu.

Pogoda nam nie pomaga. Za rafą morze jest wzburzone, spore fale z łatwością przelewają się przez pierścień korali i choć u brzegu łagodnieją, rozrywają tłustą plamę na kilka części. Brakuje dużych butli, które najlepiej radzą sobie z utrzymaniem zapory na powierzchni wody. Tysiące ludzi zniosło butelki małe, litrowe, półlitrowe, walają się teraz po plaży, tworząc przygnębiające śmietnisko.

WŁOSY POCHŁANIAJĄ ROPĘ

Nasza praca to tylko rozpaczliwa walka z żywiołem. Przy kapryśnej pogodzie jest raczej skazana na porażkę. Ropa co chwila przelewa się przez skromne bariery. Wokół rozbitego statku przycumowały małe kutry z ratownikami morskimi wyposażonymi w skromny sprzęt do wypompowania paliwa z olbrzymich zbiorników. W sobotę wczesnym wieczorem wszystkich przygnębiła wieść, że morze jest zbyt wzburzone, nie powiodły się próby ustabilizowania statku i wypompowania ok. 4 tys. litrów ropy znajdującej się w jego zbiornikach. Nie udało się też otoczyć wraku ochronnym, pływającym pierścieniem, wysokie fale niweczyły każdą próbę niedoświadczonych ratowników.

Rząd, który początkowo był przeciwny spontanicznej akcji wolontariuszy, szybko się poddał. Do wszystkich

Fot. Eric Villar/Associated Press/East News

eprasa.pl 708d092fdd


Fot. Tadeusz Brzozowski


Fot. Rejesh Parboteeah


Fot. Tadeusz Brzozowski

firm, które w czasie koronawirusa są utrzymywane dzięki subwencjom, wysłano prośbę, by przysłały do pomocy swoich pracowników. Od kilku dni każdy, kto może i potrafi, zszywa materiały na falochrony, ochotnicy ścinają swoje włosy, bo upchane w płócienne tuby doskonale pochłaniają ropę.

Ten powszechny zryw stał się paradoksalnie możliwy dzięki pandemii. Od pierwszych dni jej ogłoszenia i całkowitego zamknięcia wyspy, łącznie ze sklepami, stacjami paliw i biurami, zaczęły tworzyć się wspólnoty sąsiedzkie, komunikujące się przez WhatsAppa czy Twittera. Nieprzygotowany na niezapowiedziane zamknięcie sklepów pierwszy tydzień z pustą lodówką przeżyłem dzięki takim wspólnotom, które spod ziemi wyczarowywały warzywa i owoce, dostarczając je pod drzwi. Te same grupy organizują się teraz, rozdzielając prace, zamawiając potrzebny sprzęt, informując, gdzie dostarczyć słomę, worki, sieci, nici czy igły. Na plaży można było przejść ekspresowy kurs zszywania brezentu i wypychania boi włosami.

> Wiadrami zbieramy ropę do ustawionych na plaży metalowych beczek. Maseczki, których noszenie z powodu koronawirusa jest na Mauritiusie obowiązkowe i bezwzględnie przestrzegane, nie ułatwiają pracy

MAURITIUSOWI NA POMOC

Nasz wysiłek jedynie osłabił skutki wycieku, powstrzymać go nie mogliśmy. W sobotę 8 sierpnia premier przyznał, że Mauritius sam sobie nie poradzi. Dzień później z pobliskiej francuskiej wyspy Reunion wystartował wojskowy samolot. Wyposażony w sprzęt kontrolujący skażenie zatoczył kilka kręgów nad Blue Bay. W jego ślady wypłynął okręt francuskiej marynarki wojennej. Tego samego dnia pomoc zaoferowali Japończycy, których statek stał się przyczyną problemów. W poniedziałek 10 sierpnia na wyspie pojawili się ratownicy z Reunion. Nim przystąpili do pracy, poddano ich testom na obecność koronawirusa. Na Mauritiusie od kilku miesięcy nie było żadnego pozytywnego przypadku. Wyspa planowała zaproszenie turystów 1 września, nikt więc nie chce zniweczyć efektów długotrwałej i kosztownej izolacji. Nawet katastrofa ekologiczna nie usprawiedliwiłaby złamania rygoru.

W środę wieczorem francuscy ratownicy usunęli olej z mocno już zanurzonego statku. Trafił wprost do niewielkiego tankowca. Tych kilka dni mijało w napięciu, wrak w każdej chwili mógł się przełamać na pół i cała zawartość jego zbiorników w jednej chwili wylałaby się na powierzchnię. Jednak zagrożenie nie minęło całkowicie. Ropa wciąż omywa brzegi okolic Mahébourga, a na wraku nadal pełno jest różnego rodzaju smarów i olejów. Czyszczenie wyspy potrwa jeszcze wiele dni.

Reklama | 72/0120/F

eprasa.pl 708d092fdd

caritas POLSKA

paczka dla Wenezueli



UCHODŹCY Z WENEZUELI GŁODUJĄ NA GRANICY Z KOLUMBIĄ

Caritas Polska organizuje pomoc żywnościową dla najbardziej potrzebujących rodzin.

100 zł = **1 paczka** = **7 dni** wyżywienia dla jednej rodziny

Wspomóż Wenezuelczyków razem z nami!

Dokonując wpłaty na stronie **caritas.pl/wenezuela**

Wpłacając dowolną kwotę na konto: **PL 77 1160 2202 0000 0000 3436 4384** z dopiskiem **WENEZUELA**

Wysyłając **SMS** pod numer **72052** o treści **WENEZUELA** (koszt 2,46 zł z VAT)

eprasa.pl 708d092fdd

Powrót gwiezdnych wojen

Rosja i Chiny chcą wypowiedzieć kosmiczną wojnę Stanom Zjednoczonym. Jej długofalowym celem ma być pozbawienie Amerykanów zdolności obronnych. To nie science fiction. Nowe rodzaje superbroni: pociski orbitalne, działa laserowe, są już w fazie testów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

15 lipca ze znajdującego się na orbicie wokółziemskiej rosyjskiego satelity Kosmos-2543 wystrzelono pocisk. Zdaniem Amerykanów, którzy ujawnili tę informację, był to test broni antysatelitarnej, nad którą Rosjanie intensywnie pracują już od wielu lat.

Amerykanie od dawna przyglądali się organizowanej przez Rosjan tajemniczej misji kosmicznej, która zaczęła się pod koniec listopada ub.r. Wtedy z kosmodromu w Plesiecku wystartowała rakieta Sojuz 2.1, która wyniosła na orbitę satelitę o kryptonimie Kosmos-2542. Na początku stycznia Kosmos-2542 wykonał kilka zagadkowych manewrów. Szybko się okazało, że jego celem jest amerykański satelita zwiadowczy. Rosjanie utrzymywali kurs swojego pojazdu tak, aby przez cały czas śledzić Amerykanów. Bywało, że rosyjski satelita zbliżał się do amerykańskiego na odległość zaledwie kilkunastu kilometrów, skąd można prowadzić obserwację nawet za pomocą prostych urządzeń optycznych i podglądać szczegóły wyposażenia. Jak wyjaśniają eksperci, nie jest to łatwy manewr, tym bardziej że Rosjanie z oczywistych względów nie uzgadniali swoich ruchów z Amerykanami i mogło dojść do kosmicznej kolizji obu urządzeń.

eprasa.pl 708d092fdd



Zachowanie Rosjan świadczyło o tym, że bardzo udoskonalili swoje umiejętności manewrowania w kosmosie. I nie było wątpliwości, że nie mają raczej dobrych zamiarów.

Wkrótce potem od Kosmosa-2542 oddzielił się mniejszy satelita nazwany Kosmos-2543. To właśnie ten pojazd na oczach Amerykanów oddał salwę w przestrzeni kosmicznej. Wystrzelony z niego pocisk nie posiadał prawdopodobnie głowicy bojowej, zresztą nie byłaby mu ona do niczego potrzebna. Aby zestrzelić lecącego obok amerykańskiego satelitę szpiegowskiego, wystarczyłaby sama energia kinetyczna pocisku.

STRZAŁ NA ORBICIE

Rosyjska zdolność do niszczenia satelitów na orbicie zmroziła utworzone niedawno amerykańskie dowództwo sił kosmicznych (United States Space Force). I nie chodzi tu tylko o satelity zwiadowcze, lecz również o mnóstwo innych urządzeń, choćby o satelity telekomunikacyjne lub tworzące system pozycjonowania GPS wykorzystywany – o czym warto przypomnieć – przez nowoczesne systemy precyzyjnego uzbrojenia. Bez nich państwo amerykańskie stałoby się w obliczu konfliktu ślepe i bezbronne.

To, że Rosjanie od dawna pracują nad bronią antysatelitarną, nie jest tajemnicą. Jeszcze w czasach sowieckich, pomimo traktatów o pokojowym wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej, prężono muskuły: w 1974 r. radziecka stacja orbitalna Salut-3 przeznaczona do szpiegowania instalacji wojskowych NATO była na wszelki wypadek wyposażona w działko. Rozważano nawet użycie specjalnych satelitów uzbrojonych w głowicę jądrową, które eksplodowałyby w pobliżu wrogich obiektów.

Dziś pomysły są bardziej subtelne. Jak się szacuje, w ostatnich latach Rosjanie wydali na rozwój broni kosmicznej ok. 5 mld dol. Ale dotąd testowali głównie rakiety antysatelitarne odpalane z ziemi (rozwijany od 1986 r. kompleks Nudol, który miał być odpowiedzią na reaganowski program SDI) oraz z samolotów. Przeprowadzane przez nich próby tych systemów wskazywały, że na razie nie są w stanie poważnie zagrozić Amerykanom.

Bo choć satelity łatwo namierzyć, ponieważ poruszają się zwykle stałym kursem, to już znacznie trudniej je zestrzelić. Podstawową przeszkodą w walce z nimi jest ich mały rozmiar, duża prędkość (ok. 25 tys. km/h) i wysokość, na której operują. Początkowo technologia pozwalała na umieszczanie satelitów na niskiej orbicie, wynoszącej 100–2000 km nad Ziemią. Dotąd znajduje się na niej większość z ok. 2 tys. takich czynnych obiektów, głównie urządzenia komunikacyjne oraz meteorologiczne. Na wyższej, dochodzącej do 35 tys. km, operują satelity systemu nawigacji GPS oraz niektóre wojskowe satelity zwiadowcze. Powyżej 35 tys. km nad Ziemią znajduje się niewielka liczba – prawdopodobnie nie więcej niż 40 – najbardziej nowoczesnych wojskowych satelitów łączności i zwiadu strategicznego. Taka wysokość chroni je przed rakietami odpalanymi z ziemi lub z samolotów, ale ich słabym punktem jest eliptyczna orbita, po której się poruszają. Oznacza to, że co jakiś czas zniżają swój lot ku perygeum, które

Fot. Shutterstock

Autopromocja

24 sierpnia
w tygodniku
SIECI

dodatek na III Forum
Wizja Rozwoju
w Gdyni

- Jakie wyzwania stoją przed polską gospodarką?
- Dlaczego warto być na Forum Wizja Rozwoju?
- Które tematy konferencji okażą się kluczowe?

PARTNER STRATEGICZNY DODATKU

ORLEN

PARTNERZY DODATKU:

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.
BGK Bank Gospodarstwa Krajowego
LOTOS
TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl 708d092fdd

wynosi nie więcej niż 1 tys. km nad Ziemią. I właśnie w tym momencie stają się łatwym łupem dla przeciwnika.

Przetestowany w połowie lipca orbitalny system antysatelitarny daje Rosjanom znacznie szersze możliwości działania. Korzystając z rakiet odpalanych z ziemi lub z samolotów, muszą oni bowiem czekać na dogodny moment, aż wrogi satelita zbliży się na pożądaną wysokość i znajdzie się blisko terytorium Rosji. Tymczasem pocisk wystrzeliwany z satelity nie ma takich ograniczeń. I właśnie to tak zaniepokoiło Amerykanów.

PUTIN JAK REAGAN

Eksperci zwracają jednak uwagę, że próby strzelania do satelitów są dość nieefektywne. Zestrzelenie spowoduje bowiem rozpadnięcie się wrogiego satelity na kilka tysięcy drobnych kawałków, które krążąc na orbicie, mogą doprowadzić do zniszczenia innych obiektów, w tym również własnych.

Tego rodzaju przypadek zdarzył się zresztą kilkanaście lat temu. Gdy w 2007 r. Chiny testowo zniszczyły swojego satelitę, jego odłamki poważnie uszkodziły satelitę należącego do Rosji. Po lipcowym teście rosyjskiego pocisku orbitalnego Brytyjczycy zarzucili Moskwie, że jej działania „zagrażają pokojowemu wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej i grożą powstaniem szczątków, które mogą stanowić zagrożenie dla satelitów i systemów kosmicznych, od których zależy świat".

Można jednak podejść do tego problemu inaczej i dostrzec w nim militarny walor. Wyobraźmy sobie, że satelita celowo wyrzuci na orbicie mały przedmiot, który następnie uszkodzi wrogi obiekt lub przynajmniej zepchnie go z kursu. To może się okazać równie skuteczne jak zestrzelenie, a przy okazji trudne do wykrycia. Któż bowiem udowodni, że przedmiot został wyrzucony celowo?

Testowane są również inne metody zwalczania satelitów. Na przykład zakłóca się za pomocą silnych nadajników przekazywany z orbity sygnał GPS. Jesienią 2018 r. Rosja miała utrudniać w ten sposób wielkie manewry NATO w Arktyce, czym spowodowała duże zagrożenie dla cywilnego ruchu lotniczego oraz wywołała protesty Norwegii i Finlandii.

Rozwijane są także działka laserowe, z których da się uszkodzić ważne elementy wyposażenia satelity i w ten sposób sprawić, że stanie się bezużyteczny. Od czterech lat Moskwa testuje samolot-nosiciel działka laserowego A-60, na którym zamontowano laser Pierieswiet służący – zdaniem Amerykanów – do niszczenia satelitów. To właśnie tym laserem przechwalał się w marcu 2018 r. Władimir Putin, gdy podczas orędzia przed Zgromadzeniem Federalnym opowiadał o nowych rosyjskich projektach obronnych. Laser ten, jak twierdzą specjaliści, może być również zastosowany do oślepiania znajdujących się na orbicie elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej.

Warto tu zauważyć, że Rosjanie skoncentrowali się na broni kosmicznej w odpowiedzi na ogłoszony w 1983 r. przez Ronalda Reagana program SDI (Inicjatywa Obrony Strategicznej). To wtedy zainicjowano prace nad rakietami antysatelitarnymi odpalanymi z ziemi i z powietrza. Jednak w ówczesnych warunkach zbudowanie takich broni okazało się dla Związku Radzieckiego wysiłkiem ponad miarę. Sowieckie imperium upadło pod ciężarem własnej niewydolności, a program Reagana okazał się w dużym stopniu zręcznym blefem. Teraz putinowska Rosja powraca do dawnych koncepcji, wykorzystując zdobyte wówczas doświadczenia.

> Według doniesień mediów Pekin pracuje nad konstrukcją działa elektromagnetycznego, uzbrojenia mikrofalowego dużej mocy oraz laserów zdolnych do niszczenia satelitów na najniższych orbitach

Nie brakuje ekspertów, którzy uważają nowe rosyjskie bronie antysatelitarne za element zwykłej wojny propagandowej. Podaje się bowiem w wątpliwość możliwości technologiczne i finansowe, którymi dysponuje Moskwa, wskazując przy tym, że Rosja nie jest dziś w stanie wdrożyć nowych projektów do masowej produkcji. Putin, jak się twierdzi, próbuje po prostu powtórzyć dawny manewr Reagana i przekonać świat, że jest bliski strategicznej przewagi nad rywalem.

KOSMICZNY KLUCZ DO WŁADZY

Być może to nie najlepsza strategia, bo prowokuje Amerykanów do odpowiedzi. Gdy w 1957 r. Związek Radziecki wystrzelił pierwszego sztucznego satelitę, a potem posłał Jurija Gagarina w kosmos, reakcją Amerykanów było podjęcie rękawicy w kosmicznym wyścigu, który skończył się ostatecznie ich lądowaniem na Księżycu i prestiżową porażką Moskwy. Niewykluczone, że tym razem może być podobnie.

Pod koniec 2019 r. – po ponad 70 latach od ostatniej takiej reorganizacji – utworzono kolejny, szósty już, rodzaj amerykańskich sił zbrojnych, którym stały się Siły Kosmiczne. Dowódca połączonych operacji kosmicznych Departamentu Obrony gen. John Raymond wskazał, że każdy przeciętny Amerykanin powinien zrozumieć zależność pomiędzy trwałością jego stylu życia, bezpieczeństwem państwa a przestrzenią kosmiczną. „Bez swobodnego dostępu do przestrzeni kosmicznej kluczowe połączenia telefoniczne, bankowość elektroniczna czy też obsługa GPS byłyby zakłócone" – dodał.

W odróżnieniu od Rosji Stany Zjednoczone nie przechwalają się nowymi technologiami i trzymają je w ścisłej tajemnicy. Wiadomo jednak, że już w 2008 r. Amerykanie przeprowadzili udaną próbę zestrzelenia satelity za pomocą rakiety SM-3 wystrzelonej z krążownika USS Lake Erie. Rakiety te przeznaczone są przede wszystkim do obrony antybalistycznej i nisz-

Reklama | 51/0720/F

eprasa.pl 708d092fdd

czenia wrogich rakiet krótkiego i średniego zasięgu, jednak – jak się okazuje – mogą również stanowić skuteczną broń antysatelitarną.

W pierwszej połowie ub. dekady testowano także niewielki, bezzałogowy samolot orbitalny Boeing X-37B. Oficjalnie służył on do prób nowoczesnych systemów sterowania, jednak dokładny program jego lotów kosmicznych został utajniony, co stało się źródłem licznych spekulacji, że istnieje jeszcze inny, ściśle wojskowy cel misji, jakim jest projekt zwalczania satelitów na orbicie.

> Nasze życie jest dziś sprzęgnięte z przestrzenią kosmiczną. Bez swobodnego dostępu do niej połączenia telefoniczne, bankowość elektroniczna czy też działanie GPS byłyby mocno utrudnione

Odgrzebywane są też, podobnie jak w Rosji, dawne koncepcje z czasów Reagana, takie jak działo neutronowe, którym można unieszkodliwiać obiekty znajdujące się w przestrzeni kosmicznej. W latach 80. był to projekt z kategorii science fiction, jednak przy dzisiejszej technologii, jaką dysponują Amerykanie, może w niedalekiej perspektywie nabrać realnych kształtów.

Do prac nad nowymi technologiami wojen gwiezdnych dopingują Amerykanów nie tylko Rosjanie, lecz również Chińczycy, którzy ignorują zakaz militaryzacji kosmosu, uznając, że tego rodzaju reguł i tak nikt nie przestrzega.

Według doniesień mediów Pekin pracuje nad konstrukcją działa elektromagnetycznego, uzbrojenia mikrofalowego dużej mocy oraz laserów zdolnych do niszczenia satelitów na najniższych orbitach. W 2005 r. Chińczykom udało się opracować działko laserowe, z którego próbowano potem trafić w satelitę umieszczonego 600 km nad Ziemią. Celom militarnym – oślepianiu i niszczeniu obcych obiektów kosmicznych – ma służyć również krążący od dziewięciu lat na orbicie moduł Tiangong, który w 2022 r. osiągnie parametry pełnowymiarowej stacji orbitalnej i będzie mógł przyjmować stałe załogi. W rezultacie – zdaniem niektórych ekspertów – Chiny już w 2023 r. mogą zagrozić bezpieczeństwu amerykańskiej sieci satelitów.

Dokładnie w tym samym roku Amerykanie zamierzają powrócić na Księżyc. Zapowiedzieli też budowę stałej bazy księżycowej i eksploatację surowców kosmicznych. Chińczycy snują podobne plany.

Nie ma wątpliwości, że ten, kto wygra w kosmosie, będzie dominował nad rywalami na Ziemi. Być może tu tkwi klucz do zrozumienia tego, co się właśnie dzieje wysoko ponad naszymi głowami.







BERNARD MARGUERITTE

Vox populi, vox Dei

Wyborczy triumf prezydenta Andrzeja Dudy jest dla mnie – przepraszam za górnolotne słowa – prawie tak ważny jak zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem

Podzielam reakcję znakomitego pana prof. Andrzeja Nowaka: zwycięstwo wyborcze prezydenta Andrzeja Dudy, które tak nas uradowało, może tylko być dziełem Opatrzności Bożej.

Jak można było zwyciężyć w tej walce wszystkich przeciwko jednemu? Przecież wśród głosujących na prezydenta Warszawy jest konglomerat i zlepek wszelkich możliwych opinii: jak nacjonaliści z Konfederacji mogli głosować na obóz targowicy? Jak przyjaciele PSL, partii Witosa, ongiś przywiązanej do wartości patriotycznych i chrześcijańskich, mogli wspierać przedstawicieli kosmopolitycznej negacji polskości i tożsamości polskiej, którzy wstydzą się, iż są Polakami? Jak w ogóle człowiek wierzący mógł głosować na obóz bezbożników? Jak osoba miłująca sprawiedliwość społeczną mogła wspierać siły neoliberalne? W dodatku ten zlepek, bez programu, tak zróżnicowany, że absolutnie niezdolny do rządzenia, miał dostęp w swojej kampanii do nieograniczonych zasobów finansowych – z Polski i z zagranicy – i poparcie trzech czwartych mediów, należących najczęściej do kapitału niemieckiego. Istotnie, nierówne były te wybory. I to wszystko na nic! Zaiste należy Opatrzności podziękować.

EUROPA URATOWANA

Co prawda Opatrzność musiała zadziałać. Triumf prezydenta Dudy jest dla mnie – przepraszam za górnolotne słowa – prawie tak ważny jak zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem. Raz jeszcze Europa została uratowana przed nawałnicą zła, przed tymi, którzy pragnęli zniszczyć wartości chrześcijańskie! Tak długo jak Polska jest Polską, jest bowiem szansa na odrodzenie Europy. I teraz przełom został dokonany. Jest czas na dokończenie dzieła uratowania polskości i czas, by zacząć ratować Europę! Koniec z marzeniami sił z zagranicy i targowicy miejscowej, które chciały, aby Polska i część środkowo-wschodnia Europy zostały folwarkiem możnych z Europy Zachodniej, wasalem i kolonią, gdzie sowicie opłacani kolaboranci sąsiadują z masą źle płatnej siły roboczej, pracującej w zakładach z kapitałem zagranicznym.

Według planu możnych z Brukseli to „wschodnie płuco" Europy – o którym mówił św. Jan Paweł II – miało się przecież stać po prostu Europą B, na usługach i na kolanach. Zwycięstwo prezydenta Dudy oznacza koniec tych antypolskich marzeń. Musimy o tym pamiętać.

Na szczęście Opatrzność miała nieco ułatwione zadanie. PiS musi się cieszyć, że ma przeciwko sobie najgłupszą opozycję w Europie, w kraju i za granicą. Jak nie podziękować temu wulgarnemu redaktorowi, który wylansował hasło z ośmioma gwiazdkami? On w rzeczy samej podarował kilkaset tysięcy głosów prezydentowi Dudzie! Jak nie chwalić tych w Brukseli czy jeszcze bardziej w Niemczech – wśród polityków i dziennikarzy – którzy ostro atakowali obóz rządzący w Polsce. Nie zrozumieli, iż tym samym go znakomicie wzmacniają w oczach polskiej opinii publicznej. Bez ich głupoty może wynik byłby inny...

Co prawda, ciesząc się ogromnie z wyniku wyborów, można również się dziwić, iż tylu ludzi głosowało na przedstawiciela sił skorumpowanych i wyobcowanych. Przecież nawet zgromadzenia powyborcze obu kandydatów pokazały wszystko. Nie można było nie

eprasa.pl 708d092fdd



Fot. KPRP

zauważyć, że prezydent Duda i jego oponent nie grają na tym samym poziomie: to było ewidentnie walka Messiego z graczem ligi okręgowej! Z jednej strony prezydent Duda przemawiał jak mąż stanu, który w duchu chrześcijańskim chce być prezydentem wszystkich Polaków, a z drugiej przedstawiciel KO pokrzykiwał ze złością kilka słów bez sensu. Nie mówiąc już o „interwencji" jego małżonki, gdy z drugiej strony słuchać było mądre słowa pierwszej damy i bardzo ważne zdania pani Kingi, pełne miłości chrześcijańskiej i wielce inspirujące. Poza tym widzieliśmy morze flag polskich u jednych i ich absolutny brak u drugich. Ale to już nawet dobrze i przynajmniej szczere: po co targowica miałaby raptem wyciągnąć flagę narodową?

POPISOWSKI DUDA I POKACZYŃSKI PIS?

Radość radością, ale należy teraz patrzyć w przyszłość. Jakie będą owoce tego pięknego zwycięstwa? I tu muszę przyznać, że moje ogromne nadzieje idą w parze z pewnymi pytaniami. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że prezydent Duda, który już mówił, że podczas drugiej kadencji będzie odpowiadał „tylko przed Bogiem, ojczyzną i historią", nie będzie pisowskim prezydentem. Już podczas pierwszej kadencji wykazał w kilku sytuacjach (nawet wetując ustawy większości parlamentarnej) wolę uniezależnienia się od PiS. Skądinąd nie zawsze to były szczęśliwe decyzje.

Sęk w tym, że zanim można będzie prowadzić swoją autentyczną politykę, należy koniecznie wcześniej oczyścić stajnię Augiasza. A to dzieło bynajmniej nie jest skończone. Dotyczy to w szczególności grzęzawiska aparatu sędziowskiego, który dawno powinien być doprowadzony do porządku. Nie należało tego dokonać w białych rękawiczkach. Trzeba, po chrześcijańsku, szanować każdą osobę ludzką, ale to nie znaczy zawsze tolerować jej czyny! Ze złem nie należy się patyczkować.

Teraz prezydent Duda będzie chciał pokazywać, kim jest naprawdę – czyli człowiekiem inspirowanym personalizmem chrześcijańskim. Tak się złożyło, że miałem kiedyś okazję i zaszczyt z nim o tym porozmawiać, bo ja też jestem związany z kierunkiem wytyczonym przez Maritaina i Mouniera. Tak, należy szanować każdą osobę ludzką, tak należy miłować wszystkich, tak należy dążyć do budowania wspólnoty. Ale iść w tym kierunku, kiedy stajnie Augiasza nie są jeszcze czyste, byłoby istnym szaleństwem i po prostu oznaką słabości. Szkoda, że druga kadencja nie może od razu być kadencją porozumienia, ale nawet szanowny prezydent powinien sobie zadać pytanie, czy tak nie jest również dlatego, że podczas pierwszej kadencji był niekiedy zbyt powściągliwy. Tak, należy budować cywilizację miłości, o której tak pięknie mówiła Kinga Duda, ale zanim to się stanie możliwe, trzeba jeszcze mozolnie uzdrowić Polskę. Jest jeszcze sporo pracy na tym polu.

Ryzyko zbyt wczesnego wyboru kursu personalistycznego jest tym większe, że można się spodziewać, iż wcześniej czy później Jarosław Kaczyński wybierze się na zasłużoną emeryturę. Miejmy nadzieję, że to nieprędko nastąpi. Wówczas będziemy mieli wielką okazję oddania hołdu temu największemu mężowi stanu w Polsce pokomunistycznej, który uratował Polskę od kolonizacji i obronił w niej autentyczną polskość oraz wartości chrześcijańskie i etyczne. Ale w rzeczy samej w momencie jego odejścia jeszcze bardziej trzeba będzie się bronić przed tendencją odprężenia i przedwczesnej łagodności!

> Przed nami stoi wspaniała wizja: odnowionej Polski w odnowionej Europie. Ale wszystko w swoim czasie. Czeka nas nad Wisłą jeszcze sporo mozolnej i nieprzyjemnej pracy

Dzięki zwycięstwu prezydenta Dudy Polska ma wszelkie szanse, aby jeszcze mocniej stać się przykładem i inspiracją dla Europy. Nie tylko Polska, lecz i cała Europa mogą być teraz uratowane. Kryzys po pandemii pokazuje, że runął neoliberalizm, dotychczas lansowany przez Brukselę i panią Merkel (która zresztą niebawem wybierze się na emeryturę). Już polska targowica zostaje bez „opiekunów". Nawet prezydent Macron mówi teraz, że pragnie widzieć „niepodległą Francję w niepodległej Europie". On też skądinąd jest uczniem personalizmu chrześcijańskiego, a więc tym bardziej utworzy się nowa perspektywa współpracy między nim a prezydentem Dudą.

Przed nami stoi wspaniała wizja: odnowionej Polski w odnowionej Europie. Ale wszystko w swoim czasie. Powtarzam: czeka nas nad Wisłą jeszcze sporo mozolnej i nieprzyjemnej pracy.

eprasa.pl 708d092fdd



Walczyli jak kowboje

Amerykańscy lotnicy podczas walk w 1920 r. zadziwiali odwagą, ale też skutecznością. Jednym z nich był Merian Cooper (na zdj.) – jedyny żołnierz Piłsudskiego nagrodzony... Oscarem



WOJCIECH LADA

W rodzinnym domu Coopera od jakichś stu lat krążyła legenda. Według niej podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych w 1779 r. młodziutka wówczas, przyszła jego babka opiekowała się śmiertelnie rannym Kazimierzem Pułaskim. To raczej tylko legenda, choć faktycznie jeden z przodków Meriana, John Cooper, istotnie walczył u boku Pułaskiego. Jakkolwiek było, Merian Polską interesował się od dziecka. Stawała się ona w jego dziecięcej wyobraźni krainą tajemniczą, dziką i heroiczną. Jak to określał: „Czymś nieuchwytnym, o czym się tylko w powieściach czyta", a w dodatku zamieszkaną przez urodzonych żołnierzy, bo o Polakach słyszało się wyłącznie w kontekście wojen. Tajemniczości dodawało zaś tej dziwnej krainie to, że kiedy Cooper przychodził na świat w 1893 r., coś takiego jak Polska przecież nie istniało.

Kiedy Cooper dorastał, niewiele się w tej kwestii zmieniało – Polski nadal nie było. Choć mniej więcej wtedy, kiedy przekroczył dwudziestkę, coś zaczynało się dziać. Po wybuchu wielkiej wojny w Europie nawet w prasie amerykańskiej zaczęły się pojawiać wzmianki o polskich żołnierzach, a w kolejnych latach przebąkiwano coś o powojennym odrodzeniu państwa. Tym bardziej że prezydentowi Wilsonowi zdecydowanie zależało na głosach całkiem licznej już wówczas Polonii. Cooper zresztą pewnie wiedział już o Polsce znacznie więcej – stawiał wówczas pierwsze kroki w dziennikarstwie, choćby powierzchowne rozeznanie w polityce międzynarodowej było mu więc potrzebne. Choć w tym akurat momencie być może bardziej interesował go Meksyk, na pograniczu z którym podjął służbę w Gwardii Narodowej i uczestniczył nawet w pościgu za słynnym rewolucjonistą Panchem Villą.

Być może sprawiły to marzenia o Polsce, ale wyraźnie ciągnęło go jednak

eprasa.pl 708d092fdd

do Europy. Kiedy tylko mógł, przeszedł więc kursy lotnicze i w szeregach Amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego przybył w 1917 r. na Stary Kontynent. Nie walczył zbyt długo, bo już pod koniec wojny jesienią 1918 r. został zestrzelony gdzieś nad linią frontu. „Na wysokości 18 tys. stóp został zraniony, a jednocześnie zapalił się jego samolot. Jego obserwator dostał strzał w piersi i w szyję. Pomimo to udało mu się wylądować w obrębie linii niemieckiej" – opowiadał jego późniejszy dowódca i przyjaciel, płk Cedric E. Faunt le Roy.

Faunt le Roy rozumiał z Polski jeszcze mniej niż Cooper, ale w odróżnieniu od niego kwestia ta średnio go interesowała. „Przodkowie jego to pionierzy, zawadiacy, awanturnicy, może szorstcy i twardzi, ale ludzie, którzy nie bojąc się niczego, szli naprzód, hen w puszcze" – tłumaczył Cooper, dodając, że jego przyjaciel dziedziczył wszystkie te cechy. Obaj walczyli już razem na froncie francuskim, znali się więc nieźle. Dla obu też wojny wciąż było za mało. Dla Coopera, bo zbyt wiele czasu spędził nie na froncie, lecz w niemieckim obozie jenieckim, do którego trafił po zestrzeleniu. Dla Faunt le Roya – bo we Francji zajmował się głównie oblatywaniem nowych samolotów, nie zaś bezpośrednią walką. „Po wymianie zdań okazało się, że mamy obaj ten sam cel – mianowicie pomóc Rzeczypospolitej Polskiej w utwierdzeniu i utrzymaniu niepodległości. Tam w Paryżu, w pewnej kawiarence, powstała Eskadra Kościuszki" – wspominał Faunt le Roy.

OCHOTNICZA AKCJA

Z powstania Eskadry Kościuszki mogło nic nie wyjść. W tym momencie większość amerykańskich lotników została już zdemobilizowana i wróciła do kraju, a w dodatku inicjatywa Faunt le Roya i Coopera była – jak określał to ten ostatni – „czysto ochotnicza", nie miała oficjalnego wsparcia ani rządu amerykańskiego, ani polskiego. Ot, luźno rzucony pomysł dwóch żołnierzy, dla których wojna skończyła się zbyt szybko. Mieli jednak to szczęście, że Cooper całkiem nieźle znał już wówczas gen. Tadeusza Rozwadowskiego.

A poznał go we Lwowie. Znalazł się tam mianowicie na prośbę Herberta Hoovera, który zanim został prezydentem USA, działał w Amerykańskiej Administracji Pomocy (American Relief Administration), która zajmowała się dostarczaniem żywności do zniszczonej wojną Europy. „Osobiście eskortował pierwszy pociąg z żywnością do Lwowa, obleganego wówczas przez Ukraińców. We Lwowie pozostał kilka miesięcy, a podczas swojego pobytu w mieście przejął się polskim duchem wolnościowym" – pisał Faunt le Roy. Gen. Rozwadowski wysłuchał obu lotników z zainteresowaniem, udzieliło się ono również amerykańskiemu attaché w Polskiej Misji Wojskowej i wkrótce sprawa ruszyła do przodu.

Faunt le Roy i Cooper na własną rękę rozpoczęli rekrutację i prawda jest taka, że im więcej lotników udało im się zwerbować, tym bardziej rozkoszne prowadzili w Paryżu życie. „W ostatnich tygodniach września pełną czarą piliśmy rozkosz życia" – przyznawał Cooper, dodając, że ową „rozkoszą" bywały najczęściej dobrze schłodzone wina i rozgrzane paryżanki. Ostatnią imprezę przed wyjazdem zorganizował im już gen. Rozwadowski w swoim pokoju hotelowym. Za kołnierz i tu nie wylewano, przede wszystkim jednak rozmawiano o przyszłej walce.

U PIŁSUDSKIEGO W BELWEDERZE

Wkrótce ośmiu amerykańskich lotników dotarło do Warszawy, gdzie spotkali się z Józefem Piłsudskim. „Naczelnik Piłsudski zlustrował członków naszej eskadry w Belwederze, wkrótce po naszym przyjeździe. Tylko Faunt le Roy i ja widzieliśmy go przedtem, ale sądzę, że każdy żołnierz z naszej Eskadry doznał dodatniego wrażenia po tym przeglądzie, albowiem Piłsudski to żołnierz w każdym calu, w całym tego słowa znaczeniu. Powiedział nam słów kilkanaście bez frazesów kwiecistych, prostych, żołnierskich, jak żołnierz do żołnierzy" – wspominał Cooper.

W Warszawie członkowie eskadry spędzili kilka tygodni – więcej niż zamierzali, bo – jak to określono – „Polacy nie odznaczają się pośpiechem i punktualnością". Żyli tu nieco bardziej powściągliwie niż w Paryżu. Raz, że starali się jednak dbać o opinię, dwa, mieli teraz znacznie mniej pieniędzy – żołd polskiego żołnierza był nieporównywalnie niższy niż amerykańskiego. Wreszcie w październiku 1919 r. Cooper wraz z ekipą znaleźli się we Lwowie. Na pole ćwiczeń lotniczych wybrali się już następnego dnia i, rzecz jasna, natychmiast doszło do prześcigania się brawurą z polskimi kolegami. „Po przywitaniu z nami polscy oficerowie wzbili się w powietrze i dali świetny popis swoich zdolności lotniczych. Większość z nas nie była w powietrzu od roku, toteż powątpiewaliśmy, czy potrafimy nowym kolegom dorównać" – niepokoił się Cooper, ale niepotrzebnie.

Jak pisał dalej: „Faunt le Roy latał wspaniale. Gdy wylądował, porucznik Graves wzbił się w górę. Pamiętam jak dziś jego wzlot. Rozpędził aeroplan na ziemi do szalonej szybkości, a następnie zaczął robić koło, aż dolne skrzydła jego aeroplanu prawie dotykały ziemi. Tak zatoczywszy na ziemi koło – wzbił się w powietrze i zrobił najtrudniejszy i najlepszy popis w sztuce latania, jaki kiedykolwiek widziałem" – przyznawał zadowolony.

Przez pierwsze trzy miesiące pobytu we Lwowie amerykańscy lotnicy nie mieli jednak zbyt wiele do roboty. Czasem trafił się jakiś prosty lot patrolowy, częściej jednak po prostu grali w piłkę i biesiadowali – nikt na razie nie wysyłał ich na front, co zresztą doprowadzało ich do wściekłości. Klęli w każdym razie, jak przekonywał Cooper, we wszystkich znanych im językach. Wreszcie postanowili uciec się do podstępu. Wysłali mianowicie list do Belwederu, zaadresowany bezpośrednio do Piłsudskiego, ale nie oficjalną linią wojskową, lecz zwykłą pocztą. „Odpowiedź przyszła piorunem, wraz z rozkazem, byśmy się natychmiast przenieśli na galicyjski front bojowy. Faunt le Roya wezwano do Warszawy, a mnie polecono przenieść się z eskadrą w oznaczone miejsce" – pisał Cooper. Miejscem tym okazało się Połonne leżące nad rzeką Zbrucz. I tu zaczynała się przygoda.

KOWBOJE W SAMOLOTACH

Kiedy przylecieli do Połonnego, zastali tam już Faunt le Roya, w dodatku w doskonałym humorze. I nic dziwnego. To on jako pierwszy z Amerykanów strzelał do bolszewików. Jak opowiadał Cooper: „Okazało się z dalszej rozmowy, że nie

Fot. East News/Bill Simpson/Amberley Publishi

eprasa.pl 708d092fdd

tylko widzieli Moskali, ale i natłukli ich tyle, ile się dało. Jakieś dziesięć mil za linią frontową najechali niespodziewanie na regiment wojska, kopiącego transze. Rozpędzili Moskali na cztery wiatry ogniem z kulomiotów. Następnie zaatakowali pociąg osobowy, gdzie znów ogniem z kulomiotów wysłali kilku na łono Abrahama".

Cooper pisał to z mieszaniną zazdrości i podziwu, ale wkrótce sam miał okazję sprawdzić się w walce. Czego jak czego, ale bolszewików z pewnością wówczas nie brakowało. Już następnego dnia polecono im atak na Czudnów, gdzie koncentrowało się wojsko bolszewickie. Mieli też w miarę możliwości zniszczyć tory kolejowe i dworzec, co było o tyle ryzykowne, że tam właśnie mieściły się stanowiska baterii przeciwlotniczej. Bolszewicy nie zdążyli jednak ich użyć.

Tak opisywał swoją pierwszą walkę w tej wojnie Cooper: „Spadliśmy na stację jak jastrzębie. Ani jeden strzał nie padł z armat rosyjskiej artylerii. Najechaliśmy ich niespodziewanie. Na lewo od nas ciągnął się długi sznur wozów ciężarowych z jakimś transportem. Stacja była zawalona wojskiem. Rorison pierwszy dał jakby nura spod chmur na stację, a za nim poszedł Faunt le Roy. Ja skierowałem się ku furmankom z transportami, które naraz zaczęły się prędko rozjeżdżać. Otworzyłem ogień z obydwu moich kulomiotów i zacząłem prażyć w te furmanki. Następnie wzbiłem się w górę, żeby zobaczyć, co robią moi koledzy i czy czasem któryś z nich nie potrzebuje pomocy. Przejeżdżając ponad stacją, widziałem czerwono-biały nos aeroplanu, który raz po raz zawracał na stację i prażył ogniem z obydwu kulomiotów w zbite masy żołnierstwa. Był to aeroplan Faunt le Roya".

Eskadra ostrzelała jeszcze nadciągającą lokomotywę i powróciła do bazy, by uzupełnić amunicję – w drodze powrotnej ostrzeliwana już przez baterię rosyjską. Ona też przywitała ich, kiedy powrócili nad stację, ale nie na długo. Jej obsługa uciekła i skryła się w jakichś zaroślach. Z braku innych celów dwa samoloty puściły się w pogoń za oddziałem Kozaków, który cwałował w okolicy, a reszta „zdemolowała stację".

Chcieli tam wrócić następnego dnia, ale ku swojemu zdumieniu otrzymali kategoryczny zakaz. Okazało się mianowicie, że stosunkowo nowa broń, jaką były wówczas samoloty, wprawiała w przerażenie nie tylko Rosjan, ale też Polaków, którzy na widok jakiejkolwiek maszyny rozbiegali się w popłochu. Aby nie trwać bezczynnie na kwaterach, Amerykanie postanowili więc samodzielnie patrolować okolicę, strzelać do czego popadnie, a przy okazji rozrzucać po ukraińskich miasteczkach propagandową bibułę. Miało to swoje plusy i minusy, bo co prawda udało im się dokonać kilku brawurowych akcji, demoralizując bolszewików, ale też zużyli prawie całe zapasy paliwa. Nikt wcześniej ich nie uprzedził, że będą wkrótce bardzo potrzebne wobec rozpoczynającej się 25 kwietnia ofensywy kijowskiej.

BRAWUROWE NALOTY

Kiedy cudem udało im się uzupełnić zapasy paliwa, dosłownie całe dnie spędzali w powietrzu, „rozpraszając całe kolumny i dziesiątkując je w straszliwy sposób" – jak określał to sam Cooper. Dla wszystkich szokiem była brawura Amerykanów. „Książę Potocki, aide-de camp generała Listowskiego, opowiadał mi później, jak rosyjski żołnierz wzięty do niewoli mówił przerażony, iż nasze aeroplany przypadały prawie do ziemi i dopiero wtedy ogniem z kulomiotów prażyły strasznie, zabijając dziesiątki, a raniąc setki żołnierzy" – wspominał lotnik.

Działania lotnicze bardzo przyspieszyły ofensywę. Wkrótce w rękach polskich były Berdyczów i Żytomierz, nieopodal flotylla pińska staczała właśnie największą wodną bitwę polską od 300 lat – zdobywając Czarnobyl. Wreszcie 3 maja zajęto Kijów.

Jeśli wierzyć wspomnieniom Coopera, mimo intensywnych walk okres ofensywy kijowskiej był dla młodych Amerykanów bodaj najbardziej sielski w całej wojnie. Mieszkali w komfortowych warunkach w majątku w Białej Cerkwi, a podczas wypadów na linie bolszewickie, dokonywali wyczynów iście karkołomnych. Jeden z nich, niejaki Crowford, w pojedynkę wysadził w powietrze ogromny transport ewakuujących się z Kijowa bolszewików, ostrzeliwując kulami zapalającymi barkę pełną zapasów i ludzi. Zrobił to w klasycznym stylu – nurkując niemal na poziom pokładu, strzelając, a następnie gwałtownie podrywając maszynę. Pod ostrzałem dosłownie setki karabinów, nie wspominając o artylerii przeciwlotniczej, mimo to uszedł bez szwanku, choć samolot był mocno podziurawiony.

W okolicach Kijowa Eskadra Kościuszki miała również zbrojną przygodę z bolszewicką Flotyllą Dnieprzańską, ale dla samolotów nie był to groźny przeciwnik. „Był to niezwykły atak. Widziałem, jak jeden z naszych lotników zrzucił wielką bombę na pancernik i jak tenże pancernik natychmiast wyleciał w powietrze i tylko szczątki po nim za chwilę widać było na wodzie. Widziałem, jak drugi pancernik, uciekając przed naszymi kulami i bombami, tak pędził na oślep, że wjechał na mieliznę ku własnej zgubie. Inne pancerniki pędziły w dół rzeki całą parą, a my smoliliśmy ich z góry bombami i kulomiotami aż miło" – opowiadał Cooper.

OPĘTANE ODDZIAŁY AWIATYCZNE

„Zdawało mi się, że na całym świecie nie ma tyle kawalerii, ile tam jej było" – opowiadał Crowford, który pierwszy zetknął się podczas zwiadu z armią konną Budionnego, przed którą już za chwilę cała polska armia musiała się cofać aż na przedpola Warszawy. Lotnicy Coopera wraz z nią, przy czym, tak jak podczas ofensywy, oni pierwsi nawiązywali kontakt z wrogiem, tak i podczas defensywy – znów byli na pierwszej linii, osłaniając tyły Polaków. „Nasze ataki były tak pomyślne, że potrafiliśmy zdziesiątkować przednią kolumnę i powstrzymać ją na pewien czas" – oceniał Cooper, z naciskiem na słowa „na pewien czas". Bo kilkudziesięciotysięcznej rzeszy Kozaków żadną miarą nie mogła powstrzymać długa i bardzo cienka linia polskiego frontu – na co zresztą Amerykanin zwraca uwagę, wytykając to jako poważny błąd taktyczny.

Eskadra również się cofała. Najpierw z Białej Cerkwi do Koziatyna. W tym momencie ich głównym zadaniem stały się zwiady lotnicze, gdyż siłą Budionnego było to, że jego oddziały przemieszczały się do 60 km dziennie wzdłuż linii polskich i atakowały znienacka na wybrany punkt. Nie znaczy to jednak, że samoloty nie brały

Reklama | 15/0420/F

eprasa.pl 708d092fdd



Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej Tokio 2020

ORLEN — Sponsor Strategiczny

LOTTO — Sponsor Generalny

Enea — Sponsor

4F — Sponsor Kolekcji Olimpijskiej

GRUPA LUXMED — Główny Partner Medyczny

LOT — Oficjalny Przewoźnik

eprasa.pl 708d092fdd

bezpośredniego udziału w walce. „Kiedykolwiek polecono nam odszukać nieprzyjaciela, donieść o pozycji jego oddziałów, zawsze staraliśmy się połączyć przyjemne z pożytecznym i spuścić nieprzyjacielowi na kark kilka bomb oraz deszcz kul z kulomiotów jako pamiątkę naszej wizyty” – wspominał Cooper.

Ale bolszewicy nie pozostawali dłużni. Mimo ogromnych rozmiarów ich armii czerwonoarmiści potrafili doskonale wykorzystywać właściwości terenu, ukrywać się przed polskim zwiadem i dopiero w ostatniej chwili razić go ogniem.

Wszystko to wymagało zmiany taktyki. Powietrzni kowboje musieli się nagle zamienić w karnych żołnierzy, co dzięki Faunt le Royowi i Cooperowi udało się zresztą doskonale. Nie było już mowy o zniżaniu lotu niemal do poziomu gruntu. Maszyny latały wysoko, atakowały najpierw bombami, następnie wzbijały się w górę, gasiły silnik i opadały pionowo w dół – teraz już zasypując wroga gradem kul. Nie przestając strzelać, kilkadziesiąt metrów nad ziemią prostowały lot, a po wyczerpaniu amunicji wracały szybko do bazy. Cooper nie kryje jednak podziwu dla armii Budionnego. „Początkowo takie ataki udawały nam się wyśmienicie – później jednak żołnierze Budionnego przyzwyczaili się do nich i choć za każdym razem padały setki zabitych i rannych, to wytrzymywali nasze ataki mężnie. Nieraz całymi masami zsiadali z koni i bili to z kulomiotów, to z karabinów do pędzącego na nich aeroplanu” – przyznawał.

Gen. Antoni Listowski, sporządzając raport dla Belwederu, mógł wówczas zanotować: „Amerykańscy lotnicy pomimo wycieńczenia walczą jak opętani. Służbę wywiadowczą pełnią świetnie. Ostatnio podczas ataku naszej dywizji na nieprzyjaciela ich dowódca zaatakował nieprzyjaciela od tyłu i ogniem z kulomiotów prażył we łby bolszewików. Bez pomocy amerykańskich lotników dawno by nas diabli wzięli”.

Z SOWIECKIEJ NIEWOLI DO HOLLYWOOD

Wiele wskazywało na to, że diabli wezmą najpierw Meriana Coopera. W czasie gdy polska armia pod Warszawą rozbijała bolszewików, on od miesiąca znajdował się w sowieckim obozie jenieckim. W połowie lipca jego samolot został zestrzelony i był zmuszony lądować za frontem, po stronie rosyjskiej. W niewoli trafił aż pod Moskwę, gdzie wraz z innymi jeńcami pracował przy trakcji kolejowej. Uciekł po kilku miesiącach. Szczegółów nie znamy (jakoś o tym w pamiętnikach nie wspomina), prawdopodobnie przez Łotwę dotarł do Warszawy. Jak pokonał kilkaset kilometrów na wrogim terytorium, bez najmniejszej choćby znajomości języka, w dodatku w kraju, w którym wciąż szalał rewolucyjno-wojenny terror, oto jest zagadka.



Fot. Ku Czci Poległych Lotników. Księga Pamiątkowa

7 Eskadra Myśliwska im. Tadeusza Kościuszki

W Polsce uznano go za zaginionego, toteż kiedy w kwietniu 1921 r. zameldował się nagle w Warszawie, wszyscy byli w szoku. Dowództwo i koledzy na pewno, ale nie tylko oni. Czekała tu już na niego dziewczyna, Marjorie Crosby, a także narodzony z tego związku syn Maciej. Nawiasem mówiąc, wybór takiego właśnie imienia był cokolwiek ekscentryczny, bo on był Amerykaninem, ona zaś Angielką – świadczy chyba jednak wyraźnie o silnej więzi, jaka łączyła Coopera z Polską. Związek nie był jednak udany. Ot, wojenny romans i młodzi wkrótce się rozstali. Maciej jednak związał się z Polską na dobre. Po ojczymie nosił nazwisko Słomczyński i pod nim dokonał licznych przekładów, m.in. Jamesa Joyce’a, Johna Miltona, Wiliama Faulknera czy Williama Szekspira. Natomiast pod pseudonimem Joe Alex stał jednym z najbardziej poczytnych w Polsce autorów powieści sensacyjnych i kryminalnych.

Słomczyński pisał też scenariusze i tę akurat pasję z pewnością odziedziczył po ojcu. Cooper powrócił do Stanów jeszcze w 1921 r. i zajął się dziennikarstwem. Wiele podróżował, kręcił filmy dokumentalne, z biegiem czasu coraz bardziej przyciągało go jednak Hollywood. Przełomem był rok 1933, kiedy na podstawie jego scenariusza powstał jeden z najbardziej kasowych hitów filmowych tamtych czasów, do dziś pozostający dziełem klasycznym – „King Kong”. Cooper nie ograniczył się tu do scenariusza. Był także współreżyserem, a nawet aktorem – zagrał pilota, atakującego wielkiego goryla.

Sukces „King Konga” otworzył mu drogę do zawrotnej kariery. W takiej czy innej roli brał udział w powstaniu kilkudziesięciu filmów. To jemu świat zawdzięcza skojarzenie niezwykłej pary filmowej, Fred Astaire – Ginger Rogers. Za wszystko to otrzymał Oscara.

Nigdy nie zapomniał jednak, że jest również oficerem lotnictwa. W czasie II wojny światowej nie latał już co prawda osobiście – dobiegał już wówczas pięćdziesiątki. Został jednak zastępcą szefa sztabu lotnictwa amerykańskiego na Pacyfiku pod dowództwem gen. Douglasa MacArthura. Służbę zakończył w 1950 r. w randze generała. Nie zapomniał także o Polsce. Był bardzo bogaty i nie szczędził środków na pomoc Polakom w USA, zarówno podczas wojny, jak i emigrantom politycznym czasów komunistycznych. Umierając w 1973 r., miał z pewnością świadomość, że dopisał imponujący wątek do rodzinnej legendy o Polsce.

eprasa.pl 708d092fdd



Mistrzyni powściągliwości

Bardzo brytyjska, kojarzona z rolami w „Czterech weselach i pogrzebie" czy „Angielskim pacjencie" Kristin Scott Thomas przez wiele lat mieszkała we Francji. Dziś doceniona przez widzów i krytyków początków kariery zapewne nie chce pamiętać. Teraz możemy ją zobaczyć w nakręconym w UK „Pojedynku na głosy". Warto

Fot. Cubankite/Shutterstock.com

eprasa.pl 708d092fdd



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Na Wyspy Brytyjskie wróciła na dłużej w sumie niedawno. Nie tylko pandemia zatrzymała ją w Rutland, najmniejszym hrabstwie Anglii, gdzie teraz ma dom. Tu przygotowuje się do kolejnych ról, wierząc w powrót na plan i do teatralnych premier. Również tej odwołanej, na narodowej scenie, w której w grudniu miała zagrać Fedrę.

DZIEWCZYNA Z REDRUTH

Wyjechała z Anglii jako 18-latka (do Francji, by studiować aktorstwo). Urodzona w 1960 r., w kornwalijskim miasteczku Redruth, wychowywała się – jak wspomina – w wiejskiej scenerii, potem na chwilę przyciągnął ją Londyn i – na dłużej – Paryż.

Miała pięć lat, kiedy w 1965 r. podczas lotu ćwiczeniowego zginął jej ojciec, pilot wojskowy. Kolejna lotnicza katastrofa, sześć lat później, zabrała jej ojczyma.

Dużą część swojego dzieciństwa spędziła w brytyjskich bazach wojskowych. Na planie filmu „Pojedynek na głosy", który wchodzi właśnie na polskie ekrany, do takiej bazy wróciła.

Zagrała żonę pułkownika, która czuje się w obowiązku zorganizowania zajęć integracyjne dla kobiet, których mężowie są na misji w Afganistanie.

Twórcy filmu (za którymi stoi sukces m.in. „Goło i wesoło", rozgrywającego się wśród pozbawionych pracy górników) – odwołując się do autentycznego Chóru Żon Wojskowych – stworzyli kolejną opowieść o grupie zdeterminowanej sytuacją i miejscem.

Grana przez Scott Thomas bohaterka – protekcjonalna i dominująca – nie potrafi zjednać sobie kobiet, dla których postanawia stworzyć chór. Oschłość Kate ma jednak podstawę. Zachowując dystans, próbuje ukryć swój ból po stracie jedynego syna, też żołnierza, który zginął w akcji.

Kierowanie wszystkimi wokół daje jej poczucie wpływu, także na własne życie. Kiedy traci kontrolę, a wraz z nią – o czym jest przekonana – ostatnią rację bytu, przeżywa katharsis. Teraz, już w pełni, może wyjść do ludzi.

CEBULA I WINO

– Wiele moich postaci jest na początku kłujących i niesympatycznych – mówi aktorka. – A potem „próbujesz obrać cebulę" i dowiedzieć się, dlaczego tak jest.

Motywacje filmowych i teatralnych bohaterek Scott Thomas poznaje od ponad 30 lat. Za działalność artystyczną, poza nominacjami do Oscara i Złotego Globu, otrzymała... Order Imperium Brytyjskiego oraz francuski Order Legii Honorowej. Doceniają ją widzowie i krytycy, choć nie zawsze tak było.

Karierę na dużym ekranie zaczęła od dwóch Złotych Malin – dla najgorszej nowej gwiazdy i najgorszej aktorki drugoplanowej w filmie „Zakazana miłość" z 1986 r., w którym wystąpiła u boku Prince'a. Po ponad 20 latach od tamtej premiery muzyk zadedykował jej piosenkę „Better With Time", w której pojawia się fraza, że Scott Thomas jest jak dobre wino – z biegiem lat staje się coraz lepsza.

KOCHAM CIĘ OD DAWNA

Trudno nie przyznać Prince'owi racji. Od filmu „Cztery wesela i pogrzeb" kariera Kristin Scott Thomas jest na fali wznoszącej, choć – z charakterystycznym do siebie dystansem – aktorka podkreśla, że najczęściej dostaje propozycje zagrania albo brzydszej siostry, albo złej macochy. Jednak to właśnie te role, dodaje, interesują ją bardziej od poczciwego jednowymiarowego Kopciuszka.

Jest mistrzynią powściągliwości. Uniesieniem brwi potrafi przekazać całą gamę uczuć. Jak w poruszającej scenie z „Czterech wesel..." (1994), w której oparta o drzwi Fiona, zapalając papierosa, mówi Charlesowi (Hugh Grant), że go kocha, ale on jest już pod urokiem Carrie granej przez Andie MacDowell. Maksimum emocji, przy minimalnej ekspresji, wbiło też w fotele widzów „Angielskiego pacjenta" (1996). Za rolę w tym filmie Scott Thomas dostała jedyną nominację do Oscara. Potem wielokrotnie dawała się zauważyć na dużym ekranie, ale tylko raz miała szansę powalczyć ponownie o Złoty Glob (za postać w „Kocham cię od tak dawna", 2008).

ROLE ŻYCIA

Zarówno na ekranie, jak i prywatnie 60-letnia dziś Kristin Scott Thomas od lat pozostaje postacią nie do końca odgadnioną. Chroni swoją prywatność. Jej małżeństwo z cenionym francuskim lekarzem trwało od 1987 do 2005 r. Para doczekała się dwóch synów i córki, a z czasem także wnuków. Prowadząc dom w Paryżu, Scott Thomas pracowała równolegle na planach filmów francusko- i anglojęzycznych. Potem, jak wspomina, przez dekadę nie zdarzyło się jej przebywać w jednym miejscu dłużej niż dwa tygodnie. – Moje życie wymknęło się spod kontroli, ale wróciło na dobre tory – zapewnia aktorka.



Na planie filmu „Pojedynek na głosy"

Fot. Materiały prasowe/Aimee Spinks

eprasa.pl 708d092fdd

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Meksykańskie demony z Kalifornii

Macie tak czasem, że wymowa filmu zaczyna w was wywoływać bunt? Bo postaci, które twórcy podsuwali wam jako te, którym warto kibicować, robią nagle coś strasznego. Samo życie, chcielibyście powiedzieć, a jednak macie ochotę na inny obrót akcji. Tak się poczułem po szóstym odcinku serialu HBO „Dom grozy. Miasto aniołów". Pierwszy sezon, świeży jak bułeczki, ma ich 10.

Byłem fanem serialu „Dom grozy" (w oryginale „Penny Dreadful", więc nie całkiem to samo). Dział się w wiktoriańskiej Anglii i oszałamiał bogactwem wyobraźni. W jednej londyńskiej opowieści spotykali się Dr Frankenstein, Dorian Gray, Dracula i amerykański Wilkołak, a Eva Green, jako odkupiona poniekąd wiedźma, wzniosła się na wyżyny aktorstwa. Teraz wielbiciele tamtego serialu kręcą nosem. Bo „Miasto Aniołów" nie ma z tamtą historią nic wspólnego, pokazuje Los Angeles z roku 1938 i bardziej przypomina czarny kryminał w stylu „Chinatown" albo „Czarnej Dalii" niż horror. Ale twórcą jest ten sam John Logan. Tym razem na czele sześciu reżyserów i pięciu scenarzystów.

Wątki sił nadprzyrodzonych są dawkowane oszczędnie, choć pojawia się przed nami świat meksykańskich demonów wpływających na akcję. Ale duże partie fabuły czynią ten film prawie historycznym. Splatają się dwie historie. Opresji, jakim poddana jest społeczność kalifornijskich Meksykanów. I knowań hitlerowskiego wywiadu.

A co jest dylematem z szóstego odcinka? Moglibyście się pogodzić z tym, że dwaj gliniarze, jedyni sprawiedliwi w policji, pokazanej jako bagno, wrabiają w pięć morderstw niewinnego człowieka? Dla mnie niewiele zmienia fakt, że jeden z nich, Santiago Vega (dobry Daniel Zovatto), przeżywa koszmar. Jest pierwszym detektywem meksykańskiego pochodzenia szykanowanym przez kolegów. Człowiekiem miotającym się między dwiema lojalnościami: wobec rodaków i policji. Który najpierw musi strzelać do brata, gdy ten atakuje mu partnera (jeszcze lepszy Nathan Lane). A potem kryć drugiego brata, sprawcę morderstwa.

Wszystko rozumiem, a jednak nie umiem się pogodzić z decyzjami bohaterów, którzy są „nasi". I będę uważnie śledził dalsze odcinki pod kątem pytania, na ile nas zmuszą, byśmy wybaczyli. Rozumiem wręcz diabelski splot okoliczności, ale boję się zbyt łatwego usprawiedliwiania.

Jako film historyczny ogląda się to dobrze. Nie ma tu naginania realiów społecznych, za to jest mnóstwo smaczków, popkulturowych obserwacji, przeważnie prawdziwych. Tamto społeczeństwo było wciąż koszmarnie rasistowskie. Krzywdy Meksykanów zostały przesłonięte przez kwestię murzyńską. Ale one są prawdziwe, choć najbardziej eksplodowały kilka lat potem, podczas wojny, co zostało uchwycone w „Czarnej Dalii" dziejącej się w tych samych miejscach. Skądinąd mamy tu specyficzną ambiwalencję. Meksykanie są ofiarami, ale ich dziwne bóstwa podżegają do mordu i zniszczenia.

Wątek niemieckiej V kolumny poprowadzony jest z przesadą. Nazistowska siatka była w USA słaba. Rozbił ją z łatwością Edgar Hoover, szef FBI w przededniu wojny. Tu jest ona demoniczna i w dużej mierze bezkarna. Po szóstym odcinku nadal nie do końca wiemy, o co jej chodzi. Ale z łatwością usprawiedliwiam takie przerysowanie. Historię można sztukować i uzupełniać fantazją, gdy nie ma się aspiracji kronikarza.



Po początkowym sceptycyzmie, czy historia mnie wciągnie, jestem ciekaw, co dalej. Zastanawiam się tylko, czy skądinąd sugestywne wprowadzanie do takich seriali diabelskich alternatyw, wyborów bez wyboru, nie znieczula nas trochę na moralne zło. No ale to dotyczy tylu filmów...

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

bruLion 2.0



ROBERT TEKIELI

Reaktywowaliśmy właśnie z O. Fundację bruLionu. Trzeci z założycieli tego podziemnego kwartalnika Boguś Serafin również przychylił się do tezy, że musimy dokończyć robotę rozpoczętą w 1986 r. Trzeba odbić kulturę. Każdy czytelnik sąsiadującej z tymi felietonami kolumny „Wojna cywilizacji" zgodzi się z tym. Nasze dzieci poddane są miażdżącej ideologicznej presji politycznej poprawności, tęczowej przemocy w popkulturze, antykatolickiego rewizjonizmu historycznego. Oświecenie i postmodernizm, kierowane fobią wobec wiary, tak zniekształciły obraz rozwoju naszej cywilizacji, że nie jesteśmy w stanie się z nią identyfikować. Człowiek Zachodu utracił tożsamość, bo przecież to Kościół niańczył Europę.

Cele fundacji od 1990 r. są niezmienne. Po pierwsze, „niwelowanie przepaści pomiędzy słowem publicznym i prywatnym". Niezbędne są w kulturze autentyzm i szczerość (poza wypowiadaniem prawdy, która rani). Bo jeśli pisarz co innego pisze, a co innego robi, jego twórczość jest na przemiał. Choćby była formalnie katedrą. Dziś trzeba świadków, nie fałszywych nauczycieli – twórców ideologii, czyli kłamstw systemowych. Nie potrzeba też artystów na usługach Systemu.

Po drugie, celem naszego nieistniejącego dziś środowiska było „uczestnictwo w próbie powołania do życia nowego modelu kultury intelektualnej, modelu opartego na zasadach wolności skojarzeń, wolności artykulacji i na swobodzie w wyznaczaniu sobie celów". Największym zaskoczeniem było dla mnie po nawróceniu, że chrześcijaństwo to wolność. Całkowita i absolutna, szanująca jedynie granice wyznaczane przez miłość.

Po trzecie, naszym celem jest „przeciwdziałanie procesowi zatracania statusu ontycznego przez wszelkie elementy struktury rzeczywistości". Odrobinę to rozwinę. Mój debiutancki tomik składający się z wierszy publikowanych w paryskich „Zeszytach Literackich" i krakowskim „bruLionie" nosił tytuł „nibyt". Nibyt, czyli trzeci stan ontologiczny. Ani byt, ani niebyt. Wynalazek demona entropii. Entropii, która sprawia, że wszechświat przestanie się kiedyś kręcić. Nastąpi kres czasu, Paruzja. Bo planety zwalniają, a istnienie precesji mówi jasno, że Ziemia jest jak dziecięcy bączek. Zaczyna zwalniać, kręcąc się, przechyla na boki pijana. Wkrótce upadnie jak zabawka i zastygnie w jakiejś dziwnej pozie... Nie idźmy dalej, bo wyobraźnia i rozum zaczynają szwankować. Pewnych spraw mózg z definicji nie może pojąć. Człowiek nie potrafi objąć umysłem zbyt wielkich rzeczy. Jest on za mały. Tak Bóg to stworzył i dzięki temu jesteśmy bezpieczni. Żaden szaleniec z miliardami nie jest w stanie zachwiać fundamentami świata.

Czwartym naszym celem jest „popieranie i promocja różnych dziedzin twórczości". Piątym: „promocja młodego pokolenia twórców w kraju i za granicą". Doszedł dziś punkt szósty: „wspieranie osób chorych, bezradnych, wykluczonych".

Jak odbić kulturę? To starcie we współczesnym świecie wygra dystrybutor prestiżu i twórca mód. Dziś społeczeństwa są nie tyle zniewolone ideologicznie, ile sterowane są za pomocą wyrastających z ideologii stylów życia. Niezbędne są więc pozytywne mody.

W ciągu ostatnich 30 lat trzykrotnie przyznawana była nagroda bruLionu. Pierwszą w 1989 r. otrzymał Marcin Świetlicki. W jury konkursu mieliśmy m.in. Wisławę Szymborską i Jarosława Marka Rymkiewicza. W 2016 r. nagrody otrzymali śp. Robert Brylewski, pomarańczowy Waldemar Fydrych „Major" oraz Zbigniew Sajnóg, twórca gdańskiego Totartu, najważniejszej grupy artystycznej po wojnie. Kolejna nagroda zostanie przyznana w kategoriach związanych z kulturą w październiku 2021 r. I potem co pięć lat, już w szerszej formule – będąc czymś w rodzaju polskiego Nobla: trzeba hierarchizować nie tylko kulturę, lecz także dokonania nauki, działania gospodarcze, cywilizacyjne itp.

A kultura? Katedra jeszcze stoi. Arystoteles, Sofokles, Dante, Cervantes. Ale też Michał Anioł, Gaudi, Gauguin, Bonard. Kochanowski, Baka, Mickiewicz. Rymkiewicz, Wencel, Świder. Trzeba dostrzec bowiem, że w czasach nowożytnych cały czas płynie nurt humanizmu chrześcijańskiego, o którym dobitnie przypominał Jan Paweł II. Nawet w eonie ideologii zastępujących wiarę i naukę mamy do czego się odwołać.

Rynek i uniwersytet zajęli dziś barbarzyńcy. Kuglarze w muzeach i teatrach wystawiają rzeczy niewarte, słudzy pieniądza i władzy tworzą grant-grafomanię. Jesteśmy jednym z ostatnich krajów, w których społeczeństwo nie jest jeszcze zniszczone przez odrzucającą język Objawienia nowożytną kulturę, współczesną „sztukę", mody i popkulturę.

Musimy tworzyć instytucje. Uniwersytety, instytuty, szkoły, teatry, telewizje, fabryki memów, portale, web ziny, serwisy, fora wolne od cenzury, nieideologiczne media społecznościowe. Przed nami dużo roboty. To cieszy.

eprasa.pl 708d092fdd

WOJNA CYWILIZACJI



KULTURA

Warte Notre Dame, dwa palce złożone do przysięgi – co zrobiłaś ze swoim chrztem, Pierwsza Córo Kościoła? Wojciech Wencel w biografii pt. „Wierzyński. Sens ponad klęską" jak zwykle w wysokiej formie. Nieskończenie celne jednozdaniowe recenzje życiowych dokonań naszych najgłośniejszych poetów. Kilka rozdziałów zapisanych w zachwyceniu, kiedy dusza unosi pióro na level niedostępny umysłowi przy normalnym przebiegu fal mózgowych. Kto świadomie doznał stanu alfa, wie, o czym mówię.

Chrześcijańska wiara w sens ponad klęską, czyli Wierzyński a sprawa polska. I rola emigracji. Dziś wiemy, że to niezłomni mieli rację, a nie Giedroyc. Jak naiwnie brzmią dziś słowa „mistrza analizy politycznej" Mieroszewskiego. Wielbiona i przez Aleksandra Kwaśniewskiego paryska „Kultura" sprowadzona jest w „Wierzyńskim" do właściwych rozmiarów. To Lechoń, Grydzewski i Wierzyński przyjęli właściwą postawę wobec okupacji Polski, na którą wyraził zgodę w Jałcie i Teheranie „wolny świat". Niezłomni przemawiali za zakneblowany naród. Ruski zabór był z każdą dekadą PRL coraz bardziej maskowany, ale czołgi okupanta wyjechały z Polski dopiero w 1993 r.

Wierzyński to niejedynie bon vivant, prymusik, skamandrycki celebryta. Wenclowi udało się przełamać ten stereotyp, któremu ja, wielbiciel „Wiosny i wina", sam uległem. Autor „Ody do śliwowicy" najognistsze frazy napisał o „Krzyżach i mieczach", świetnym tomie Wierzyńskiego, w którym mierzył się on z geopolityką. Kazimierz Wierzyński: najtrzeźwiejszy sędzia obłąkanych czasów.

Choć tak naprawdę to nie jest książka o Wierzyńskim. To jest książka o polskości. Proszę przeczytać wstrząsający rozdział o Tuwimie.

Oczywiście piszę dziś tylko o jednym z nurtów tej książki. Jest ona czymś o wiele większym niż biografia jednego z najważniejszych polskich poetów XX w. Wkrótce większy tekst, mam nadzieję, że ta notka zachęci już dziś do lektury.

Puentując: bez chrześcijaństwa martwi jesteśmy. Nie ma polskości poza katolicyzmem. Również o tym jest ta książka. I o wczepieniu się w katyńskim dole zastygającymi pazurami w skraj szaty Chrystusa. Dlatego jesteśmy niepokonani. Dlatego jesteśmy skazani na wielkość. Dlatego wygramy.

„Wierzyński. Sens ponad klęską", *Wojciech Wencel, Instytut Literatury, Kraków 2020*

Więcej o książce na następnych stronach

POPKULTURA

Warte Do kin weszła niedawno sympatyczna pełnometrażowa i animowana bajka o przygodach doskonale znanego dzieciom oraz niektórym dorosłym pociesznego i wiecznie głodnego psa Scooby-Doo i jego przyjaciół: Kudłatego, Velmy, Daphne i Freda. Spoiler: Tajemnicza Spółka dalej zawodowo łapie wszelkiego rodzaju potwory i duchy. W fabule nie ma wątków homo, a film głosi stereotypy wyklęte! Kobiety są bardziej delikatne od mężczyzn – mamy na ekranie damy w opałach!, a faceci są odważni i je ratują. Wytłumaczcie tylko państwo swoim dzieciom, że Halloween jest siermiężnym obciachem niegodnym szanujących się ludzi. I nie bierzcie z sobą małych dzieci. Z większymi – do kin!

Reż. Tony Cervone, animacja/komedia/przygodowy, USA, premiera w Polsce 24 lipca 2020

POPKULTURA

Niewarte HBO GO jakiś czas temu zaprezentował serial „Love Life", świetnie nakręcony i zagrany komediodramat romantyczny, z wnikliwą jak na produkcję telewizyjną analizą psychiki bohaterów. Możemy z odcinka na odcinek śledzić wszystkie miłości przeciętnej dziewczyny, którą gra gwiazdka Anna Kendrick („Zmierzch"). Seria nachalnie lansuje bzdurę promowaną od przynajmniej pięciu dekad jako odkrycie współczesnej psychologii i seksuologii, że aby zostać z kimś na zawsze, trzeba „wypróbować" w łóżku kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt osób, aż znajdzie się tę jedną jedyną. Oprócz banału, że ludzie, których spotykamy na swojej drodze, wpływają na to, jacy jesteśmy, serial promuje rozwiązłość seksualną i homoseksualizm.

Twórca: Sam Boyd, komedia romantyczna, USA, premiera 27 maja 2020

POPKULTURA

Niewarte Mamy też kolejny hit Netflixa, tym razem antychrześcijański film akcji. „The Old Guard" obejrzano już bodaj w 72 mln gospodarstw domowych. Widzom nie przeszkadza niespójna fabuła, mają za to zapierające dech sceny walki i świetne zdjęcia. Nieśmiertelni, odwieczni obrońcy ludzkości szukają sensu życia, zabijają i uciekają przed tymi, którzy chcą wykorzystać ich moce. „Dobrzy" są heretycy i nieśmiertelni, „źli" – prześladujący ich chrześcijanie. Wiara i modlitwa są wyśmiewane przez pozytywnych bohaterów. Szkoda widzów i zjawiskowej jak zawsze Charlize Theron.

Reż. Gina Prince-Bythewood, fantasy/akcja, USA, premiera 10 lipca 2020

Robert Tekieli, *Polskie Radio*

eprasa.pl 708d092fdd

O Wierzyńskim poprzez Wencla, czyli o Polsce

Zastanawiam się, kto jeszcze spośród „czynnych" polskich poetów użyczyłby tyle zainteresowania, sumienności, powiedzmy więcej – miłości i podziwu – dla innego poety?



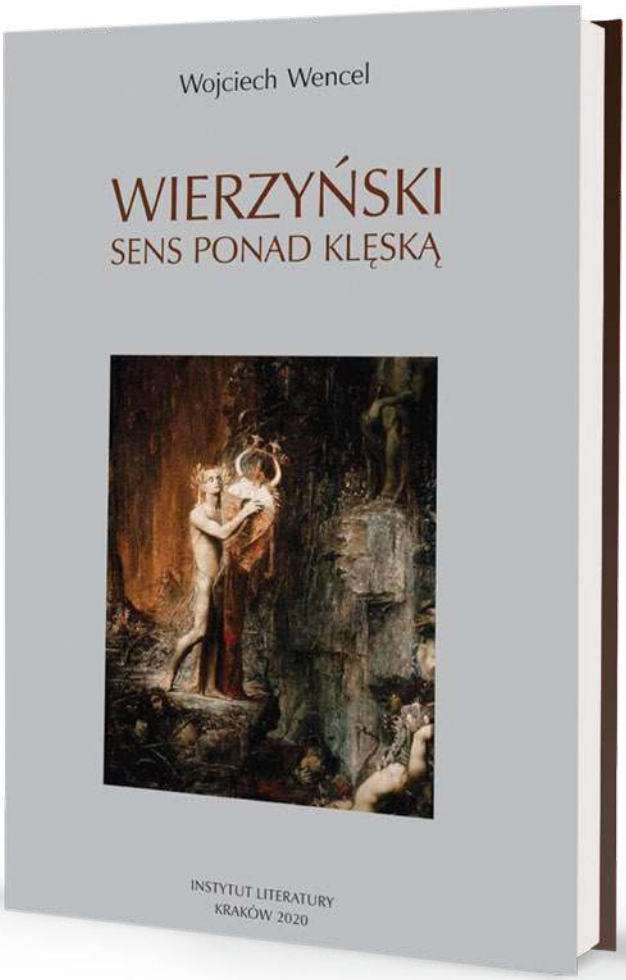
LESZEK DŁUGOSZ

Pochylam się właśnie nad świeżo opublikowaną (przez Instytut Literatury, Kraków 2020) książką Wojciecha Wencla „Wierzyński. Sens ponad klęską". Z respektem, sycąc się pożytkiem i przyjemnością z tej lektury, pochylam się z podziwem dla kompetencji, ambicji i talentu autora, który się podjął tej roboty. I tak się oto z tego zadania wywiązał. Muszę raczej czuwać, by nie przechwalić autora i dzieła, świadomy, że w chwilach entuzjazmu (jak i odwrotnych) moje skłonności do „wzmożonej ekspresji", nadmiarem (w tym przypadku pochwał) obiektowi mogą więcej zaszkodzić, niż walory jego uwiarygodnić.

Tedy – jeden z najwybitniejszych obecnie polskich poetów, człowiek jeszcze młody i „charakterny", obiecujący więc nadal wiele – opublikował rzecz o innym poecie, o Kazimierzu Wierzyńskim. Zastanawiam się, kto jeszcze spośród „czynnych" polskich poetów dysponowałby taką kompetencją i nadto użyczyłby tyle zainteresowania, sumienności, powiedzmy więcej – miłości i podziwu – dla innego poety? Dla jego dzieła, dramatu jego losu i czasów, w których z tym wszystkim się zmagał? Tak jak o tym czytamy właśnie w tej Wenclowej monografii Wierzyńskiego. Nie pierwszej, przypominam sobie w swoim czasie świetną pozycję Waldemara Smaszcza, ale to z czasów, gdy możliwości źródłowe (ich dostępność i szansa opublikowania) były nieporównywalnie szczuplejsze. Książka Wencla jest pierwszą, kiedy otwartość dokumentów i „krajowego słowa" pozwalają wreszcie pisać swobodnie. Wydobywać fakty, oświetlać sprawy i ludzi, nazywając rzeczy bez skrępowania czy kamuflażu. I bodaj to Wencel pierwszy spośród piszących o Wierzyńskim miał szansę sięgnąć do zastrzeżonych dotąd szuflad. Kwerendę wykonał imponującą. To prawie trudne do uwierzenia, że poeta dysponujący takimi „poetyckimi sposoby" (wszak poeta to ktoś „spalający się gwałtowniej, bardziej intensywnie") potrafił się zdobyć na taką skrupulatność, sumienność, posługując się warsztatem krytyka literackiego najsolidniejszej próby.

Od śmierci Wierzyńskiego minęło wszakże już pół wieku, a ma się wciąż wrażenie, że jego życie i twórczość jakby dopiero co były uprzystępniane. Tu zastrzeżenie – nie chcę sugerować, że ten wreszcie aktualny, źródłowy charakter opracowania jest jakimś dominującym walorem pracy, sposobu ujęcia tematu przez Wencla... Wierzyński był, jest i długo pozostanie obszernym tematem, stwarzającym dla badaczy wystarczające bogactwo możliwości eksploracji. Poetą był jednym z najwybitniejszych (nie brakuje opinii sytuujących go na czele tego rankingu XX-wiecznej naszej listy poetyckiej), ale oprócz bogactwa dorobku pisarskiego, rozmaitości tematów, stylistyk, form (proza, publicystyka) był jednostką wyjątkowo angażującą się i znaczącą w polskim życiu publicznym. Na dzisiejszą modłę był kimś w rodzaju uwielbianego idola. Stało się tak z jego zgodą czy bez, ale jego głos poety, publicysty, zaangażowania doraźne (praca w Wolnej Europie) – wszystko to uczyniło z niego istotny autorytet i „punkt orientacyjny". Nie tylko w kulturowym, ale tak określę ten obszar – w moralno-politycznym. W gorzkim poczuciu przegranej, zdrady i opuszczenia dla wielu opinie Wierzyńskiego postrzegane były nie tylko jako pomocne, ale jako rozstrzygające w sytuacjach konieczności podejmowania wyborów. W owych więc latach wojny i powojennych, i do końca jego życia, w latach dobrze już zainstalowanego w kraju systemu przywiezionego z Moskwy, historia przydzieliła mu nieprostą i odpowiedzialną rolę przewodnika. Tak wyszło? Nie mogło inaczej. Wierzyński nie mógł się uchylić od takiego obowiązku.

eprasa.pl 708d092fdd



Niezwykle cennym i klarownie przedstawionym wątkiem tej książki (udokumentowanym) jest historia wyborów polityczno-etycznych najbardziej znaczącej grupy poetyckiej XX w., czyli Skamandra. Z wyjątkiem Iwaszkiewicza, który (za cenę „kompromisów") nie zdecydował się na opuszczenie kraju, pozostali członkowie podzielili w latach okupacji, a część i do końca swego życia, emigracyjny los tułacza. Jakże dramatycznie i odmiennie potoczyły się te losy. Samobójstwo Lechonia, rodzaj współpracy (czy jednak użyć tu terminu kolaboracja) z władzą w Warszawie Antoniego Słonimskiego. Albo i świadomy niebyt, izolacja, wyobcowanie, osamotnienie i bieda takiego Balińskiego. Nieobecnego dla „swoich" tam w Anglii i „zamurowanego" kompletnym milczeniem w kraju. Ewidentne zaprzaństwo i nie ma innego terminu jak zdrada wobec wcześniejszych swoich przekonań (a może tylko ujawnienie tych prawdziwych?) Tuwima. Ot, „problem Tuwima" to od dawna szczególnie bolesna sprawa. Nie tylko Wencla. Niezwykłość dokonań uwielbianego poety w czasach dwudziestolecia międzywojennego i wydobyte na światło dzienne dokumenty – świadectwa cynicznej i obrzydliwej jego postawy po wojnie. Jego interesowne łaszenie się do protektoratu moskiewskiego. Poety, dla którego Stalin, jak napisał w swoim wierszu, „stał się prawodawcą sumień".

Na tle tej grupy przyjaciół (?) Wierzyński, z laurem olimpijczyka w młodości, ideałom tej młodości pozostał wierny do końca, wybierając wszelką niepewność losu, gorycz przegranej, ale doprawdy to on spośród tej reprezentacyjnej Grupy pozostał jako ów Książę Niezłomny. Czystość zasad i wyborów pozwalają porównać jego postawę ze słynnym „Non possumus" wypowiedzianym w owych latach druzgocących zdrad i czerwonego terroru przez kardynała Wyszyńskiego.

Gorzki to spadek, jaki historia i nam zostawiła do rozstrzygnięcia: jakość człowieka i wartość stworzonego dzieła. Akurat Wencel z Tuwimem, kolokwialnie mówiąc, nie od wczoraj ma na pieńku, ale nie jest to dramat jednego admiratora „Lokomotywy" i „Kwiatów polskich", których autor nie szczędził też peanów na cześć Stalina.

Postać płk. Ignacego Matuszewskiego, polityka, publicysty, pisarza, dziś prawie całkowicie zapoznanego, wydobywa Wencel w sposób, za który należy mu się wdzięczność. Światłość, patriotyzm, żarliwość, wreszcie wspaniałe walory pióra Matuszewskiego, odsłonięte w pracy Wencla, każą szukać szczególnego uhonorowania dla tej wybitnej jednostki. Dla tego myślenia i poświęcenia w najmądrzej i szlachetnie pojmowanym „polskim interesie". Zmarły nagle w Nowym Jorku w 1946 r., w wieku 55 lat, jawi się jako postać niemal rejtanowska, nieugięta. „Pierwszy z Polaków bił na trwogę, wołał o niebezpieczeństwie". W mowie nad trumną tak go żegnał Wierzyński: „Wiecznie trwał, ostrolicy, niezłomny, Civis Romanus, głaz na granicy".

Doprawdy wiele jeszcze „zdobyczy" może wynieść czytelnik – i ten ledwo zorientowany, jak i dobrze wprowadzony – w ów czas wojenno-powojenny z tej pracy o Wierzyńskim. Zdanie więc choćby tu jeszcze poświęcę samemu autorowi za klarowność tej pięknie uformowanej lektury. Wiele okazji do smakowania stylistycznych jej walorów. Prozy subtelnie troskliwej o frazę, o metrum (warsztat wyniesiony z wiersza), inkrustowanej efektowymi pointami, zawieszeniami (do domyślności czytelnika), nierzadko błyskiem wykwintnej metafory wczepionej w szare sukno prozy. Mówiąc o przyjemnościach, nie sposób nie wspomnieć o wzruszeniach z obficie cytowanych wierszy samego Wierzyńskiego. A są to przyjemności najwyższej kategorii w polskiej poezji. Paradoksalnie jednak, na koniec moich uwag o Wierzyńskim poprzez Wencla, czyli o Polsce, pozwolę sobie na przytoczenie fragmentu z jego mowy – manifestu polskiego pisarza na emigracji – wygłoszonej w Londynie z okazji jubileuszu 35-lecia pracy twórczej. „W okupowanej ojczyźnie jesteśmy na czarnej liście, napiętnowani jako agenci Ameryki i wrogowie pokoju, a przecież jesteśmy agentami wolności. Nie wiemy, kiedy nasze słowo tam dojdzie, ale nie przestajemy mu służyć, jakby miało dojść już jutro. Niesłyszalni dla tych, do których mówimy, zwracamy się do nich, jakby nas codziennie wysłuchiwali. Zamiast całej Polski sędzią naszym jest tylko nasze sumienie. Ono rozstrzyga w nas wątpliwości, nagradza nas i potępia. W samotności naszej pocieszamy się myślą, że wszystko, co tworzymy, jest własnością wszystkich, i tych nieobecnych także. I żyjemy wiarą w wolność, za którą umarło tylu naszych najbliższych. I tak wytrwamy do końca, i to jest dla nas ludzkim i boskim przykazaniem".

eprasa.pl 708d092fdd



Trzcina do zmierzenia Polski

Niektóre zwroty i interpretacje Karłowicza, jak to bywa z celnymi diagnozami, weszły do języka, którym mówimy o III RP; tak jest z „kseromodernizacją", tak jest z określeniem czasu po odejściu Jana Pawła II mianem „bezkrólewia"

Wojciech Stanisławski

Myśl konserwatywna ma się w Polsce ostatnich 30 lat nieźle: niekoniecznie przekłada się to na triumfy tej refleksji w praktyce politycznej, ale na poziomie bibliografii na pewno mamy powody do zadowolenia. Wiele oficyn, z Ośrodkiem Myśli Politycznej na czele, wydało dziesiątki młodszych i starszych klasyków: chcesz de Bonalda, dam ci de Bonalda, chcesz Oakeshotta, dam ci Oakeshotta, a i Voegelin (a, to akurat inny wydawca) się znajdzie. Są też autorzy, którzy, jak Bartosz Jastrzębski („Ostatnie królestwo", 2016), świadomie dokonują repetycji najważniejszych założeń doktryny.

Jednak, znając kilka z wyżej wspomnianych tytułów, czytając „Teby–Smoleńsk–Warszawę", kilka razy doznałem tego, co zdarza się w szczęśliwych latach nauki: osiągnięcia wyższego niż dotąd stopnia zrozumienia otaczającego świata. Nie muszą to być wtajemniczenia mistyczne ani masońskie, podobne uczucie dane jest człowiekowi, który uporał się z pierwszą w swoim życiu całką, złożył poprawny akapit w języku do niedawna całkiem obcym, zrozumiał stronę lub dwie Kanta. Radość z przekręcającego się w zamku klucza jest jednak w każdym z tych przypadków podobnego kowu i poczułem ją (wiele lat po lekturze wypisów z „Res Publiki", której naczelny częściej wówczas demonstrował był swe obycie z Chateaubriandem pisanym wielką literą niż z polędwicą wołową i chablis), czytając zdanie takie jak to: „W rozmowie Kreona z Hajmonem spotykają się dwie skontrastowane koncepcje świata i polityki. Po jednej stronie mamy projekt uporządkowania rzeczywistości pod rządami rozumnej arché (w obu tego słowa znaczeniach, a więc zasady i władzy), czyli plan stworzony i zrealizowany przez nowego króla Teb. Po drugiej zaś reprezentowaną przez Hajmona (syna i ofiarę Kreona) koncepcję polityki rozumianej jako umiejętność zarządzania niespójną, skonfliktowaną, nierzadko tragiczną całością – umiejętnością pozwalającą trwać, redukować konflikty i napięcia, ale nigdy, bo to po prostu niemożliwe, urzeczywistnić zadekretowany przez Kreona porządek".

Tym właśnie (także tym) jest eseistyka Dariusza Karłowicza: odczytaniem bardzo głębokich, na co dzień dostępnych garstce filologów, sensów politycznych i religijnych „Antygony" – i zarazem kreśleniem, za pomocą fraz Sofoklesa, wzorów uprawiania polityki. Polityki rozumnej – dzięki zrozumieniu ograniczoności rozumu. Bo też najgłębszy sens refleksji konserwatywnej nie wyraża się przecież, jak chciałoby grono jej rumianych entuzjastów, w zadekretowaniu, że „teraz będzie byczo, bo po staremu", lecz w tragicznej świadomości, że żadne wzorce ani konstrukcje nie uporządkują na zawsze rzeczywistości, zawsze za to będą w niej obecne szumy, zlepy, nieciągłości, które należy korygować z niekończącą się cierpliwością konserwatora tamy raczej niż budowniczego pomników.

Jest w Polsce kilku myślicieli, którzy oparli się pokusie pohukiwania i zachowali świadomość tego, że projekt konserwatywny musi ze swej istoty pozostawać „niedomknięty" i niepełny. Jest też legion tych, którzy rwą się do skomentowania z „prawicowych" pozycji już to uchybień transformacji sprzed ćwierćwiecza, już to rac rozświetlających finał WOŚP. Karłowicz jest jednak jedynym, który potrafi przykładać tak ponadczasowe narzędzia i refleksję tak wysokiej miary do zjawisk tak doraźnych i przemijających.

Efekt bywa porażający. „I co chwila jakiś kapelusz szwedzki zapadał przed nim w ciżbę, jakoby nurka dawał pod ziemię; czasami rapier, wytrącony z rąk rajtara, wylatywał, furkocząc, nad szereg, a jednocześnie odzywał się krzyk ludzki przeraźliwy i znów kapelusz zapadał; (...) Jak niewiasta rwąca konopie zanurzy się w nie tak, iż ją zupełnie zasłonią, ale po zapadaniu kiści poznasz łatwo jej drogę, tak i on niknął chwilowo z oczu w tłumie rosłych mężów, lecz tam, gdzie padali jako kłos pod sierpem żniwiarza podcinającego źdźbła od dołu, tam właśnie on był". To oczywiście pan Wołodyjowski, kosztujący Szwedów pod Klewanami; ale Karłowicz operuje podobną manierą i niejeden z potentatów polskiej debaty, którzy znaleźli się na jego drodze w tym tomie, nie zauważył jeszcze, biedaczek, zasłuchany w szelest konopnego listowia, że już ścięty.

Do tego styl; namnożyło się w publicystyce prawicowej wąsatego tupetu, z którym ostatnio rywalizuje wystylizowana brutalność mademoiselle Suchanow i jej amazonek. Ale u Karłowicza nic z tych rzeczy: czasem zimna pasja rozświetli na błękitno czubek szpady („Klęczący na grobach krasnoarmiejców Wajda miał tej hańbie nadać rys moralnego patosu. Nie udało się"), lecz głównie kadencja za kadencją zdań chłodnych, celnych, czasem tylko z niepochwytną nutką ironii. „W bitwie rapierami okrutnie bodli

eprasa.pl 708d092fdd

i powiadali o nich, że co który człeka przebódł, to mu mówił: Pardonnez moi! – tak politykę nawet z hultajstwem obserwowali" – nie wiem dalibóg, czemu mój dajmonion podsuwa mi z sakwy kolejne cytaty z „Potopu" dla scharakteryzowania eseistyki autora „Teb...", lecz widać nie jest to przypadek.

Te szkice, które w większości miały swój pierwodruk na łamach rocznika „Teologii Politycznej", wydane dziś, stanowią podsumowanie pierwszego 30-lecia III RP. „Czy Platon, czy Sofokles – zawsze o Polsce" – i rzeczywiście, są one trzciną, którą, jak w Piśmie, mierzyć można jej dokonania i upadki, hańby i jasności, hybris strategów transformacji i happenerów z Krakowskiego Przedmieścia w roku 2010. Niektóre zwroty i interpretacje, jak to bywa z celnymi diagnozami, weszły do języka, którym mówimy o III RP; tak jest z „kseromodernizacją", tak jest z „resetem czy rewolucją", czy z określeniem czasu po odejściu Jana Pawła II mianem „bezkrólewia". Inne, nawet jeśli czytane po raz drugi, znów uderzą nas trafnością.

A zarazem, chociaż w „Tebach..." mowa o sprawach najboleśniejszych – katastrofie smoleńskiej, śmierci papieża, roztrwonieniu mitu i siły Solidarności, chociaż ostatni szkic pochodzi sprzed półtora roku – czyta się je nieledwie z nostalgią: gdzie ten czas, gdy głównymi stronami sporu byli syci oligarchowie i głodni demokraci, gdzie najgorsze szyderstwa padały z ust Dominika Tarasa! Epoka bardzo przyspieszyła i to, co staje przed naszymi oczami – premiery w „Powszechnym" i nakaz doboru zaimków dla osób niebinarnych, fake newsy i marzenie o pomnikopadzie – domaga się nowej trzciny, która zmierzy nowe bachantki. Czekam na kolejny tom szkiców, który – czy to Sokrates, czy Eurypides – mówić będzie o Polsce.



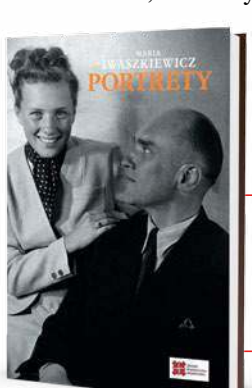
Dariusz Karłowicz, „Teby–Smoleńsk–Warszawa. O złudzeniu nietragiczności polityki", Teologia Polityczna, 2020

Centuria migawkowych portretów

To nie jest pierwsza wspomnieniowa książka zmarłej przed rokiem starszej córki Jarosława, Marii Iwaszkiewicz: w 2005 ukazał się zbiór „Z pamięci", a i wcześniej – w felietonach, gawędach, wywiadach – wiele było wątków traktujących o gościach i mieszkańcach Stawiska. „Portrety" śmielej sięgają dorosłego życia autorki, czynnej zawodowo w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, w Czytelniku, znajdującej się w centrum życia literackiego i artystycznego Warszawy lat Bieruta, Gomułki i Gierka. Nie były też pisane, lecz nagrywane, a powierniczka i słuchaczka, Agnieszka Papieska, od lat pracująca nad spuścizną Iwaszkiewicza, postarała się o zapis wierny, nie usuwając powtórzeń ani anegdot, w których rozmywa się czasem puenta. Nie odebrało to jednak uroku tej centurii migawek.

Nie sposób czytać tej książki w oderwaniu od „Alfabetu wspomnień" Słonimskiego i „Alei Przyjaciół" samego Iwaszkiewicza. To porównanie jednak może zaważyć na odbiorze „Portretów". Nie jest to dzieło tak doskonale „domknięte", jak tamte dwa o pokolenie wcześniejsze zbiory wspomnień, w których dwaj starzy poeci opisywali Atlantydę, którą stała się w latach 70. Warszawa ich triumfów i młodości. Choć są to bez wyjątku portrety osób już zmarłych, mniej w nich elegijności, więcej anegdoty, a czasem plotki i, im bliższe współczesności są opisywane postaci, tym wyraźniej słychać w portretach dykcję Agnieszki Osieckiej z jej kolejnych zbiorków wspomnieniowych. Sędziwa autorka zachowała emocje i perspektywę młodej kobiety, żywo ciekawej cudzych romansów i rozwodów, komentującej bliźnich wedle podobnego wzorca: poetom i scenarzystom częściej wytykany jest niski wzrost niż niewysokie loty, wódka, czule zwana „wódeczką", perli się raz po raz, kilkukrotnie kadr bywa rozjaśniony obfitym dekoltem, a PRL, jak w wielu wspomnieniach artystów tamtego czasu, jawi się jako kraina trochę uboga, trochę dziwna, skoro trzeba w niej podejmować gry z cenzurą i zabiegać o paszport, lecz w gruncie rzeczy dość wesoła. To wspomnienia uczciwe w założeniu, nieprzemilczające ubeckiego więzienia, powrotu z łagru ani arogancji Putramenta, lecz usuwające te cienie trochę na margines, bo pewnie tam było ich miejsce w życiu Marii.

Mnóstwo jest w tych wspomnieniach smaczków na jeden kęs, jak w historii o bratowej kompozytora Zygmunta Mycielskiego, z domu Esterházy, która po wojnie osiedliła się w Mielcu, gdzie sekretarzem POP był syn jej przedwojennego fornala... „Mówił do niej »pani hrabino« i bardzo jej pomagał". Są też jednak obrazy o sile kadru z „Eroiki" Munka, jak widok dwóch mijających się kolejek EKD kilka dni przed powstaniem, obu wypełnionych rodzinami, które wobec grzmotów nadchodzącego frontu szukają bezpieczniejszego miejsca: jedni w Grodzisku, drudzy w Warszawie. Biografowie Konwickiego, Sandauera, Ireny Szymańskiej czy Wilhelma Macha (o którym Iwaszkiewiczowa niesłusznie pisze jako o „całkiem zapomnianym") będą mieli czego szukać. Ale najpiękniejsze, najpełniejsze są pierwsze strony, na które pada blask domu w Podkowie Leśnej – dworu, który zmieścił tak wiele muzyk, obrazów, ludzi i pamięci: Sycylii, i Sandomierza, i Ukrainy.



Maria Iwaszkiewicz, „Portrety", Wydawnictwo Akademickie Sedno, 2020

eprasa.pl 708d092fdd



Horror na finiszu

Koszmarny wypadek podczas Tour de Pologne poruszył nie tylko sportowy świat. 5 sierpnia tuż przed metą pierwszego etapu w Katowicach holenderski kolarz Fabio Jakobsen, spychany przez swojego rodaka Dylana Groenewegena na prawą stronę jezdni, uderzył z ogromnym impetem w barierki, wyłamał je i zderzył się z sędzią obsługującym fotokomórkę. Sportowiec ledwo przeżył. Doznał poważnych urazów czaszki – okolic oczodołu, szczęki, żuchwy. Sprawca nieszczęścia został natychmiast wykluczony z wyścigu i odpowie przed Międzynarodową Komisją Kolarską



CEZARY KOWALSKI

Biorąc pod uwagę spektakularność całego zdarzenia i telewizyjne powtórki, dzięki którym widać jak na dłoni, co się wydarzyło, rodzą się pytania na temat tego, gdzie zaszedł sport w zawodowym wydaniu i czy to nie jest już przekroczenie granicy, w której rywalizuje się o zwycięstwo nawet kosztem życia przeciwnika. To, co zrobił Groenewegen, przez wielu komentatorów nazwane było wprost usiłowaniem zabójstwa. Gdy kurz nieco opadł, na chłodno, niektórzy eksperci próbowali go usprawiedliwiać, tłumacząc, że praca łokciami jest nieodłącznym elementem rywalizacji kolarzy w peletonie i w jakimś sensie naturalnym odruchem. Czujesz, że rywal się zbliża, usiłujesz nie dać mu się przepchnąć, ale... Czy zawodowy kolarz nie zdaje sobie sprawy, jakie mogą być konsekwencje takiego zachowania podczas finiszu przy szybkości 80 km/h? A skoro zdaje sobie sprawę, to czy przypadkiem nie powinien ponosić również odpowiedzialności karnej?

NIEBEZPIECZNA DYSCYPLINA

Okoliczności wypadku bada policja pod nadzorem prokuratury. Postępowanie prowadzone jest pod kątem naruszenia art. 156 Kodeksu karnego, czyli spowodowania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Prawnicy wypowiadają się jednak dość jednoznacznie: jest bardzo mała szansa, że Holender poniesie jakąś odpowiedzialność karną. Argument na jego obronę mówiący o ryzyku wynikającym z rywalizacji sportowej jest bardzo mocny. Granice nietykalności cielesnej w rywalizacji sportowej są po prostu wyznaczone w zupełnie innym miejscu niż w życiu codziennym. Ponadto zawsze należy brać pod uwagę specyfikę dyscypliny. A kolarstwo uchodzi za jedną z najbardziej niebezpiecznych. Wystarczy rzucić okiem, jakie kwoty proponują firmy ubezpieczeniowe grupom kolarskim czy też samym zawodnikom, którzy wykupują polisy. Koszty są kilkukrotnie wyższe niż w wielu innych dyscyplinach.

Nie może być jednak tak, że faulujący zawodnik jest całkowicie ponad

Fot Arkadiusz Gola/POLSKA PRESS

eprasa.pl 708d092fdd



prawem karnym, a jedyną dolegliwością, jaka go spotyka po bandyckim występku, jest żółta kartka. Jednak czym innym jest tragiczne zdarzenie podczas rywalizacji sportowej wynikające z przypadku, a czym innym zamierzony atak. Szef grupy, w której ścigał się Jakobsen, jeszcze wtedy, gdy 23-letni kolarz leżał w sosnowieckim szpitalu, grzmiał na Twitterze: „Ten typ, który mu to zrobił, powinien trafić za kratki!".

Aż tak pewnie ta historia się nie zakończy, ale w sporcie zdarzały się już przypadki aresztowania graczy nawet bezpośrednio po zdarzeniu na arenie sportowej. W piłce nożnej najszerszym echem odbiła się sprawa Érica Cantony. Francuski gwiazdor Manchesteru United w trakcie meczu z Crystal Palace celowo kopnął kibica. Dostał za to dwa tygodnie aresztu zamienionego później na sto dni robót publicznych.

JAK OGRANICZYĆ RYZYKO

Kolarz grupy Katusha Alpecin Marcel Kittel tłumaczy, że sprint w kolarstwie jest z założenia bardzo niebezpieczny i w jego trakcie po prostu wyłącza się myślenie. – Takie ciężkie wypadki będą się zdarzać, ale organizatorzy mogą zmniejszyć ryzyko. Jakie powinno się wprowadzić zmiany, aby uniknąć scen jak z horroru na sportowej arenie? Takich zakończeń jak w Katowicach sport wcale nie potrzebuje. Marzenie o dobrym spektaklu sprawia, że zdrowie i życie schodzą na dalszy plan. Nie dość, że finisz założenia jest sprintem, to jeszcze tutaj było z górki. Po co? – pyta.

Niemiecki kolarz Simon Geschke z grupy CCC mocno skrytykował organizatorów w mediach społecznościowych: – Co roku ten sam głupi finisz w Katowicach. Co roku zadaję sobie to samo pytanie: czemu organizatorzy myślą, że to dobry pomysł? Masowe sprinty same w sobie są niebezpieczne, nie trzeba do tego finiszu z góry, i to przy prędkości 80 km/h.

Jörg Werner, menedżer gwiazd kolarstwa takich jak Maximilian Schachmann, Tony Martin i Kittel, na łamach najnowszego „Sport Bild" mówił, że etap w Katowicach od początku wyglądał na bardzo niebezpieczny. – Kolarze czuli zagrożenie, wiedzieli, że coś złego mogło się zdarzyć. Z drugiej strony sędziowie powinni znacznie surowiej karać za faule, sprawić, że przestaną się one opłacać. Wśród kolarzy jest niby niepisana zasada, że ręce i łokcie powinny być przy sobie. Ale w momencie, kiedy widać już końcową linię, emocje zaczynają brać górę, robi się tłum, zaczyna się naturalna przepychanka, niebezpieczeństwo wzrasta.

Kittel dodaje: – Powinna być jednak większa solidarność wśród nas w peletonie. Nie można przedkładać zwycięstwa nad zdrowie konkurenta. Jesteśmy zawodowcami, to nasza praca, szanujmy ją. To nie jest tak, że nie ma odpowiedzialnych i współodpowiedzialnych za to, co się dzieje.

LANG SIĘ BRONI

Z tymi ostatnimi słowami Kittela zgadza się Czesław Lang, jeden z najlepszych polskich kolarzy w historii, który od lat jest organizatorem Tour de Pologne, naszej flagowej cyklicznej imprezy sportowej: – Dlaczego doszło do wypadku? Bo jeden Holender zepchnął drugiego Holendra na barierki. Cóż do tego mieli organizatorzy? – pytał wyraźnie rozżalony na hejt, który go spotyka. – Najlepszą odpowiedzią na te wszystkie zarzuty wobec nas były tysiące uśmiechniętych Polaków z biało-czerwonymi flagami na trasie. Ta energia przykryła tzw. znawców.

W dyskusji po kraksie w Katowicach głos zabrał także Gianni Bugno ze Stowarzyszenia Kolarzy Zawodowych. Postuluje on, aby barierki obok toru jazdy zawsze były takie same i spełniały wymogi bezpieczeństwa (obecnie każdy organizator sam je dobiera).

Lang nie ma nic przeciwko temu: – Jeśli znajdzie się ktoś mądry i wymyśli jeden standard płotków, to my się dostosujemy. Dzięki Bogu w Katowicach płotki zamortyzowały kraksę Jakobsena. To nie one były tu winne, ale kolarz, który zepchnął swojego rodaka na nie.

Lang wygłosił też apel: – Do wszystkich ekspertów kieruję propozycję. Rozpiszmy konkurs na nową trasę. Niech się ludzie wypowiedzą. Zbierzemy wszystkie opinie i zastanowimy się nad nimi. Niech się zgłaszają miasta chętne do organizacji etapów. Zdajmy się na konkurs. Wyścig trwa siedem dni, etap może liczyć 180 km, transfer dzienny na start etapu i do hotelu nie może być dłuższy niż dwie godziny. No i trasa musi zawierać etapy sprinterskie, góry i ogólnie, żeby była ciekawa. Może będą fajne pomysły. Ogłosimy to na Facebooku.

To oczywiście paradoks wynikający z tragicznego zdarzenia, ale nigdy wcześniej TdP, który aspiruje do bycia jednym z najlepszych w Europie wyścigów, nie był tak mocno obecny w zagranicznych mediach jak tym razem. Największe magazyny na świecie otwierały swoje pozapiłkarskie strony właśnie od Katowic.

Team Groenewegena Jumbo Visma wystosował oświadczenie, w którym napisano, że zawodnik rozumie swoje przewinienie, jest zdruzgotany, ale nie można się godzić na stosowane wobec niego takich określeń, jakie rzucają niektóre media.

Niemiecki „Sport Bild" wymienił całą listę największych złoczyńców w najnowszej historii kolarstwa. Dołączył do niej Groenewegena. Poszkodowany Jakobsen czuje się już znacznie lepiej. Powoli wraca do zdrowia, choć zapewne czeka go bardzo długa rehabilitacja. Czy wróci do ścigania?

eprasa.pl 708d092fdd

GWYNETH PALTROW AKTORKA

Utalentowana pani Paltrow



Za sprawą takich filmów jak „Zakochany Szekspir" (który w 1999 r. przyniósł jej, w komplecie Oscara i Złoty Glob), „Siedem", „Emma", „Wielkie nadzieje", „Utalentowany pan Ripley" czy produkcji Marvela (serii „Iron Man" i „Avengers") jest wciąż jedną z najbardziej rozpoznawalnych amerykańskich aktorek. Od 2008 r. Gwyneth Paltrow to także zarabiająca krocie bizneswoman. Potrafi wykorzystać swoją popularność i zasięg społecznościowych mediów, by za duże pieniądze oferować produkty związane z urodą oraz zdrowym stylem życia.

Założony przez nią lifestyle'owy serwis nawet w czasie pandemii przynosi zyski. Jako biznesowy fenomen przedstawia go dokumentalny serial „Gwyneth Paltrow i życie w stylu goop" (dostępny na Netflixie).

Wciąż świetnie wyglądająca 47-letnia gwiazda jest najlepszą reklamą stylu życia, jaki proponuje. Na Instagramie ma ponad 7 mln obserwujących. To do nich kieruje m.in. regularne wpisy o pasji do zdrowego i pożywnego gotowania.

Opowiada np.: „Dzisiejszy kotlet był z grilla. Wymieszałam wszystkie składniki w sosie z oliwą extra virgin, solą i pieprzem, a potem grillowałam na małej patelni: pierś kurczaka, cukinię, szparagi. Następnie posiekałam je na dość duże kawałki. W międzyczasie podpiekłam dwie papryki, bezpośrednio na palniku, do zwęglenia, zostawiłam je w papierowej torbie, a następnie obrałam i posiekałam. Wszystko połączyłam z cebulką (którą też chciałam grillować, ale zapomniałam) i bazylią na cukinii. W swojej wariacji możesz użyć dowolnych warzyw, które lubisz. Naprawdę. Możesz też dorzucić fasolę w puszce. Do przepisu nada się każdy winegret, ale ja użyłam sardeli (świetnie komponuje się z pieczoną papryką). Pozostały z poprzedniego dnia krab świetnie pasował z sosem koktajlowym jako przystawką".

W rozmowie z amerykańską edycją magazynu „Harper's Bazaar" podzieliła się jakiś czas temu informacjami na temat swojej diety. Dzień zaczyna od łyżki organicznego oleju kokosowego. To, jak tłumaczy, „ajurwedyjski sposób na usunięcie bakterii z ust". Potem przychodzi czas na wodę – jedną lub dwie szklanki.

Poranną kawę wypija, spędzając czas z dziećmi i mężem. Ponieważ „nie jest fanką śniadań", sięga po... i tu przychodzi czas na reklamę najnowszego produktu z jej oferty, przeznaczonego do rozpuszczania w wodzie i ponoć świetnego po treningu.

W drodze do biura Paltrow popija koktajl proteinowy z błonnikiem lub przegryza baton proteinowy z masłem orzechowym.

Około południa je lunch. Czym się raczy? Można, na bieżąco, śledzić na jej stronie, wraz z przepisami m.in. na: sałatkę z kurczakiem, makaronem z wodorostów i masłem migdałowym z czerwonym curry; pieczone bataty na dwa sposoby; danie z sardynkami, awokado, chrupiącymi warzywami i kaszą jaglaną; sałatkę z soczewicą, ciecierzycą, zieleniną i pitą; ryż smażony z wodorostami; wegańską sałatkę z karczochem czy pikantny placek ze słodkich ziemniaków z sałatką z rukoli.

Na podwieczorek (między 15 a 16) sięga po „coś słonego i chrupiącego", np. orzechy nerkowca lub precelki. Po południu pije zieloną herbatę.

O 18 przychodzi pora na obiadokolację z rodziną. Na stole często pojawiają się ryby i makaron typu noodle oraz potrawy jednogarnkowe, np. kurczak duszony z warzywami i ziemniakami.

Aktorka nie lubi koperku, jagnięciny, cielęciny, a także ośmiorniczek. Od czasu do czasu pozwala sobie na frytki czy makaron w stylu włoskim.

Jolanta Gajda-Zadworna

Sałatka na lunch
(przepis z Instagrama aktorki)



Naprawdę łatwo jest ją przygotować ze wszystkiego, co masz w lodówce. Ja grillowałam pierś kurczaka; dorzuciłam smażony boczek i jajka na twardo, a potem posiekane: awokado, ser pleśniowy i szczypiorek. Podałam z moim popisowym winegretem: 2 łyżeczki musztardy Dijon, 2 łyżeczki prawdziwego syropu klonowego, 1/4 octu z czerwonego wina, 2 łyżki oleju roślinnego, 1/2 szklanki oliwy extra virgin, sól gruboziarnista, pieprz. Wymieszaj musztardę, syrop klonowy i ocet. Powoli dodawaj oleje i dopraw do smaku solą i pieprzem.

Fot. Tinseltown/Shutterstock.com

eprasa.pl 708d092fdd



Na Cysterskim Szlaku

ANNA MONICKA

Kilka lat temu przypadkiem znalazłam się w Bierzwniku. W tamtejszym klasztorze organizowana akurat była trzydniowa impreza Na Cysterskim Szlaku oraz targi wyrobów klasztornych. Cystersi słynęli z dobrego jedzenia od średniowiecza, a ich opactwa były nie tylko ośrodkami kultu religijnego. Braciszkowie zajmowali się zielarstwem, medycyną, uczyli ludzi rzemiosła i rolnictwa. Sprowadzeni do Polski w XII w. zakładali stawy rybne, młyny, browary. Klasztor pocysterski w Bierzwniku jest jednym ze śladów dawnej świetności zakonu.

Na kiermasz zjechało mnóstwo lokalnych wytwórców. Kupiłam tam doskonałe miody i genialne różane konfitury, tak pyszne, że gdy w pobliskim sklepie zobaczyłam sadzonkę róży zwanej konfiturką, postanowiłam ją kupić i podarować ciotce.

Roślinka była malutka i wyraźnie zmęczona staniem w sklepie. Gdybym jej nie wypatrzyła, pewnie długo by już nie pożyła. Ale dobrze trafiła, ciotka ma rękę do róż, a rosa rugosa, czyli róża pomarszczona, nie jest specjalnie wymagająca. Ale przez pierwsze dwa lata chorowała, słabo kwitła i dawała do zrozumienia, że nic jej nie pasuje. Ani miejsce, ani ziemia, ani wietrzny klimat. Wreszcie ciotka wpadła na pomysł, że wykopie dla niej dołek pod ścianą starej stodoły. Będzie miała dużo słońca, a polne kamienie i cegły, nagrzane w ciągu dnia, nocą ochronią krzaczek przed chłodem.

To był strzał w dziesiątkę. Konfiturka dosłownie obsypała się kwiatami i pięknie urosła. Pierwsze pąki ma w maju, a ostatnie w październiku. Pachnie zachwycająco, jak olejek różany, który dawno temu przywiozłam sobie z Bułgarii.

Zbieramy jej płatki od maja do października i suszymy do jesiennych i zimowych herbat. Za mało ich, żeby ukręcić konfiturę różaną (do której wystarczą: cukier puder, sok z cytryny i cierpliwość, żeby płatki dobrze rozetrzeć w makutrze), ale bladoróżowy susz można także rozkruszyć i zmieszać z cukrem, a potem posypywać rogaliki albo ciasta. Zapach działa kojąco nie tylko dlatego, że przypomina piękne słoneczne dni. Olejek eteryczny rozluźnia przykurczone przez stres mięśnie, także te na twarzy, działa odprężająco na nerwy. Płatki róży zawsze warto mieć w domowej spiżarce.

Fot. archiwum autorki

Domowoj



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Domowoj lub domownik, przypominający wyglądem malutkiego owłosionego ludka, według dawnych wierzeń słowiańskich był istotą opiekującą się domem i wykonującą drobne prace w zamian za odrobinę pożywienia i życzliwość. W niektórych rejonach stworzenia takie zwano ubożętami, zresztą miały one wiele nazw czy też regionalnych „podgatunków".

Mityczne istoty miały swoje rzeczywiste odpowiedniki w przedstawicielach dzikiej fauny, istotnie przemieszkujących w ludzkich siedzibach w roli cenionych domowników. Jednym z takich zwierząt był zaskroniec *Natrix natrix*, mile widziany w obejściu np. na Litwie i we wsiach bieszczadzkich. Jeszcze w podręcznikach z 20-lecia międzywojennego można znaleźć informację, jakoby wąż ten potrafił tak się zadomowić, że jadał z mieszkańcami chaty z jednej miski. Cóż, niewykluczone, że u podstaw takiego twierdzenia leży jakaś rzeczywista obserwacja – węże badają otoczenie za pomocą receptorów znajdujących się na języku, który regularnie wysuwają – być może istotnie przy tej okazji zdarzyło się, że zaskroniec wsunął język do miski ze strawą. Wątpliwe jednak, żeby zrobił to w zamiarze posilenia się, zaskrońce polują bowiem na żywą zdobycz: żaby, ryby i gryzonie.

Zapotrzebowanie pokarmowe zaskrońca – zmiennocieplnego, wolno trawiącego gada – nie jest zbyt duże. Rola węża w zwalczaniu myszy i szczurów była więc raczej pomocnicza, choć trzeba przyznać, że z przyrodniczego punktu widzenia kwestia zaskrońca jako domownika prezentuje się bardzo ciekawie.

Zwierzęciem, które przez długie wieki starożytności i średniowiecza wykonywało gros pracy w zakresie tępienia myszy, mogła natomiast być łasica łaska *Mustela nivalis*. Niewielka, wydłużona, dorastająca ok. 20 cm długości i 100 g masy. Mimo małych rozmiarów nie boi się żadnego przeciwnika, jej ulubioną zdobyczą są gryzonie. W polowaniu na nie jest niespożyta, po części z żyłki łowieckiej, a po części dla pokrycia dużych wydatków energetycznych.

I to prawdopodobnie łasice, zanim zostały zastąpione przez udomowione żbiki *Felis silvestris*, czyli koty domowe, pełniły funkcję dobrych duchów domowego obejścia, strzegąc zapasów pożywienia.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 708d092fdd



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Konfrontacja dwóch światów

Latem, gdy tylko ulice stolicy opustoszały, wyległa na warszawski bruk homoseksualna rewolucja. I objawiła światu, że ma własne troski, zadania, żądania i plany. Patrzcie na nas. Nie chcecie? Musicie. Bo jesteśmy! Tańczymy w rytm naszego bla, bla. Jeszcze nas popamiętacie. Jeszcze nas pokochacie. Ma być jak w Brukseli, Berlinie, Nowym Jorku. Nic nie będzie biało-czerwone, wszystko będzie tęczowe. Bo tak chcemy. My.

Czas akcji: przeddzień rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Miejsce akcji: Warszawa.

Cel akcji: wojna.

TĘCZOWA REWOLUCJA

„Przyrzekamy prowokować" – zawołali i ruszyli do boju. Z granatami i brudnymi bombami. Atak był symboliczny, nieoczekiwany. Tak, żeby dech zaparło. O to chodzi w napaści zza węgła. Sparaliżować i obezwładnić siłą bezczelności. Wymierzyć w najdroższe symbole. Uderzyć w sam środek. W serce. Różowa szmata na twarzy posągu Chrystusa ciążyła. Smagała jak uderzenie batogiem w policzek. Tęczowa flaga w dłoni przywołała ewangeliczne sceny szyderstw tuż przed ukrzyżowaniem.

Wbito jeszcze emblemat gejowskiej rewolucji w inne warszawskie pomniki. Małej Syrenki, Józefa Piłsudskiego, Wincentego Witosa, Mikołaja Kopernika. Co dalej? Profanować, atakować, walczyć, lżyć. Krzyczeć, gdy tylko ktoś powie „nie!". Jak tamci z 1944 r. zmieniać Warszawę i kraj w chaos, w gruzy.

Przylepiona na cokole pomnika kartka zabazgrana została bojowymi wrzaskami: „To szturm! To atak! To tęcza!". Wezwano do „otwartej wojny przeciw dyskryminacji". Wulgarne zawołanie umieszczono na koniec: „J***cie się ignoranci". Pod tekstem podpisano się „Gang Samozamęt". Jego treść kolportowano na Facebooku i nazwano manifestem. Przyrzeczono i zaklinano się, że jak długo ich czyny będą gorszyć, tak długo będą prowokować. „To nasze wezwanie do walki. Jak długo będziemy zasypiać z myślą, że i tak nic się nie zmieni, tak długo będzie trzeba przypominać o tym, że istniejemy".

Oto nadchodzi nowa rewolucja. Nowe wyzwolenie. Biada każdemu, kto jej nie rozumie. Pobrzmiewa tu katechizm rewolucjonisty Siergieja Nieczajewa. Pisał on, że prawdziwy rewolucjonista „zna tylko jedną naukę, jest nią nauka zniszczenia". A cel ma jeden – jak „najszybsze i najpełniejsze zniszczenie podłego świata". A istnieje dla rewolucjonisty „tylko jedna rozkosz, jedna pociecha, wynagrodzenie i satysfakcja – sukces rewolucji. Dzień i noc powinien być ogarnięty jedną myślą, jednym celem – bezlitosnym zniszczeniem. Niestrudzenie, z zimną krwią dążąc do tego celu, powinien on być zawsze gotowy, by zginąć samemu i zniszczyć własnymi rękoma wszystko, co przeszkadza w jego osiągnięciu".

Czy podnoszący dłoń na figurę Chrystusa z wypisanym na cokole hasłem „Sursum Corda", ustawioną pod kościołem św. Krzyża 2 listopada 1898 r. z inicjatywy hrabiego Andrzeja Zamojskiego, wiedzieli choćby, że dzieło cudem przetrwało rzeź wojenną, jaką Warszawie zgotowali hitlerowcy?

To pytanie retoryczne. Nie, nowa tęczowa barbaria nie zna historii Warszawy. Bo ta historia jej nie interesuje. Nie zna kraju, w którym tańczy swój taniec, bo ten kraj jest jej obcy. Tak jak obcy są jego mieszkańcy, obce są im ich uczucia. Z religijnymi włącznie. Kim są? Skąd przywędrowali? Skąd nowa rewolucja przybywa? Z Nowego Jorku, Berlina, Paryża? Znad Wołgi, Tamizy czy Renu? Co jeszcze będzie deptać? A my oniemiali, onieśmieleni, zażenowani, uprzejmie się odsuniemy, wierząc, że to nie może być prawda. Że to nie dzieje się naprawdę.

ZDARZENIE DRUGIE

Tego samego lata, w tym samym kraju, nieco ponad 200 km od Warszawy, odbyło się coś zgoła odmiennego. Nie miało nic wspólnego z tęczowo-rewolucyjnym wrzeniem. Przeciwnie. Odtąd każdego dnia będzie odsłaniać

eprasa.pl 708d092fdd

prawdę o Polsce i Polakach. Wróćmy do początku.

Miejsce akcji: Toruń, Park Pamięci Narodowej (PPN). Czas akcji: 8 sierpnia. Cel spotkania: „Niesienie prawdy kolejnym pokoleniom o niezwykłym triumfie dobra i człowieczeństwa w mrocznych czasach rozpanoszonego zła" – z listu prezydenta RP Andrzeja Dudy. Uczestnicy zdarzenia: gospodarz miejsca: Zgromadzenie Ojców Redemptorystów, duchowni Kościoła katolickiego, abp Sławoj Leszek Głódź, premier RP Mateusz Morawiecki, prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, członkowie rządu, zaproszeni goście i uczestnicy otwarcia, pielgrzymi z całej Polski. Dzięki transmisji radiowo-telewizyjnej słuchacze i widzowie na całym świecie.

Na mapie Polski od niedawna mamy kolejne bardzo ważne miejsce. Park, ale bardzo nietypowy. Jedyny w kraju i drugi taki na świecie. Jego alejki układają się w kształt granic Polski. Zamiast drzew „rośnie" tam ku niebu 117 granitowych postumentów, a na każdym wyrytych jest 160 imion i nazwisk. Obecnie 18,5 tys. – docelowo w PPN, bo taka jest jego pełna nazwa, uwiecznionych zostanie ich 40 tys. Są to Polacy, którzy w czasie II wojny światowej ratowali Żydów skazanych przez hitlerowską maszynerię śmierci na Zagładę.

MIEJSCE DUCHOWEJ ODWAGI POLAKÓW

Dzień otwarcia parku jest bardzo symboliczny. 8 sierpnia 1968 r. to data śmierci matki Matyldy Getter ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Była ona zaangażowana w bezpośredni ratunek setek żydowskich dzieci. W PPN uwiecznione zostało także jej imię i nazwisko. Jak podkreślał ks. abp Sławoj Leszek Głódź podczas mszy św. inaugurującej uroczystość poświęcenia i otwarcia parku, miejsce to wskazuje na dowody duchowej odwagi Polaków, gotowych poświęcić wiele, czasem nawet wszystko, dla ocalenia bliźniego – Żyda. Jest to szczególnie ważne wobec eskalacji w świecie historii alternatywnej o prawdzie i ofiarach II wojny światowej; nieustannego i konsekwentnego zamykania się przez opiniotwórcze zachodnie ośrodki na głos prawdy w tej sprawie.

– Wciąż trwa i nie ustaje w wielu krajach Europy Zachodniej, w Ameryce Północnej, także w Izraelu zajadłe biczowanie naszej ojczyzny oskarżeniami o niewłaściwy stosunek do Żydów w czasie wojny – mówił podczas uroczystości otwarcia parku abp Sławoj Leszek Głódź.

> Krewni i bliscy ocalonych z Zagłady będą mieli w Toruniu wyjątkowe na skalę świata centrum, aby się spotkać i opowiedzieć swoją historię. Dotąd mogli to czynić tylko w instytucie Yad Vashem, od teraz także na polskiej ziemi

Teraz krewni i bliscy ocalonych będą mieli w Toruniu, miejscu położonym tuż nad Wisłą, wyjątkowe na skalę świata centrum, aby się spotkać i opowiedzieć swoją historię. Dotąd mogli to czynić tylko w instytucie Yad Vashem, obecnie będzie to możliwe na polskiej ziemi. W przyszłości upamiętnione zostaną także imiona i nazwiska Ukraińców, którzy w czasie tragicznej rzezi wołyńskiej w 1943 r. oddali życie, ratując Polaków. W pobliżu parku stanie jeszcze jedno ważne narodowe miejsce pamięć – Muzeum „Pamięć i Tożsamość".

ZACHOWALI SIĘ JAK TRZEBA

Znamiennym hasłem Parku Pamięci Narodowej są słowa „Zachowali się jak trzeba", wypowiedziane przez Żołnierza Wyklętego, idącą na śmierć w wieku 18 lat sanitariuszkę Danutę Siedzikównę „Inkę": „Obyśmy byli jak Inka, która napisała przed egzekucją w grypsie: »Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba«" – mówił o. dr Tadeusz Rydzyk podczas uroczystości otwarcia parku pamięci. Premier Mateusz Morawiecki, dziękując ojcom redemptorystom za udział w tworzeniu dzieła, życzył, żeby Park Pamięci Narodowej był miejscem spotkania pokoleń.

– Pokolenia tych, którzy zachowali się jak trzeba w tamtym barbarzyńskim czasie, z pokoleniem naszym i tymi, którzy przyjdą po nas. Premier życzył, by park był wieczną pamiątką prawdy o tamtych latach, ale także o wielkim bohaterstwie i męstwie Polaków.

DWA MIEJSCA, DWA ŚWIATY

Dwa miejsca, dwa światy. Inka Siedzikówna, Żołnierz Wyklęty, w starciu z hitlerowską i komunistyczną barbarią oddała życie. To także jej życie i śmierć oraz życie i śmierć wszystkich upamiętnionych w PPN uosabia krzyż stojący przed Bazyliką św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Krzyż sprofanowany w akcie agresji, skrytej za przyłbicą wolności słowa i tolerancji – jak mówił podczas uroczystości otwarcia parku ks. abp Sławoj Leszek Głódź. W rzeczywistości będącej narzędziem manipulowania, prowokacji, kłamstwa. Wykorzystywanej do propagowania ateistycznej antychrześcijańskiej ideologii.

Park Pamięci Narodowej i tysiące nazwisk, które upamiętnia, przypominają światu prawdę postawioną w zdecydowanej kontrze do narracji prezentowanej przez historyków oskarżających Polskę, Polaków o udział w Holokauście. Te oskarżenia i rewolucja homoseksualna uderzają jednocześnie. Dlatego PPN jest nie do przecenienia i jawi się jako rodzaj cezury w zmaganiach o prawdę o II wojnie światowej, ale i w starciu ludzi młodych z tęczową nawałą. Gdy w kraju dokonuje się przejście na poziom walki o zachowanie naszej tożsamości, liczy się wyjątkowo solidarność i jedność całego społeczeństwa.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 708d092fdd



Dwa wirusy, dwie histerie

Pytam znajomych 20-latków, dlaczego tak wielu z nich barwi na tęczowo swoje fejsbukowe portrety. Po to – odpowiadają – by okazać solidarność z ludźmi prześladowanymi i bitymi, poprzeć ich działania. Ale na warszawskiej ulicy – mówię – napadł i bił właśnie tęczowy Michał Sz., przecież jest w internecie film, widać to dokładnie. Te „działania" chcecie poprzeć? Niektórzy filmu nie widzieli, inni nie chcą oglądać, jeszcze inni widzieli, ale i tak za prześladowane ofiary uznają Michała Sz. i pozostałych napastników. A agresorem jest ich zdaniem ten, który został napadnięty i pobity.

Wyprane mózgi tych trzecich są do odratowania tylko w długiej perspektywie. Niewiedzę tych pierwszych można pokonać, trzeba jednak dokonać strategicznej zmiany w komunikacji i stworzyć platformę wymiany danych, myśli i argumentów, która przezwycięży getta i bańki oraz coraz wyższe mury między ludźmi różniącymi się w oglądzie spraw. Najcięższy przypadek to ci drudzy, którzy wiedzą, że filmik istnieje, można więc poznać prawdę, ale nie chcą go oglądać. Z takiego właśnie strachu rodzi się totalitaryzm.

Zaczyna się od zmiany sensu słów. Odwrócenia ich o 180 stopni. Potem jest przymus przyjęcia jednej ideologii, a wreszcie usprawiedliwianie przemocy. Oczywiście dla dobra jedynie słusznej ideologii. Michał Sz., napadający wraz z innymi bandziorami na człowieka, uważał zapewne, że działa słusznie, bo w „słusznej" sprawie. I to właśnie jest faszyzm i komunizm razem. Część młodych ludzi nie chce wiedzieć, co Michał Sz. wyprawiał. Ważne, że w tęczowej sprawie, więc z wszystkiego jest rozgrzeszony. Wolno mu. Wszystko. Jak sowieckiemu ambasadorowi w Warszawie za komuny.

Ten wirus poddaństwa wobec obowiązującej ideologii i koniunkturalnej ślepoty na przemoc w jej imieniu czynioną jest naprawdę groźny. Młodzi ludzie, którzy nie chcą wiedzieć, kto, gdzie, kogo, ile razy i jak bardzo bije pod sztandarem, który oni zawieszają na swoim internetowym portrecie – są na najlepszej drodze do totalitaryzmu. Choć wcale sami tego pierwsi nie zakrzykną, powoli stają się tłumem wrzeszczącym: „Zabij!".

Drugi wirus nazywa się SARS-CoV-2 i atakuje nas jakby z boku, nieideologicznie. Ale i on staje się narzędziem rewolucji społecznej. Sporo szumu uczynił mój tekst sprzed tygodnia pt. „Druga fala histerii", zapowiedziany przez wyrazistą okładkę z napisem „Szokująca teza: czy to fałszywa pandemia?". Zebrałem sporo gratulacji i podziękowań, także od polityków Zjednoczonej Prawicy, którzy głośno nie wypowiadają krytyki wobec poczynań ministra zdrowia. Niektórzy z nich wypowiadają ją w wewnętrznych dyskusjach rządzących partii i zapewne dzięki temu oraz pod wpływem twardych faktów fanatyczne zapędy zamknięcia wszystkiego i przymusowego zaszczepienia wszystkich nie są już rozważane.

O ile wiem, szczególne wrażenie zrobiło zaczerpnięte z Worldometers sześć wykresów pokazujących liczbę zgonów w sześciu europejskich krajach, jednoznacznie pokazujących, że „drugiej fali" nie ma. Oczywiście na pewno będzie wzrost zachorowań na jesieni, jak jest co roku, ale to nie oznacza potrzeby histerii i ponownego paraliżowania życia narodów i państw.

Zagadnięty o naszą publikację minister Szumowski powiedział publicznie: „Mam wrażenie, że ktoś tu pisze książkę z gatunku fantastyki. Jest to trochę obrażające pamięć choćby tych ponad 1,8 tys. osób, które zmarły. Jak ktoś widzi takie spiski, to należy się zastanowić nad swoim zdrowiem psychicznym".

W nowym rozporządzeniu, które miałem nadzieję, że nigdy nie powstanie, twórczy minister z noszenia na twarzy maski zwalnia jedynie chorych psychicznie. Rozumiem, że w powyższej wypowiedzi orzekł moją psychiczną chorobę i z noszenia maski jestem zwolniony. Ale żarty na bok, sprawa jest śmiertelnie poważna. Minister zdrowia, który zarzuca zadającym ważne pytania dziennikarzom, że powariowali, nie buduje autorytetu rządu i państwa. W okresie tzw. pandemii zmarło w Polsce nie 1,8 tys. osób, ale ponad 250 tys. Ile z nich z powodu zamkniętych szpitali, odwołanych operacji, przerwanych kuracji, stresu, utraty środków do życia, samotności, strachu, stymulowanej histerii? Dlaczego Ministerstwo Zdrowia ich nie rachuje i nie ogłasza codziennie tej liczby?

Najnowszy pomysł – jak się domyślam – przepisotwórczego ministerstwa to projekt ustawowego zapisu, by nie było przestępstwem złamanie prawa, jeśli tylko przeciwdziała się pandemii COVID. To niedobry pomysł. Niejasny i otwierający drzwi do usprawiedliwiania rzeczy złych. Jak nie chcę, byśmy usprawiedliwiali przemoc w imię ideologii tęczowej, tak nie chcę, byśmy odwoływali istnienie prawa w imię modnej w niektórych kręgach teorii spiskowej o istnieniu pandemii.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 708d092fdd

Duma po zwycięstwie!



Tomasz ***Łysiak***

Nie byłoby zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej, gdyby nie wiele walk i zwycięstw na mniejszą i większą skalę podczas tamtej wojny. Gdyby się mocniej zastanowić, trudno nawet nazwać tę bitwę „warszawską", gdyż na tak dużym obszarze była toczona i tyle jednoczesnych sukcesów trzeba było, by razem złożyły się na ten wspólny, największy.

Nie sam genialny plan Józefa Piłsudskiego (którego szczegóły opracował szef sztabu gen. Rozwadowski) miał tu znaczenie. Odbicie Radzymina, bohaterska akcja Pogonowskiego, walki o Ossów i całe „przedmoście warszawskie" były równie ważne, co samo uderzenie znad Wieprza. Bój o stolicę zatem, ale nie tylko – także walki na północ od Warszawy, działania oddziałów gen. Sikorskiego czy obrona Płocka – to był olbrzymi wkład w zwycięstwo. Czyn Orląt Płockich (uczniów, młodzieży i harcerzy) nie może być zapomniany. Tak jak i postawa całej społeczności Płocka, gdzie poza miejscową „milicją" i regularnym wojskiem do walki stanęły nawet kobiety.

Ale tak samo ważne było powstrzymanie armii konnej Budionnego na południu. Walki pod Lwowem to był hamulec dla tysięcy kozaków, którzy – gdyby nie zostali powstrzymani – wsparliby Tuchaczewskiego idącego na Warszawę i dalej w stronę Europy. Zadwórze to polskie Termopile. Nie bez przyczyny tak nazywane: trochę ponad 300 naszych żołnierzy broniło się przed wielokrotnie przewyższającymi ich liczebnie bolszewikami do ostatniej kropli krwi. W sensie dosłownym. Oddziały topniały, ale nie ustawały w walce. Gdy brakowało amunicji, zabierano ją zabitym. Ranni oficerowie dowodzili z noszy, nadal strzelając do wroga. W końcu, gdy już znikąd nie było nadziei – popełniali samobójstwo. Wiedzieli, że czekałaby ich straszna śmierć. Wściekli bolszewicy mścili się na trupach, siekąc bez litości martwe ciała.

I takich Termopili – zbiorowych, większych, mniejszych było w Cudzie nad Wisłą wiele. By się wydarzyły, potrzebne były więc cud Ducha, cud Odwagi, cud wielkiej Mobilizacji. I chociaż pamiętać trzeba o pomocy Opatrzności Bożej, o opiece Najświętszej Panienki, to tym cudem była także nasza gotowość do poświęceń, gotowość państwa wstającego z niebytu. Udało nam się wydobyć odpowiednie siły, wykonać mądry plan, zaskoczyć przeciwnika, być konsekwentnym i silnym. Dzisiaj mamy z czego być dumni!

Pars pro toto



Piotr ***Cywiński***

„Jestem człowiek, de domo homo. Jaki ja właściwie jestem, nie wiadomo. Naprzód mały, potem duży, potem siwy albo łysy, bo przyroda także swoje ma kaprysy..." – śpiewał Kofta. „Toto" w swym utworze Jonasz nie ujął. Może istnienie „toto" nie mieściło się w jego poetyckiej głowie, ale „toto" istnieje, i to bardzo. Co to takiego? Semantycznie to określanie kogoś lub czegoś inaczej, w pełnym brzmieniu: pars pro toto. Detalicznie chodzi o „toto" imienia „Margot" – „ale jaja, ale jaja, ale jaja...!" – które znalazło się w pudle za fizyczne napaści i nie tylko, i się zaczęło...

„Szwedzi stanęli w obronie Polaków LGBT. »Kiedy ktoś ściąga tęczową flagę, cała Szwecja protestuje«" – huknęły z dwururki polskojęzyczne media de domo Ringier Axel Springer, czyli der „Fakt" und/i der „Onet": że „ogólnopolskie protesty przeciwko aresztowaniu Margot i brutalność policji, która zatrzymała [...], nie przeszły w Europie bez echa" i, że „między innymi w Malmö i Sztokholmie odbyły się manifestacje, których uczestnicy solidaryzowali się z polską społecznością LGBT". I tu długaśna rozmowa z uczestnikiem tych „manifestacji", ekspertem dwururki, szwedoznawcą, bo mieszka w Szwecji już „od trzech lat", znaczy, zna się...

„Czy w Szwecji dużo mówi się o podejściu polskich władz do LGBT?" – zagaja autorka z dwururki. „Główne szwedzkie media podały informację o geście posłanek Lewicy, które na zaprzysiężeniu Andrzeja Dudy pojawiły się w tęczowych maseczkach, ale już o polskich protestach dowiedziałem się z mediów społecznościowych. Podobnie jak o sztokholmskiej demonstracji w sprawie solidarności z osobami LGBT, którą zresztą zorganizowała Polka" – odpowiada nieprzytomnie zapytany. „Na manifestacji była głównie Polonia?" – drąży pytająca. „Trudno powiedzieć, bo organizatorka zwracała się do nas po angielsku, transparenty też były w tym języku"... Wystarczy? Nie? To może jeszcze cytat z niemieckiej dwururki o szwedzkim wzorcu dla Polaków ciemniaków: „W Szwecji oburzenie wywołuje ściąganie tęczowej, nie jej wieszanie. Legalne są jednopłciowe małżeństwa i adopcja przez nie dzieci, a „szwedzki Kościół udziela ślubów homoseksualistom. Bywa, że kościoły przystrajane są na tęczowo".

I co, można? A u Kofty dalej było tak: „Jestem człowiek, de domo homo, co najbardziej sobie cenię, nie wiadomo. Urodzenie, powodzenie czy też czyjeś zawodzenie, czy najbardziej sobie cenię przyrodzenie... Może ranię czyjąś duszę, po co jasny obraz mazać, jestem przecież i jako taki przecież muszę się rozmnażać"... No, fakt-onetem, mnoży nam się „toto" na potęgę!

eprasa.pl 708d092fdd

Powracające pytania



Alina Czerniakowska

Teraz kiedy już opadły gorące emocje wyborcze, często w gronie znajomych pada pytanie: „Co się stało z polskim społeczeństwem?”. Przecież u nas blisko 90 proc. uważa się za katolików, a znaczna część bez wahania przyznaje się do pokolenia JP2. Skąd więc to głosowanie na zdeklarowanego lewaka, człowieka LGBT (Lesbian, Gay, Bisexual, Transgender). Przecież nie jest tajemnicą, kim jest Rafał Trzaskowski, tak samo jak wszystko, co działo się za rządów Donalda Tuska, Bronisława Komorowskiego, Radosława Sikorskiego, Ewy Kopacz i im podobnych, ludzi tak odległych od idei Polski opartej na korzeniach chrześcijańskich, patriotyzmie, honorze... Kto głosuje na człowieka, który nie ma żadnego programu, nie potrafi zarządzać niczym ani nikim, widać to gołym okiem, a jego wypowiedzi to zbiór inwektyw, matactw i frazesów. Potrafi tylko kłamać, chociażby taki przykład – deklaruje się jako zwolennik poezji Zbigniewa Herberta, a potem cofa nazwę jego ulicy i przywraca Leona Kruczkowskiego, podobnie z ulicą prezydenta Lecha Kaczyńskiego, też powrócił do Armii Ludowej. Można tak mnożyć przykłady krętactwa, pustych słów, cynizmu. Nasuwają się pytania: kim są ludzie z PO i ich zwolennicy, z jakich są rodzin, jaka jest obecna kondycja narodu polskiego?

Te i tym podobne myśli powracają szczególnie teraz w czasie sierpniowych rocznic. Zawsze 14 sierpnia myślę o niezwykłym duchownym, jedynym takim w historii, Maksymilianie Kolbem, który w piekle na ziemi, jakim był niemiecki obóz śmierci w Oświęcimiu, dobrowolnie oddał życie za nieznajomego skazańca. Świadkiem był współwięzień Michał Micherdziński: „O. Maksymilian szedł w więziennym pasiaku, z miską u boku, w drewniakach. Szedł jak człowiek świadomy wielkiej misji. Stanął spokojnie przed oficerami niemieckimi. Cała świta, która dokonywała selekcji, wszyscy patrzyli po sobie, nie wiedzieli, co robić. Wreszcie kierownik obozu wściekły zapytał swojego zastępcę: »Was will dieses polnische schwein?« (Czego chce ta polska świnia?). Zaczęli szukać tłumacza, ale okazało się, że tłumacz jest zbędny. O. Maksymilian odpowiedział spokojnie po niemiecku: »Ich will sterben für ihn« (Chcę umrzeć za niego) i wskazał lewą ręką na stojącego obok Gajowniczka. »Jestem polskim księdzem katolickim«”. O. Maksymilian, mimo że wiedział, jak Niemcy traktują polskich księży, nie bał się przyznać do swojego kapłaństwa. Zapanowała wtedy nieznośna cisza. Wreszcie stało się coś, czego do dzisiaj nie mogą zrozumieć ani Niemcy, ani więźniowie. Kapitan SS, który zawsze zwracał się do więźniów bardzo wulgarnie, zwrócił się do o. Maksymiliana per »pan«: »Warum wollen Sie für ihn sterben?« (Dlaczego pan chce umrzeć za niego?). O. Maksymilian odpowiedział: »On ma żonę i dzieci«. Po chwili esesman powiedział: »Gut« (Dobrze)”.

O. Maksymilian Kolbe skazany na śmierć głodową w zamkniętym bunkrze umierał ponad dwa tygodnie (od 29 lipca do 14 sierpnia 1941 r.). Oprawcy niemieccy nie mogli pojąć, dlaczego tak długo wytrzymuje, aż w końcu dobili go zastrzykiem z fenolu. Miał 46 lat, niezwykle zdolny w wielu dziedzinach, dziennikarz, twórca nowoczesnej techniki medialnej, założyciel zakonów na wzór Niepokalanowa w wielu krajach świata, zasłużony i głównie znany w Japonii. Ówczesny chargé d’affaires ambasady polskiej w Tokio Jacek Trawiński tak go scharakteryzował: „Człowiek skupiony, cichy, skromny, a równocześnie pełen godności, autorytetu i skupionej energii. Gdy poczynał mówić o swych sprawach, o swej placówce w Nagasaki – twarz ożywiała mu się, a w miarę słów rozjaśniała się, uświęcała”. Po powrocie z Japonii do Niepokalanowa, korzystając z dobrodziejstw techniki, wybudował tam elektrownię, wprowadził dalekopis, a od 1938 r. zaczął organizować budowę telewizji, studia filmowego i lotniska. Już w 1937 r. jego Radio Niepokalanów można było odbierać na terenie całego kraju.

Również 14 sierpnia zginął ks. Ignacy Skorupka, warto odwiedzić jego grób na warszawskich Powązkach. Napisy, zdjęcia na starym zmurszałym piaskowcu, a obok krzyża biało-czerwona flaga. Na czołowej i bocznej płycie tekst podpisany przez rodziców bohaterskiego księdza. „Kawaler Krzyża Virtuti Militari, obrońca Warszawy, prefekt szkół, opiekun sierot, młodzieży i wygnańców, harcerz, kapelan 236 p. p. Prowadząc pułk do boju w obronie stolicy, zabity na polu bitwy przez bolszewików w dniu 14 sierpnia 1920 roku w Ossowie pod Radzyminem, przeżywszy lat 27. Pokój Jego czystej duszy. Najdroższemu Ignasiowi rodzice”. A na bocznej płycie informacja o spoczywającym również w tym grobie rodzinnym, bracie ks. Ignacego: „Kazimierz Skorupka, urodzony w Warszawie, harcmistrz, żołnierz ochotnik 236 p. p. w 1920 r. Porucznik Armii Krajowej, instruktor harcerzy i komendant Szarych Szeregów Warszawa Praga. W wieku 42 lat zamordowany w obozie koncentracyjnym na Majdanku 24 XII 1943 r.”. Jest też tablica poświęcona ich ojcu – pracowali dla Polski, a kiedy ojczyzna w potrzebie, szli walczyć. Przyzwyczaiła nas historia, literatura, do takich życiorysów rodzinnych, tak niegdyś w Polsce bywało: „Jak ci z Samosierry szaleńcy/ Jak ci spod Racławic z przed lat/ [...] / I poszli jak zawsze uparci/ Jak zawsze za honor się bić”... Pewne zasadnicze imponderabilia przechodziły jak pacierz, z pokolenia na pokolenie.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 708d092fdd

Obrona konieczna

Waleczność zawsze była naszą wizytówką. To dzięki niej przetrwaliśmy wojenne zawieruchy. Polak nigdy nie nadstawiał drugiego policzka (pierwszego zresztą również). W obronie rodziny, honoru, wiary czy ojczyzny zawsze potrafił się odwinąć. Zupełnie odruchowo. To budziło należny „szacun" i opamiętanie agresorów. Ale to już było!



Lech Makowiecki

„Tęczowa zaraza" testuje dziś sarmacką odporność na zniewagi: profanuje się (taśmowo) nasze symbole religijne i historyczne. I co? I nic. Ośmielone bezkarnością lewactwo idzie krok dalej: wszczyna burdy z udziałem Antify i brutalne ataki genderowych harcowników na działaczy pro-life. Wściekła agresja tęczowych furiatów na policję (w tym policjantki!) przypomina amok. I znów zero reakcji! Żadnych egzorcyzmów. Odgórnie nakazana bierność funkcjonariuszy (chwalona przez jednych, wkurzająca drugich) rozzuchwala ulicznych zadymiarzy. I zwykłych bandytów. A przecież stróże prawa powinni budzić respekt, to nie są chłopcy do bicia/obrażania/opluwania przez byle łachudrę! Bezsilność i upokorzenie prowadzą do frustracji, za chwilę zacznie się gremialne odchodzenie policjantów z zawodu. Droga do bezprawia stanie otworem.

Rząd – sparaliżowany groźbą zablokowania środków unijnych – czyni pozorowane ruchy. A zastraszeni i nieumiejący się zupełnie bić potomkowie Zawiszy Czarnego protestują co najwyżej werbalnie. Do czego to wszystko doprowadzi? Do Europy, kochani! Jesteśmy na kursie i ścieżce szybkiego doganiania Zachodu. Tam uległe i bezbronne społeczeństwa dawno już skapitulowały przed barbarzyńcami. W biały dzień w centrum miasta dzieją się dantejskie sceny: rabunki, pobicia, gwałty, dewastacje, bitwy z policją. Płoną kościoły, giną ludzie, a państwo nie może (nie chce? nie umie?) zapewnić bezpieczeństwa swym obywatelom. Wkrótce ta „miejska dżungla" dotrze i do nas. To jak? Wywieszamy białą flagę? Czy zaczynamy się wreszcie bronić?! Wolni i odważni ludzie nie potrzebują ochrony najemników.



Z życia Kościoła relacjonuje Agnieszka Ponikiewska

1. Jak przetrwać czas ataku środowisk lewicowych i aktywistów LGBT na tradycyjne wartości i Kościół? Musimy studiować naszą wiarę, musimy się uczyć odpowiadać na zarzuty drugiej strony i odpierać merytorycznie ich oszczerstwa. Nie możemy pozwolić odebrać sobie wiary ani zawłaszczyć naszych symboli.

Coraz wyraźniej widać, że tęczowa flaga na figurze Chrystusa przed kościołem św. Krzyża to był dopiero początek. W ten sam sposób sprofanowano pomnik św. Jana Pawła II usytuowany przed wejściem do kościoła pw. Wszystkich Świętych w Warszawie. Kolejne ataki bolą, niepokoją i wymagają reakcji. Gdzie jest zdecydowany sprzeciw Kościoła? Gdzie głos rzecznika Episkopatu? Na razie najmocniej wybrzmiały słowa abp. Marka Jędraszewskiego, który w 76. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego apelował: „Uszanujcie nasze świętości, uszanujcie nasze świętości i religijne, i narodowe".

✠ ✠ ✠

2. Nie zniechęciła ich konieczność stosowania dodatkowych zasad bezpieczeństwa ani upały. Na Jasną Górę dotarły pielgrzymki piesze, rowerowe, biegowe, i to nawet te z najodleglejszych regionów Polski. Zmęczeni i szczęśliwi pielgrzymi dotarli do domu Matki. Wśród niesionych intencji dominowały te za Kościół w Polsce i o nowe powołania. Wierzący dobrze czują, co teraz jest najważniejsze dla naszej wiary.

✠ ✠ ✠

3. W Toruniu otwarto Park Pamięci Narodowej upamiętniający Polaków ratujących Żydów w okresie II wojny światowej. O. Tadeusz Rydzyk powiedział: „Ma on przypominać, że budować tożsamość Polski możemy tylko na prawdzie historycznej". Dodał, że miejsce to ma uhonorować ludzi, którzy życiem zapłacili za cywilizację chrześcijańską i uczciwą Polskę. Takich miejsc i wzorów dziś nam bardzo potrzeba.

✠ ✠ ✠

4. Aż dziwne, że mówi się o nim tak mało. 27-latek z 15-kilogramowym krzyżem od końca czerwca idzie przez Polskę. Jego szlak stworzy znak krzyża. Michał Ulewiński pokutuje za grzechy rodaków i wyprasza Boże Miłosierdzie dla ojczyzny: „Idę po błogosławieństwo dla naszego narodu". 27-latek przypomina, że bycie chrześcijaninem zobowiązuje i stawia przed nami wyzwania.

eprasa.pl 708d092fdd



JAN POSPIESZALSKI

Zdziecinnienie

Pytam, czy przemoc wobec działaczy pro-life oraz atak na symbole i wartości naszej kultury realizowane są w imię wolności i budowania wspólnoty?

W apelu z wyrazami wsparcia dla działaczy LGBT, podpisanym przez autorów tzw. nieformalnej grupy zrzeszającej twórców dla dzieci, czytamy: „Jako twórcy dla dzieci jesteśmy niejako zawodowymi dostarczycielami ufności i nadziei, że świat może być przyjaznym miejscem. Bez tej nadziei trudno dorastać. Bez tej nadziei nie sposób zaufać i stać się częścią wspólnoty. Dzielenie nas, obywateli, dla politycznego profitu, nieuchronnie pociąga za sobą krzywdę i przemoc". Przywołuję ten cytat, bo jest klasycznym odwracaniem kota ogonem. Mamy tu pozytywne pojęcia – nadzieję, ufność i wspólnotę (nośnikami tychże są oczywiście sami sygnatariusze), a z drugiej strony są: dzielenie obywateli dla politycznego profitu, krzywda i przemoc. Te okropne cechy oczywiście reprezentuje władza, która użyła siły wobec manifestantów.

Otóż chciałbym przypomnieć autorom, że ich wysiłki w dostarczaniu ufności i nadziei na nic się zdadzą, gdy tej nadziei i ufności dzieci nie znajdą w rodzinie. To właśnie mama i tata wprowadzają dziecko w świat, gdzie geniusz Boga Stwórcy albo – jak twierdzą inni – Natura w cudowny sposób odróżnia kobietę od mężczyzny, wyposażając w specyficzne i właściwe sobie przymioty. Pozwala to dzieciom wzrastać w zgodzie z własną naturą: dziewczynki lub chłopca. Polityczna agenda LGBT+ zakłada zniszczenie tego świata, co widać w krajach, które wcieliły program „gender mainstreaming". Ponieważ najłatwiej zniszczyć go tam, gdzie jest delikatny i bezbronny, rewolucjoniści przypuścili szturm na edukację i kulturę adresowaną do najmłodszych. Tylko pobieżne zapoznanie się z treścią książeczek, filmów i materiałów edukacyjnych dla dzieci, które funkcjonują w przedszkolach na Zachodzie jako lektura obowiązkowa, wystarczy, by pojąć prawdziwe cele kolektywów, które – jak czytamy w treści apelu – „sprzeciwiają się indoktrynacji i zniewoleniu".

Wypada też zapoznać się z badaniami amerykańskiego profesora socjologii Marka Regnerusa i jego obszerną pracą „Studium nowych struktur rodzinnych", gdzie naukowiec pokazał zgubny wpływ na psychikę i rozwój dziecka wychowanego przez pary jednopłciowe. Inna sprawa to statystyki przestępstw seksualnych wobec nieletnich w tych związkach. A właśnie prawo do adopcji dzieci przez pary homoseksualne to jedno z głównych żądań politycznego ruchu samookreślającego się akronimem LGBT+. Brak takiego prawa jest przez nich uznany za dyskryminację, stygmatyzację i wykluczenie.

I jeszcze jeden cytat z listu twórców dziecięcych: „Kiedy młodzi ludzie, którzy niedawno byli naszymi czytelnikami, sprzeciwiają się indoktrynacji, zniewoleniu, atakom na wolność, stajemy po ich stronie". To ogromny temat, więc odniosę się krótko do kwestii „indoktrynacji, zniewolenia i ataków na wolność".

Przykład pierwszy z brzegu – Piotr Jedliński, prezes Radia Nowy Świat, stracił pracę tylko za nazwanie mężczyzną Michała Sz., bojówkarza LGBT podającego się za kobietę. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że przecież to radio zostało stworzone w proteście wobec cenzury panującej rzekomo w radiowej Trójce. Inny przykład, który powinien poruszyć twórców literatury dla dzieci, to sprawa J.K. Rowling. Autorka „Harry'ego Pottera" naraziła się działającej w mediach społecznościowych ideologicznej żandarmerii za krytyczny wpis wobec mężczyzn, którzy jako transseksualiści zawłaszczają prawa wywalczone przez kobiety. Skala potępienia i nienawiści, nawoływanie do bojkotu jej książek, nie zagroziły egzystencji bardzo majętnej, niezależnej autorki, natomiast wśród osób, które ją wsparły, kilku śmiałków straciło pracę. Ponure jest to, szanowni twórcy, że w świecie, gdzie skutecznie zwalczono „indoktrynację i zniewolenie", takie przypadki niepokoją już niewielu.

Ponieważ wśród sygnatariuszy apelu są osoby, które cenię i znam, m.in. Zofia Stanecka i Cezary Harasimowicz, chciałem zapytać, czy o taką wolność wam chodzi? Czy przemoc wobec działaczy pro-life oraz atak na symbole i wartości naszej kultury przypuszczony przez Michała Sz. i jemu podobnych nie jest realizowany w imię politycznych profitów? Czy takie akcje realizowane są w imię wolności i budowania wspólnoty?

eprasa.pl 708d092fdd

***Michał Korsun prezentuje:* Nowy Świat cenzury**



Wycinki z przeszłości

Rysunek obok pochodzi z pisma „Wiarus" z 1937 r., z rubryki satyrycznej. Opisano go takim dialogiem:

„– Nie przypuszcza pan chyba, aby ona wychodziła za mąż z miłości?

– Owszem. On ma gruby majątek, a ona zakochana jest w dolarach".

Kolejny żart też należy do grupy o relacjach damsko-męskich:

„– Wyobraź sobie, Fredziu, że Zosia odmówiła mi swojej ręki. Dla mnie to wyrok śmierci!

– Ale nie rozpaczaj, wyrok śmierci zawsze lepszy niż dożywotnie więzienie".



„Słynny lekarz wiedeński, chirurg, profesor Billroth ubierał się od lat u jednego krawca. Pewnego dnia ten zjawił się u niego. Profesor zbadał go dokładnie i orzekł, że jest zdrowy jak ryba. Pyta, po co właściwie przyszedł?

– Pan profesor od tylu lat ubiera się u mnie, więc i ja chciałem dać panu profesorowi zarobić – odparł krawiec".

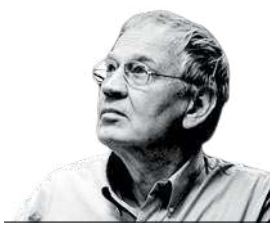
I tak toczyło się życie w roku 1937.

(mk)

Kazimierz Wierzyński 1894–1969

Nocna ojczyzna

Ten wiersz dziś w powiązaniu z tekstem w tym numerze – „O Wierzyńskim poprzez Wencla, czyli o Polsce"



Leszek Długosz

Jest jeszcze miłość,
Raniona miłość
Samotna, gorzka,
Której nic nie odstraszy:
Dla „śmiesznej nędzy polskiej",
Dla sensu nad klęską
Wszystkiemu na przekór
Budować co można,
Co zbudowane
To nasze.

Miłość karalna,
Młodość raniona,
Trud by dorównać
Niepodzielności sumienia:
Wszystkiemu na przekór
Idzie milczący
Ale go słychać,
Świadomy siebie
Krok pokolenia.

Z lądu na morze
Białe okręty
Spychają w życie
Nieznani,
Zamknięci w sobie
Ludzie bezsłowni:
W mieście uśpionym
Świeci im w pustce
Nocna ojczyzna,
Lampa w pracowni.

Tam przemijały
Złe, nadliczbowe
godziny rozpaczy,
Zmory pamięci,
I stamtąd płyną
Rozchybotane
Ale je widać
Maszty nadziei
Na każdym okręcie.

To jest ta miłość,
Miłość raniona
Co przeliczyła
całe bogactwo
Odbudowane
rana po ranie:
Wierność sumienia,
Sens ponad klęską,
Tego nie wezmą,
To było nasze
Jest i zostanie

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 708d092fdd

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Dobroduszni, adrenaliści i cynicy

Uproszczone postawienie sprawy jest politycznie sensowne: tu jesteśmy my i nasze wartości, tam są oni i ich antywartości. Ale taka dychotomia to tylko jedna warstwa sporu i nie jest dobrze na niej się zatrzymywać. Dlatego że oni (częściowo znani z twarzy i nazwisk, częściowo nieco mityczni, częściowo realni mocodawcy stojący za tymi znanymi z twarzy) mogą dokładnie tak samo – w tej przedziwnej symetrii wrogości – myśleć o nas. Tu jesteśmy my i nasze wartości, tam są oni i ich antywartości.



CO SIĘ DZIEJE?

Tak naprawdę to niedużo z tego wszystkiego rozumiem, oni też pojmują niewiele. W XXI w. architektura ludzkich motywacji i architektura procesów społecznych mimo dociekań już milionów naukowców nadal kryje w sobie wiele tajemnic.

Nie do końca rozumiemy, jak lewica socjalna, zabiegająca o poprawę bytu robotników, przepoczwarzyła się w lewicę obyczajową, zabiegającą o poprawę bytu mniejszości często żyjących w dostatku, ale uznających się za dyskryminowane. W przypadku obu lewic w tle jest wizja głębokiego rewolucyjnego przewrotu, który ma odmienić świat na lepsze.

Nie do końca rozumiemy, jak klasyczny, czyli ekonomiczny, marksizm – kładący nacisk na znaczenie własności środków produkcji – przekształcił się w marksizm kulturowy, skupiony na znaczeniu schematów ludzkiego myślenia o tym, co normalne, dobre, pożądane. Dość słabo potrafimy w obu tych powiązanych z sobą procesach odróżniać siły i procesy spontaniczne od zaplanowanych i sterowanych.

MOTYWACJE, PIENIĄDZE, ZADYMY

W przypadku ideologii i ruchu LGBT+ często mamy kłopot z właściwym odczytaniem motywacji osób i, oczywiście, całych środowisk zaangażowanych w ten konflikt. Piszemy te słowa jako obywatele, jako Polacy, jako obserwatorzy życia społecznego posiadający rozbudowaną socjologiczną wyobraźnię i wrażliwość.

Upraszczając – a bez uproszczeń świata opisywać nie sposób – widzimy potrzebę rozróżnienia trzech typów postaw w zachowaniach środowisk LGBT, rodzajów postaw osób, które umownie określimy jako dobrodusznych, adrenalistów oraz cyników.

Dobroduszni wierzą w niektóre przynajmniej wartości zakorzenione w tradycji chrześcijańskiej (częściowo zarazem zgodne z tym, co można by określić mianem etyki uniwersalnej) i często kierują się głęboko ludzkim odruchem solidarnościowym. Przekonanie, że należy bronić słabszych, dyskryminowanych, krzywdzonych, nie jest obce sporej części młodego pokolenia, która tworzy dobrodusznych.

Adrenaliści – wybaczcie, czytelnicy, ten neologizm – także istnieją od wieków. Z potrzeby stymulacji, przeżycia silniejszych emocji, z potrzeby przygody, rozróby, psoty (dzisiaj psotę określa się mianem trollowania) aktywizują się tam, gdzie jest szansa na coś wykraczającego poza rutynę codzienności. Dla nich wartości, ideologie nie są najważniejsze, a czasem w ogóle nieistotne. Ważne jest przeżywanie ekscytacji, niczym na festiwalu lub na meczu, zwłaszcza gdy jest to powiązane z poczuciem przekraczania jakichś granic, tabu, norm, form. Tu też nie brakuje młodych.

Dobroduszni i adrenaliści zazwyczaj słabo rozumieją politykę i geopolitykę, szersze trendy kulturowe, reguły manipulacji i mobilizacji politycznej. Umyka ich uwadze rola grup interesu i działań zakulisowych w polityce czy biznesie. Nie skupiają się na zasadach finansowania i skrytego wykorzystywania przez wielki biznes organizacji zwanych obywatelskimi.

Za to cynicy znają się na tym aż za dobrze. Ludzie, którzy zostali kiedyś dotknięci przez zło. Gotowi do działań, które będą służyły czyimś interesom bez względu na to, czy zachwieje to podstawami moralności, a może nawet człowieczeństwa całych zbiorowości.

ROZRÓŻNIAĆ

Nie ma jednego świata LGBT. Nie ma jakiegoś jednego przeciwnika chrześcijaństwa, rodziny jako fundamentu ładu społecznego ani państwa narodowego jako kapsuły organizacyjnej chroniącej Polaków przed zamętem współczesności. Są różni ludzie i różne motywacje. Nawet gdy zdarzy się, że łamiący prawo dobroduszni oraz cynicy znajdą się w tym policyjnym areszcie, nie zapominajmy o różnicach między nimi.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 43/0720/F

eprasa.pl 708d092fdd

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII



100 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **Ostatnie lata polskiego Lwowa** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 708d092fdd

LOTERIADA

jak niezwykle!

Ponad
1000 niezwykłych nagród!

LOTTO



6 x HYBRYDOWY FIAT 500

200 x GŁOŚNIK



114 x SAMSUNG GALAXY A71





18 x THERMOMIX®



36 x ROWER ELEKTRYCZNY

30 x ASUS TUF GAMING FX505



600 x KARTA PODARUNKOWA 300 ZŁ



Do wygrania

MILION zakładów Lotto

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

Kup dowolny produkt za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z MILIONA zakładów Lotto.

18+

Informujemy, że w grach liczbowych i loterii mogą grać jedynie osoby, które ukończyły 18 lat.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Szczegóły i regulamin na **www.loteriada.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa **od 10 lipca do 31 sierpnia 2020 r.**
Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 1 000 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl 708d092fdd